

**Robert Sheckley**

**Bilet na Tranai**

**A Ticket to Tranai**

*A Ticket to Tranai*

# Bilet na Tranai

Pewnego pięknego czerwcowego dnia wysmukły, skromnie odziany, młody człowiek wkroczył zdecydowanie do biur Agencji Podróży Transstellarnych. Przemaszerował obok jaskrawego plakatu reklamującego Dożynki na Marsie nie rzuciwszy nań nawet okiem. Nie zwrócił uwagi na gigantyczny fotofresk z płasającymi gajami Traganium. Zignorował dwuznaczne nieco malowidło obrazujące rytuały pierwotne na Opiuchusie II i podszedł do biurka urzędnika z działu rezerwacji.

— Chciałbym zabukować przelot na Tranai — oznajmił młodzian.

Urzędnik zamknął swój egzemplarz „Niezbędnych Wynalazków” i zadumał się.

— Tranai? Tranai? Czy to nie jeden z księżyców Kenta IV?

— Nie — odparł młody człowiek. — Tranai to planeta krążąca wokół słońca o tej samej nazwie. Chciałbym zarezerwować tam przelot.

— Nigdy o niej nie słyszałem — urzędnik zdjął katalog gwiazd, uproszczoną mapę gwiazdną i egzemplarz „Drugorzędnych Tras Kosmicznych”.

— No, tak — oświadczył w końcu. — Każdego dnia można się czegoś nauczyć. Chce więc pan zarezerwować lot na Tranai, panie...

— Goodman. Marvin Goodman.

— ...panie Goodman. Cóż, wygląda na to, że ta Tranai jest najdalszym od Ziemi miejscem, jakie można osiągnąć nie opuszczając Drogi Mlecznej. Nikt tam nie bywa.

— Wiem. Czy może mi pan załatwić przelot? — zapytał Goodman, a w jego głosie pobrzmiwała nuta hamowanego podniecenia.

Urzędnik pokręcił głową.

— Nie ma szans. Nawet nonskedy nie latają tak daleko.

— A dokąd może mnie pan dowieźć?

Urzędnik obdarzył go zwycięskim uśmiechem.

— Po cóż się przejmować? Mogę wysłać pana do świata, który ma to wszystko, co tamta planetka, a bije ją bliskością, niższymi kosztami, przyzwoitymi hotelami, wycieczkami krajoznawczymi...

— Chcę lecieć na Tranai — oświadczył Goodman nieugięcie.

— Ale nie ma sposobu, żeby tam dotrzeć — wyjaśniał urzędnik cierpliwie. — Cóż spodziewa się pan tam znaleźć? Może mógłbym pomóc.

— Może mi pan pomóc rezerwując bilety aż do...

— Czy chodzi o przygodę? — pytał urzędnik, wyciągając wnioski z nieatletycznej postury Goodmana i jego uczenie przygarbionych pleców. — Pozwoli więc pan, że zasugeruję Africanusa II, prymitywny glob rojący się od dzikich plemion, tygrysów szablatozębnych, ludożerczych paproci, grzęzawisk, aktywnych wulkanów, pterodaktyli i w ogóle wszystkiego. Ekspedycje wyruszające z Nowego Jorku co pięć dni łączą w sobie maksimum ryzyka i absolutne bezpieczeństwo. Gwarantowany łeb dinozaura albo zwracamy pieniądze.

— Tranai — rzekł Goodman.

— Hmm — urzędnik obrzucił szacującym spojrzeniem zaciśnięte usta i bezkompromisowe oczy Goodmana. A może jest pan znudzony purytańskimi ograniczeniami naszej Ziemi? W takim razie niech mi wolno będzie zaproponować wycieczkę na Almagordo III, Perłę Południowego Pasa Granicznego. Nasz dziesięciodniowy, uwzględniający wszelkie koszty program, obejmuje zwiedzanie tajemniczej Kazby Almagordyjskiej, wizyty w ośmiu klubach nocnych (stawiamy pierwszą kolejkę!), odwiedzin w fabryce cyntalu, gdzie po fenomenalnie okazjnych cenach może pan nabyć oryginalne paski cyntalowe, buty i pantofle, oraz w dwóch gorzelniach. Dziewczęta z Almagordo są piękne, pełne werwy i odświeżająco naiwne. Uważają Turystę za najdoskonalszą i najbardziej pożądaną formę istoty ludzkiej. A więc...

— Tranai — powtórzył Goodman. — Jak daleko może mnie pan wyprawić?

Sposępniały urzędnik wydobył bloczek biletów.

— „Królową Konstelacji” dotrze pan na Legis II i tam przesiądzie się pan na „Chwałę Galaktyki”, która zabierze pana na Qume. Tam łapie pan statek lokalny, który po międzylądowaniach na Machangu, Inchangu, Pankangu, Lekungu i Ostrydze wysadza pana na Tung—Bradar IV, o ile, rzecz jasna, nie rozleci się po drodze. Nonsked wywiezie pana za Wir Galaktyczny (jeśli zdoła się przebić) na Aloonsridię, skąd pocztowcem poleci pan na Bellismoranti. Sądzę, że ten pocztowiec wciąż jeszcze kursuje. I w ten sposób będzie pan mniej więcej w połowie drogi. Później może pan liczyć tylko na siebie.

— Znakomicie — rzekł Goodman. — Czy zdoła mi pan przygotować dokumenty na dzisiejsze popołudnie?

Urzędnik przytaknął.

— Panie Goodman — zapytał z rozpaczą — jakiego rodzaju miejscem ma być ta Tranai?

Goodman uśmiechnął się anielsko.

— Utopią — powiedział.

Większą część swojego życia Marvin Goodman przeżył w stanie New Jersey, mieście Seakirk, przez blisko pięćdziesiąt lat kontrolowanym to przez jednego politycznego bossa, to przez drugiego.

Większość mieszkańców tego miasta obojętna była na korupcję w sferach wysokich i niskich; na wojny gangów, hazard, alkoholizm nieletnich i przyzwyczajona do widoku niszczących ulic, trzaskających ze starości zbiorników wodnych, do psujących się elektrowni i rozpadających się wiekowych domów, gdy bossowie budowali coraz okazalsze rezydencje, dłuższe baseny i cieplejsze stajnie. Ludzie do tego przywykli. Ale nie Goodman.

Urodzony krzyżowiec, pisał artykuły programowe, których nie drukowano, i listy do Kongresu, których nie czytano, agitował za uczciwymi kandydatami, których nie wybierano, i organizował Ligę Uzdrawienia Społecznego Obywateli Przeciw Gangsteryzmowi, Unię Obywatelską na Rzecz Uczciwych Sił Policyjnych, Stowarzyszenie przeciw Hazardowi, Komitet Równych Szans Zawodowych dla Kobiet i dziesiątki innych.

Nic nie wynikało z jego wysiłków. Ludzie byli zbyt apatyczni, żeby się przejmować. Skorumpowani politycy po prostu wyśmiewali go, a czegoś takiego Goodman znieść nie potrafił. A potem, jakby tego było mało, narzeczona porzuciła go dla hałaśliwego młodzieńca w sportowej kurtce, którego jedyną pozytywną cechą było posiadanie pakietu kontrolnego w Seakirk Construction Corporation.

Był to cios dobijający. Dziewczyna zdawała się nieporuszona faktem, że SCC używała do produkcji cementu nieproporcjonalnie dużych ilości piasku i zaniżała jakość swych stalowych dźwigarów. Jak to ujęła:

— Wielkie mecyje, Marvie, no i co z tego? Takie jest życie. Musisz być realistą...

Goodman nie miał zamiaru być realistą. Niezwłocznie udał się do Eddie's Moonlight Bar, gdzie między jednym drinkiem a drugim jął kontemplować powab szałasu z trawy w zielonym piekle Venus.

Do baru wkroczył wyprostowany mężczyzna o orlim obliczu. Jego krępowany grawitacją krok, jego bladość, blizny radiacyjne i przenikliwe szare oczy powiedziały Goodmanowi, że jest kosmolem.

— Pospieszny na Tranai, Sam — rzekł barmanowi stary podróżnik.

— Ahoj, już leci, kapitanie Savage — odparł barman.

— Tranai? — wyszeptał Goodman mimowolnie.

— Tranai — potwierdził kapitan. — Nigdyś o niej nie słyszał, synku, co?

— Nie, panie kapitanie — wyznał Goodman.

— Ano, synku — rzekł kapitan Savage — zbiera mi się dziś na gadanie, więc ci opowiem o Tranai Błogosławionej, hen, za Wirem Galaktycznym.

Zamgliły się oczy kapitana, a uśmiech złagodził ostry zarys jego ust.

— Żelaznymi ludźmi w stalowych statkach byliśmy w owe dni. Ja, Johnny Cavanaugh i Żaba Larsen do samego piekła byśmy poleciali po nieduży ładunek terganium i jeszcze Belzebuba porwali na jungę, gdyby nam ludzi brakowało. To były dni, gdy kosmiczny skorbut zabierał co trzeciego człowieka, a duch Wielkiego Dana Mc’Clintocka straszył na szlakach. Moll Gann wciąż prowadziła Tawernę pod Czerwonym Kogutem na Asteroidzie 342-AA, żądając pięciuset dolców za kufelek piwa i dostając je, jako że w promieniu dziesięciu miliardów mil innej knajpy nie było. W owych dniach Gnojniki wciąż rżnęły na Gwiezdnej Grani i statki na Prodigium musiały przechodzić przez Szpaler Łamigrzbietów. Więc możesz sobie wyobrazić, synku, jakem się czuł, gdy pewnego pięknego dnia trafiłem na Tranai.

Goodman słuchał, a stary kapitan kreślił obraz wielkich dni, wątłych statków przeciwko żelaznemu niebu, statków mknących w dal, zawsze w dal, ku najodleglejszym granicom Galaktyki.

I tam, na skraju Wielkiej Nicości, była Tranai.

Tranai, gdzie znaleziono Sposób, a ludzie nie byli już wprzężeni w Kierat. Tranai. Przeobfita, spokojna, twórcza, szczęśliwa społeczność — nie świętych, nie ascetów ani też intelektualistów, ale zwykłych ludzi, którzy osiągnęli utopię.

Przez godzinę mówił kapitan Savage o wielokształtnych cudach Tranai, skończywszy zaś opowieść, pozałił się, że w gardle mu wyszło. Próżniowe gardło, tak to nazwał, i Goodman zamówił dlań następnego pospiesznego na Tranai i jednego dla siebie. Pociągając egzotyczną szarozieloną miksturę Goodman również zatonął w marzeniach.

W końcu, bardzo delikatnie, zapytał:

— Dlaczego pan tam nie wraca, kapitanie?

Starzec potrząsnął głową.

— Kosmischias. Jestem uziemiony na dobre. W tamtych czasach nie wiedzieliśmy zbyt wiele o nowoczesnej medycynie. Nadaję się tylko do ziemskiej roboty.

— Czym się pan zajmuje?

— Jestem brygadzystą w Seakirk Construcion Company — westchnął kapitan. — Ja, którym dowodził pięćdziesięciodyszowym kliprem! Sposób, w jaki ci faceci robią cement... Cóż, przelecimy jeszcze po maluchu na cześć pięknej Tranai?

Przelecieli po kilka. Gdy Goodman opuszczał bar, decyzja była powzięta. Gdzieś we

wszechświecie znaleziono modus vivendi, praktyczne rozwiązanie odwiecznego marzenia człowieka o doskonałości.

Nie zadowolili się niczym pomniejszym.

Następnego dnia rzucił swą pracę projektanta w East Coast Robot Works i podjął z banku oszczędności całego życia.

Wyruszał na Tranai.

„Królową Konstelacji” poleciał na Legis II, gdzie złapał „Chwałę Galaktyki” na Qume. Po międzylądowaniach na Machangu, Inchangu, Pankangu, Lekungu i Ostrydze — posępnych planetkach — osiągnął Tung—Bradar IV. Bez przygód minął Wir Galaktyczny i dotarł w końcu do Bellismoranti, gdzie kończyły się wpływy Ziemi.

Za niebotyczne wynagrodzenie lokalna linia kosmiczna przewiozła go na Dvasta II, stąd zaś frachtowiec zabrał aż za Seves, Olgo i Mi na podwójną planetę Mvanti. Tu ugrzązł na trzy miesiące, wykorzystując czas na hipnopedyczny kurs języka tranajskiego. Wynajął w końcu nielicencjonowanego pilota i ten dostarczył go na Dinga.

Na Dingu aresztowano go jako higastomerytrejskiego szpiega, zdołał jednak zbiec i w ładowni rakiety przewożącej rudę dotrzeć na g'Moree, gdzie poddawszy się kuracji w związku z odmrożeniami, porażeniem termicznym i powierzchownymi poparzeniami radiacyjnymi, załatwił wreszcie przelot na Tranai.

Nie wierzył własnemu szczęściu, gdy przemknąwszy obok księżyców Doe i Ri statek wylądował w Port Tranai.

Kiedy otworzyły się śluzy, Goodman znajdował się w stanie całkowitej depresji. Było to w części poczucie zawodu, nieuniknione po takiej podróży, jaką przeżył, co więcej jednak, Goodman przeraził się nagle, że Tranai może okazać się humbugiem.

Przemierzył Galaktykę zawierzywszy gawędzie starego kosmola, która teraz nie brzmiała aż tak prawdopodobnie.

Wysiadł. Port Tranai wydawał się miastem nader przyjemnym. Ulice były ludne, a w sklepach piętrzyły się stosy towarów. Tubylcy, których mijał, wyglądali jak zwykli ludzie w jakimkolwiek innym świecie, a niewiasty były wręcz atrakcyjne.

Było tu jednak coś dziwnego, coś subtelnie, a przecież zdecydowanie złego, coś innego. Potrzebował chwili, by to określić.

Zdał sobie sprawę, że na każdych dziesięciu mężczyzn w polu widzenia przypada tylko jedna kobieta. I, co jeszcze dziwniejsze, każda z nich miała albo mniej niż osiemnaście, albo więcej niż trzydzieści pięć lat.

Cóż stało się z kobietami w grupie wiekowej osiemnaście–trzydzieści pięć lat? Czy jakieś tabu broni im ukazywania się w miejscach publicznych? Czy może wytrzebiła je epidemia?

Musi tylko poczekać, a wszystkiego się dowie.

Podążył do Gmachu Idriga, gdzie skupiały się wszystkie tranajskie agendy rządowe, i zaanonsował się w biurze Ministra do Spraw Obywateli Innych Planet. Poproszono go natychmiast.

Biuro było małe i zagracone, a na tapetach widniały osobliwe niebieskie plamy. Goodmana uderzył fakt, że na ścianie złowieszczo wisiała wielkokalibrowa strzelba wyposażona w tłumik i lunetę. Nie miał czasu zastanowić się nad tą kwestią, minister bowiem porwał się z krzesła i jął dziarsko potrząsać jego dłonią.

Minister był tłustym, wesołym panem w wieku jakichś pięćdziesięciu lat. Na szyi miał mały medalion ozdobiony herbem Tranai — błyskawicą przecinającą ziarno zboża. Goodman wysunął poprawny wniosek, że to insygnium jego urzędu.

— Witamy na Tranai — oświadczył minister serdecznie. Zrzucił z krzesła stos papierów i gestem poprosił Goodmana, by usiadł.

— Panie ministrze — zaczął Goodman w formalnej tranajszczyźnie.

— Den Melith się nazywam. Mów mi Den. Jesteśmy tu dość nieoficjalnie. Połóż stopy na biurku i czuj się jak u siebie. Cygaro?

— Nie, dziękuję — odparł nieco stropiony Goodman. — Panie... aaa... Den, przybyłem z Terry, planety, o której musiałeś słyszeć.

— Jasne, słyszałem — rzekł Melith. — Nerwowe, zatłoczone miejsce, prawda? Bez urazy, rzecz jasna.

— Rzecz jasna. Takie właśnie jest i moje zdanie. Powód, dla którego tu przybyłem... — Goodman zawahał się, mając nadzieję, że jego słowa nie zabrzmiały humorystycznie. — Cóż, słyszałem o Tranai pewne historie. Wydają się niedorzeczne, gdy o nich teraz myślę. Ale jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałbym zapytać...

— Pytaj, o co chcesz — wtrącił Melith wylewnie. Dostaniesz uczciwą odpowiedź.

— Dzięki. Słyszałem, że na Tranai od czterystu lat nie było nic w rodzaju wojny.

— Od sześciuset — poprawił go Melith. — I żadnej w polu widzenia.

— Ktoś mi mówił, że na Tranai nie ma przestępczości.

— Absolutnie żadnej.

— A w związku z tym nie ma policji, sądów, sędziów, szeryfów, katów, kuratorów, agentów

rządowych. Ani też więzień, domów poprawczych czy innych miejsc odosobnienia.

— Nie potrzebujemy ich — wyjaśnił Melith — nie ma bowiem przestępstw.

— Mówiono mi — rzekł Goodman — że na Tranai nie ma ubóstwa.

— Ja przynajmniej o nim nie słyszałem — odparł Melith radośnie. — Czy jesteś pewien, że nie masz ochoty na cygaro?

— Nie, dziękuję — podniecony Goodman pochylił się do przodu. — Rozumiem więc, że osiągnęliście stabilną ekonomię nie uciekając się do praktyk socjalistycznych, komunistycznych, faszystowskich ani też biurokratycznych?

— Oczywiście — rzekł Melith.

— Że obowiązuje u was wolna gra sił społecznych, rozkwitają inicjatywy indywidualne, a funkcje rządowe sprowadzone zostały do absolutnego minimum?

Melith przytaknął.

— Ogólnie rzecz biorąc, rząd zajmuje się drobnymi kwestiami porządkowymi, opieką nad ludźmi w podeszłym wieku, upiększaniem krajobrazu.

— Czy to prawda, że odkryliście sposób rozdziału dóbr bez uciekania się do interwencji administracyjnej, a nawet bez systemu podatkowego, sposób oparty w całości na wyborze indywidualnym? — rzucił Goodman wyzywająco.

— Och, tak, absolutnie.

— A czy jest także prawdą, że korupcja nie dotknęła tranajskich instytucji rządowych żadnego szczebla?

— W istocie — rzekł Melith. — I przypuszczam, że właśnie z tego powodu mamy takie kłopoty w znajdowaniu ludzi, którzy chcieliby sprawować urzędy publiczne.

— A więc kapitan Savage mówił prawdę?! — wrzasnął Goodman, przestając nad sobą panować. — To jest utopia!

— Nam się tu podoba — powiedział Melith.

Goodman głęboko zaczerpnął powietrza i spytał:

— Czy mogę tu u was pozostać?

— Czemu nie? — Melith wyciągnął formularz. — Nie mamy ograniczeń imigracyjnych. Powiedz, jaki jest twój zawód.



— Na Ziemi byłem projektantem robotów.

— Masa możliwości w tej branży. — Melith zaczął wypełniać formularz. Jego pióro zrobiło kleksa. Minister rzucił nim obojętnie o ścianę; pióro roztrzaskało się zdobiąc tapetę kolejną plamą.

— Wypełnimy ten dokument jakimś innym razem rzekł. — Teraz nie jestem w nastroju.

Opadł na oparcie krzesła.

— Pozwól, że dam ci jedną radę. Czujemy tu, na Tranai, żeśmy się bardzo przybliżyli do tej, jak ją nazywasz, utopii. Ale nasza państwowość nie jest wysoce zorganizowana. Nie mamy skomplikowanego kodeksu praw. Żyjemy przestrzegając kilku niepisanych praw czy, jak ty byś powiedział, zwyczajów. Poznasz ich naturę. I oto moja jedyna rada — choć z całą pewnością nie rozkaz — przestrzegaj ich.

— Będę to robił! — wykrzyknął Goodman. — Mogę pana zapewnić, sir, że nie mam zamiaru zagrozić jakiemukolwiek elementowi waszego raju.

— Och, nie martwiłem się o nas — odparł Melith z pełnym zaskoczenia uśmiechem. — Miałem na względzie twoje bezpieczeństwo. Być może moja żona będzie mieć dla ciebie inne rady.

Wcisnął wielki guzik na swym biurku. Natychmiast ukazała się niebieskawa mgła. Mgła poczęła się skupiać i po chwili Goodman dostrzegł przed sobą przystojną młodą kobietę.

— Dzień dobry, mój drogi — powiedziała do Melitha.

— Zbliża się wieczór — poinformował ją Melith. Moja droga, ten młody człowiek przybył aż z Ziemi, żeby zamieszkać na Tranai. Udzieliłem mu zwykłej rady. Czy moglibyśmy uczynić dla niego coś jeszcze?

Pani Melith rozmyślała przez moment, a potem spytała Goodmana:

— Czy jesteś żonaty?

— Nie, psze pani — odparł Goodman.

— W takim razie powinien poznać miłą dziewczynę — powiedziała pani Melith do męża. — Starokawalerstwo, choć, oczywiście, nie wzbronione, nie jest na Tranai mile widziane. Niech pomyślę... Co powiesz o tej ładniutkiej dziewczynie Drigantich?

— Zaręczona — rzekł Melith.

— Naprawdę? Czyżbym aż tak długo była w stazie? Mój drogi, to nieładnie z twojej strony.

— Byłem zapracowany — powiedział Melith przepaszająco.

— A Mihna Vensis?

— Nie w jego typie.

— Janna Vley?

— Doskonała! — Melith puścił do Goodmana oko. — Niezmiernie atrakcyjna młoda dama. — Znalazł na biurku inne pióro, zapisał adres i wręczył go Goodmanowi. — Moja żona powiadomi ją telefonicznie, by jutro spodziewała się twojej wizyty.

— I wpadnij któregoś wieczoru na kolację — dodała pani Melith.

— Z rozkoszą — odparł kompletnie otumaniony Goodman.

— Miło było cię poznać — rzekła pani Melith.

Jej mąż wcisnął czerwony guzik. Uformowała się niebieska mgła i pani Melith zniknęła.

— Muszę już zamykać — powiedział Melith zerknąwszy na zegarek. — Ludzie mogą zacząć gadać, jeśli będą pracować po godzinach. Wpadnij któregoś dnia, to wypełnimy te formularze. I powinieneś odwiedzić też Najwyższego Prezydenta Borga w Dworzyszczu Narodowym. A może on do ciebie wpadnie. Tylko nie pozwól, żeby ten stary lis coś na ciebie zwałił. I nie zapomnij o Jannie.

Mrugnął szelmowsko i odprowadził Goodmana do drzwi.

Po chwili samotny Goodman znalazł się na chodniku. Dotarł do utopii, powiedział sobie, prawdziwej, oryginalnej, namacalnej utopii.

Ale były w niej sprawy bardzo zagadkowe.

Goodman zjadł obiad w małej restauracyjce i zameldował się w pobliskim hotelu. Dziarski boy zaprowadził go do pokoju, gdzie Goodman bezzwłocznie rozciągnął się na łóżku. Tarł z wysiłkiem oczy, próbując uporządkować wrażenia. Tak wiele przeżył i to wszystko w ciągu jednego dnia! I tak wiele spraw zbijało go z tropu. Proporcja mężczyzn do kobiet, na przykład. Zamierzał spytać o to Melitha.

Ale Melith mógł nie być najwłaściwszym człowiekiem, miał bowiem kilka osobliwych cech. Jak rzucanie o ścianę piórem. Czy był to postępek godny dojrzałego, odpowiedzialnego urzędnika? A żona Melitha...

Goodman wiedział, że pani Melith przybyła z derrsinozowego pola stazy; rozpoznał charakterystyczną błękitną mgłę. Derrsinu używano również na Ziemi. Bywały niekiedy uzasadnione powody medyczne, by zawiesić wszelką aktywność, wszelki rozwój, wszelki rozkład. Wyobraźmy sobie, że pacjent rozpaczliwie potrzebuje jakiegoś serum, które można sprokurować tylko na Marsie. Cóż prostszego, jak pogrążyć go w stazie aż do chwili, gdy lek będzie mógł przybyć?

Ale na Ziemi polem mógł operować tylko licencjonowany lekarz. Za nieuzasadnione użycie groziły

kary.

Nigdy nie słyszał o trzymaniu w tym polu żony.

A przecież, gdyby wszystkie tranajskie żony przetrzymywano w stazie, jasny stałby się powód nieobecności grupy wiekowej osiemnaście–trzydzieści pięć, a także proporcji liczbowej mężczyzn i kobiet.

Ale jakie było źródło owego technologicznego czarczafu?

I coś jeszcze leżało Goodmanowi na sercu, coś mało istotnego, lecz mimo to niepokojącego.

Strzelba na ścianie Melitha.

Czy polował nią na zwierzynę łowną? Musiałaby to być w takim razie nader wielka zwierzyna. Strzelectwo sportowe? Nie z lunetką. I po co tłumik? Dlaczego trzymał broń w swoim biurze?

Były to wszakże kwestie drobne, uznał Goodman; małe lokalne idiosynkrazje, które staną się dlań jasne, gdy pożyje na Tranai dłużej. Nie może przecież oczekiwać, że pojmie natychmiast i całkowicie coś, co jest w końcu obcą planetą.

Zapadał właśnie w drzemkę, gdy usłyszał stukanie do drzwi.

— Proszę wejść! — zawołał.

Mały człowieczek o szarej twarzy wślizgnął się pospiesznie do środka i zamknął za sobą drzwi.

— Jesteś tym człowiekiem z Ziemi, nieprawdaż?

— Istotnie.

— Wykombinowałem sobie, że tu będziesz — rzekł mały człowieczek z uśmiechem zadowolenia. — Trafiłem w dziesiątkę za pierwszym razem. Chcesz zostać na Tranai?

— Jestem tu na dobre.

— Znakomicie — powiedział przybysz. — Nie miałbyś ochoty zostać Najwyższym Prezydentem?

— Hę?

— Dobra pensja, wygodne godziny, kadencja tylko jednoroczna. Wyglądasz, na typ społecznika — oznajmił człowieczek pogodnie. — No i co powiesz?

Goodman nie miał pojęcia, co odpowiedzieć.

— Chcesz mi powiedzieć — zapytał z niedowierzaniem — że tak zwyczajnie proponujesz mi

najwyższy urząd w kraju?

— Co masz na myśli mówiąc „zwyczajnie”? — podniecił się człowieczek. — Czy sądzisz, że proponujemy Najwyższą Prezydenturę każdemu? Taka oferta to wielki zaszczyt.

— Nie zamierzałem...

— A ty, jako Ziemianin, posiadasz wyjątkowe predyspozycje.

— Czemu?

— Cóż, ogólnie wiadomo, że Ziemianie czerpią z władzy przyjemność. A my, Tranajanie, nie, ot i wszystko. Za dużo kłopotów.

Tak po prostu. Reformatorska krew Goodmana poczęła wrzeć. Mimo całej doskonałości Tranai, było tu jednak miejsce na ulepszenia. Zobaczył nagle siebie jako rządcę utopii, który dokonuje wielkiego dzieła czynienia ideału jeszcze doskonalszym. Ostrożność jednak powstrzymała go przed natychmiastowym wyrażeniem zgody. Może ten facet jest szajbuszem.

— Dzięki za propozycję — rzekł Goodman. — Muszę to przemyśleć. Może powinienem porozmawiać z aktualnym beneficjentem i dowiedzieć się czegoś o naturze pracy.

— A jak sądzisz, skąd się tu wziąłem? — zapytał człowieczek. — Jestem Najwyższy Prezydent Borg.

Dopiero teraz Goodman dostrzegł oficjalny medalion na szyi gościa.

— Daj mi znać, gdy podejmiesz decyzję. Będę w Dworzyszczu Narodowym. — Uścisnął dłoń i wyszedł.

Goodman odczekał pięć minut, a potem zadzwonił na boya.

— Kim był ten człowiek?

— To był Najwyższy Prezydent Borg — odparł boy. — Wzięłeś robotę?

Goodman powoli pokręcił głową. Nagle pojął, że o Tranai musi się jeszcze dowiedzieć wiele.

Następnego ranka Goodman sporządził alfabetyczną listę rozmaitych fabryk produkujących roboty i ruszył w poszukiwaniu pracy. Ku swemu zdumieniu dostał ją bez najmniejszych problemów w pierwszym miejscu, o które zahaczył. Wielkie Zakłady Robotów Domowych Abbaga zatrudniły go, ledwie zerknąwszy na referencje.

Jego nowy pracodawca, pan Abbag, był niski, miał groźny wygląd, ogromną siwą grzywę i rozciągał aurę ogromnej energii osobistej.

— Cieszę się, że mamy Ziemianina na pokładzie — rzekł Abbag. — O ile wiem, jesteście ludźmi pomysłowymi, a potrzebujemy tu bez wątpienia pomysłowości... Będę z tobą szczery, Goodman — mam nadzieję, że twój innoplanetarny punkt widzenia przyniesie mi korzyści. Znaleźliśmy się w impasie.

— Czy to problem produkcyjny? — spytał Goodman.

— Pokażę ci. — Abbag powiódł Goodmana przez fabrykę — Tłocznię, Obróbkę Ciepłą, Laboratorium Analiz Rentgenologicznych, Montażownię — do Sali Prób, którą urządono jak połączenie kuchni z bawialnią. Pod jedną ze ścian stał w szeregu tuzin robotów.

— Wypróbuj jednego — polecił Abbag.

Goodman zbliżył się do najbliższego z robotów i spojrział na jego urządzenia sterujące. Były dość proste. Poddał maszynę standardowemu testowi, jak podnoszenie przedmiotów, zmywanie garnków i patelni, nakrywanie stołu. Reakcje robota były zupełnie poprawne, choć wściekle powolne. Na Ziemi podobną niezdarność wypleniono sto lat temu. Widać tu, na Tranai, byli trochę zacofani.

— Wygląda na dość wolnego — zauważył Goodman ostrożnie.

— Masz rację — rzekł Abbag. — Cholernie wolny. Osobiście myślę — że mniej więcej akurat. Ale Badania Rynku wykazują, że klienci chcą, żeby były jeszcze wolniejsze.

— Hę?

— Zabawne, co? — spytał Abbag smętnie. — Zaczniemy tracić pieniądze, jeśli spowolnimy je bardziej. Popatrz na jego flaki.

Goodman otworzył tylną pokrywę i zatrzepotał powiekami na widok plątaniny kabli. Po chwili zdołał się w nich rozeznąć. Robot zbudowany był tak jak każda nowoczesna, ziemaska maszyna na niedrogich układach scalonych. Ale zainstalowano w nim specjalne przekaźniki spowalniające sygnał, moduły wygłuszające impuls i mechanizmy obniżające napięcie.

— Tylko mi powiedz — gniewnie zapytał Abbag — jak możemy spowolnić go jeszcze bardziej, nie zwiększając jego rozmiaru o jedną trzecią a ceny po dwakroć? Nie mam pojęcia, o jaki rodzaj oddoskonalenia będą się dopominać w najbliższej kolejności.

Goodman próbował przystosować się mentalnie do koncepcji oddoskonalenia maszyny.

Ziemskie fabryki starały się zawsze budować roboty o reakcjach szybszych, sprawniejszych, dokładniejszych. Nigdy nie miał powodu, by kwestionować sensowność tej zasady. I nie znajdował go teraz.

— A jakby tego było mało — skarżył się Abbag — plastik, który zsyntetyzowaliśmy dla tego

właśnie modelu, akatalizował albo diabli wiedzą co. Popatrz.

Kopnął robota w część brzuszną. Plastik wgiął się jak arkusz cyny. Kopnął ponownie. Plastik wgiął się głębiej, a robot zaczął terkotać i migać patetycznie. Trzeci kopniak roztrzaskał powłokę. Wnętrza robota eksplodowały, zaścielając podłogę.

— Dość tandetny — rzekł Goodman.

— Niewystarczająco tandetny. Powinien się rozpaść od pierwszego kopniaka. Nasi klienci nie będą mieli żadnej satysfakcji z wsadzania im stopy w brzuch przez cały dzień. Ale powiedz, jak niby mam wyprodukować plastik, który zniesie normalną eksploatację — bo nie chcemy, żeby te rzeczy rozpadały się przypadkowo — a jednak rozleci się w kawałki, kiedy klient tego zapragnie?

— Jedną chwileczkę — zaprotestował Goodman. — Ustalmy to sobie. Celowo spowalnicie te roboty, by tak irytowały ludzi, że ci je zniszczą?

Abbag uniósł brwi. — Oczywiście!

— Dlaczego?

— Ty jesteś tu nowy — rzekł Abbag. — Wie o tym każde dziecko. To rzecz fundamentalna.

— Będę wdzięczny, jeśli mi wyjaśnisz.

Abbag westchnął.

— Cóż, przede wszystkim, jak wiesz, każdy wynalazek mechaniczny jest źródłem irytacji. Ludzkość charakteryzuje się głęboką i odwieczną nieufnością wobec maszyn. Psychologowie nazywają to instynktowną reakcją życia na pseudożycie. Zgodzisz się ze mną w tej kwestii?

Marvin Goodman przypomniał sobie całą tę niepokojącą literaturę, jaką czytał — o buntach maszyn, mózгах cybernetycznych przejmujących władzę nad światem, androidach w natarciu i tak dalej. Pomyślał o humorystycznych artykułach i facetach strzelających do swych telewizorów, roztrzaskujących tostery o ścianę, albo „wyrównujących rachunki” z samochodami. Przypomniał sobie też wszystkie kawały o robotach podminowane głęboką wrogością.

— Myślę, że mogę się na to zgodzić — powiedział Goodman.

— Więc pozwól, że moją tezę ujmę inaczej — rzekł Abbag pedantycznie. — Każda maszyna jest źródłem irytacji. Im lepiej działa, tym bardziej irytuje. Stąd, w konsekwencji, wniosek, że maszyna działająca doskonale jest ogniskiem frustracji, utraty szacunku do siebie, resentymentów bez adresu...

— Chwileczkę! — zaproponował Goodman. — Tak daleko bym się nie posunął!

— ...i schizofrenicznych fantazji — ciągnął nieubłagane Abbag. — Ale maszyny są nieodzowne w zaawansowanej gospodarce. Najlepszym tedy rozwiązaniem z ludzkiego punktu widzenia jest

posiadanie maszyn zawodnych.

— Zupełnie tego nie chwytam.

— To oczywiste. Na Ziemi wasze gadgety pracują na granicy optimum, wywołując uczucie niższości w ludziach, którzy je obsługują. Niestety, macie masochistyczne tabu plemienne, które broni je przed zniszczeniem. Rezultat? Ogólny niepokój w obecności uświęconej i nieludzko sprawnej Maszyny i poszukiwanie obiektu agresji, którym zwykle staje się żona lub przyjaciel. Bardzo żaloszny stan rzeczy. Och, wszystko, jak sądzę, gra w kategoriach produkcji mierzonej w robotogodzinach, ale wcale nie gra w kategoriach perspektywicznie ocenianego zdrowia i samopoczucia.

— Nie jestem pewien...

— Człowiek to istota niespokojna. U nas, na Tranai, kierujemy niepokój ku temu właśnie punktowi, pozwalając mu służyć jako kanał ujścia także innych frustracji. Facet ma czegoś po uszy — bum! Bierze i kopie swojego robota. Następuje natychmiastowe i terapeutyczne rozładowanie emocji, zyskanie cennego — i niepodważalnego — poczucia wyższości nad zwykłą maszyną, zmniejszenie ogólnych napięć, życiodajny zastrzyk adrenaliny do krwiobiegu, a zarazem impuls dla rozwoju industrializacji Tranai, bo gość niezwłocznie idzie kupić następnego robota. I co on, w końcu, takiego zrobił? Nie stłukł żony, nie popełnił samobójstwa, nie wypowiedział wojny, nie wynalazł nowej broni ani też nie uciekł się do jakiegokolwiek z innych, co pospolitszych, sposobów rozładowania agresji. Po prostu rozwalił taniego robota, którego natychmiast może zastąpić nowym.

— Sądzę, że trochę potrwa, zanim to zrozumiem — przyznał Goodman.

— Jasne, że potrwa. Jestem pewien, że okażesz się tu wartościowym nabytkiem, Goodman. Przemyśl to, co ci powiedziałem, i pomyśl o jakimś niedrogim sposobie oddoskonalenia tego robota.

Goodman borykał się z tym problemem całą resztę dnia, ale nie mógł tak od ręki przypasować swego myślenia do idei produkowania maszyn coraz gorszych. Była dlań z lekka bluźniercza. Wyszedł z pracy o siedemnastej trzydzieści, niezadowolony z siebie, ale zdecydowany spisywać się lepiej czy też raczej „gorzej” — zależy od punktu widzenia i uwarunkowań.

Po szybkiej i samotnej kolacji Goodman postanowił odwiedzić Janę Vley. Nie chciał spędzać wieczoru sam na sam ze swymi myślami i czuł rozpaczliwą potrzebę znalezienia w tej skomplikowanej utopii czegoś przyjemnego, prostego i nieskomplikowanego. Może czymś podobnym okaże się ta Janna.

Dom Vleyów znajdował się ledwie o tuzin przecznic dalej i Goodman postanowił iść na piechotę.

Kłopot zasadniczy polegał na tym, że miał własne wyobrażenie na temat tego, jaka ma być utopia, i trudno mu było tak skorygować własne myślenie, by pasowało do konkretnej sytuacji. Wyobrażał sobie sielankową scenografię, planetę ludzi, co żyją w małych niezwykłych wioskach, spacerują w powiewnych szatach, są mądrzy, łagodni i rozumiejący. Dzieci, które igrają w złocistym blasku

słońca, młódź tańcząca na wioskowym placyku...

Śmieszne! Kreślił raczej żywy obraz niż sytuację, serię stylizowanych póz zamiast nieustannego ruchu życia. Ludzie nigdy nie mogliby tak żyć, nawet przyjąwszy, że tego by pragnęli. Bo gdyby mogli, przestaliby być ludźmi.

Dotarł do domu Vleyów i stanął przed nim niezdecydowany. W co się teraz pakuje? Na jakie obce — choć zdecydowanie utopijne — zwyczaje wnet się natknie?

Nieomal zawrócił. Ale perspektywa długiej samotnej nocy w pokoju hotelowym była wyjątkowo niezachęcająca. Zacisnął zęby i zadzwonił.

Drzwi otworzył rudy mężczyzna średniego wzrostu i w średnim wieku.

— Ach, musisz być tym facetem z Ziemi. Janna się szykuje... Wejdz i poznaj żonę.

Powiódł Goodmana do przyjemnie urządzonej bawialni i wcisnął czerwony guziczek w ścianie. Niebieskawa mgła derrsinowa nie zaskoczyła tym razem Goodmana. W końcu sposób, w jaki Tranajanie traktowali swoje kobiety, był ich wyłączną sprawą.

Z mgły wyłoniła się przystojna, mniej więcej dwudziestoosmioletnia kobieta.

— Moja droga — rzekł Vley — to jest Ziemianin, pan Goodman.

— Jakże miło pana poznać — powiedziała pani Vley. — Zrobić panu drinka?

Goodman skinął głową. Vley wskazał mu wygodne krzesło. Po chwili pani Vley przyniosła tacę oszronionych napitków i usiadła.

— Więc jest pan z Ziemi — rzekł pan Vley. — Nerwowe, zatłoczone miejsce, prawda? Ludzie bez przerwy w galopie?

— Tak, chyba tak jest — odparł Goodman.

Ze schodów dobiegł szelest spódnicy. Goodman poderwał się na nogi.

— Panie Goodman, to nasza córka Janna — powiedziała pani Vley.

Goodman dostrzegł z miejsca, że włosy Janny są dokładnie tego samego koloru co supernowa w Circe, oczy mają ten sam głęboki, niewiarygodny błękit jesiennego nieba nad Algo II, że łagodny róż jej ust przypomina smugę odrzutu Scarslotta–Turnera, że jej nos...

Ale tu mu się skończyły porównania astronomiczne, które tak czy owak nie były najodpowiedniejsze. Janna była smukłą i zdumiewająco ładną, jasnowłosą dziewczyną i Goodman doznał nagle poczucia wielkiego zadowolenia, że przemierzywszy Galaktykę dotarł na Tranai.

— Bawcie się dobrze, dzieci — rzekła pani Vley.



— Nie wracaj zbyt późno — powiedział do Janny pan Vley.

Dokładnie tak, jak ziemscy rodzice mówią do swoich dzieci.

W randce nie było nic egzotycznego. Poszli do niedrogiemu klubu nocnego, tańczyli, trochę pili i wiele rozmawiali.

Goodman był zaskoczony ich natychmiastowym porozumieniem. Janna zgadzała się ze wszystkim, co mówił. Odkrycie inteligencji w tak ładnej dziewczynie było doznaniem ożywczym.

Wywarły na niej wielkie wrażenie, może nawet ją zafascynowały niebezpieczeństwa, które przeżył przemierzając Galaktykę. Wiedziała zawsze, że Ziemianie to typy awanturnicze (choć nerwowe), ale ryzyko, jakie podjął Goodman, nie mieściło się w głowie.

Drżała, gdy mówił o śmiertelnie niebezpiecznym Wirze Galaktycznym, i słuchała z szeroko rozwartymi oczami, gdy relacjonował przeprawę przez słynny Szpaler Łamigrzbietów obok krwiożerczych Gnojników, które wciąż wyrzynały się wzdłuż Gwiazdnej Grani i roily w szatańskich norach Progenum. Jak to Goodman ujął, Ziemianie byli żelaznymi ludźmi w stalowych statkach, prowadzącymi zwiad na skrajach Wielkiej Nicości.

Janna nawet się nie odezwała, dopóki Goodman nie powiedział o zapłaceniu pięciuset ziemskich dolarów za szklanekę piwa w Czerwonym Kogucie Moll Gan na Asteroidzie 342-AA.

— Musiałeś być bardzo spragniony — rzekła z troską.

— Niespecjalnie — odparł Goodman. — Forsa po prostu nie jest tam tak ważna.

— ...ale czy nie byłoby lepiej ją zaoszczędzić? To znaczy, któregoś dnia możesz mieć żonę i dzieci... — oblała się rumieńcem.

Goodman oznajmił chłodno:

— Cóż, ta część mojego życia jest już skończona. Zamierzam się ożenić i osiąść tu, na Tranai.

— Jak miło! — wykrzyknęła. To był niezwykle udany wieczór.

Goodman odprowadził Jannę do domu o przyzwoitej godzinie i ustalił randkę na jutrzejszy wieczór. Ośmielony swymi opowieściami, pocałował ją w policzek. Nie wyglądało, by miała coś przeciwko temu, ale nie posunął się dalej.

— Więc do jutra — powiedziała i uśmiechnąwszy się doń, zamknęła drzwi.

Odszedł czując zawroty głowy. Janna! Janna! Czy to możliwe, że już jest zakochany? Czemu nie? Miłość od pierwszego wejrzenia była dowiedzioną możliwością i jako taka jest instytucją w zupełności szacowną. Miłość w utopii! Jakże cudownie, że tu, na doskonałej planecie, znalazł doskonałą dziewczynę!

Z cienia wyszedł mężczyzna i zagroził mu drogę. Goodman dostrzegł, że ma na twarzy czarną jedwabną maskę, spoza której nie widać było nic prócz oczu. Dzierżył wielki i potężny z wyglądu blaster, który mierzył nieruchomo w brzuch Goodmana.

— W porządziu, brachu — rzekł mężczyzna. — Dawaj całą forszę.

— Co? — sapnął Goodman.

— Słyszałeś. Całą forszę. Wręczaj, ale już!

— Nie możesz tego zrobić — rzekł Goodman, za bardzo zbity z tropu, by logicznie myśleć. — Na Tranai nie ma przestępstw!

— A kto mówi, że są? — zapytał spokojnie mężczyzna. — Po prostu proszę o twoje pieniądze. Dasz mi je grzecznie, czy mam je z siebie wytrząsnąć?

— Nie unikniesz odpowiedzialności! Zbrodnia nie popłaca!

— Nie bądź śmieszny — rzekł mężczyzna. Ważył w dłoni swój masywny blaster.

— W porządku. Nie denerwuj się. — Goodman wyjął portfel zawierający cały jego majątek i wręczył gotówkę zamaskowanemu.

Mężczyzna przeliczył ją, wyglądając na mile zaskoczonego.

— Lepiej, niż się spodziewałem. Dzięki, brachu. Teraz spokojnie.

Pospiesznie zniknął w mrocznej ulicy.

Goodman dziko rozglądał się za policjantem, aż sobie przypomniał, że na Tranai nie ma policji. Zobaczył na rogu niewielki cocktail-bar z neonowym napisem Kici Koci Bar. Pognał ku niemu.

Wewnątrz był tylko barman posepnie wycierający szklanki.

— Zostałem obrabowany! — wrzasnął doń Goodman.

— Więc? — rzekł barman, nie podnosząc nawet wzroku.

— Ale myślałem, że na Tranai nie ma przestępstw.

— Bo nie ma.

— Ależ zostałem obrabowany!

— Musisz być tu nowy — rzekł barman, spojrzawszy w końcu na Goodmana.

— Dopiero co przybyłem z Ziemi.

— Ziemia? Nerwowe, zatłoczone mie...

— Tak, tak — zgodził się Goodman. Ten stereotyp poczynał go z lekka nużyć. — Ale jak na Tranai może nie być przestępstw, skoro zostałem obrabowany?

— Przecież to jasne. Na Tranai rabunek nie jest przestępstwem.

— Ale rabunek zawsze jest przestępstwem. — Jakiego koloru była jego maska?

Goodman zastanawiał się przez chwilę.

— Czarna. Czarny jedwab.

Barman skinął głową.

— Więc był rządowym poborcą podatków.

— To śmieszny sposób pobierania podatków — warknął Goodman.

Barman postawił przed Goodmanem Pospiesznego na Tranai.

— Spróbuj na to spojrzeć w kategoriach dobra ogólnego. Rząd musi mieć jakieś pieniądze. Pozyskując je w ten sposób, możemy uniknąć podatku dochodowego z całym jego skomplikowanym aparatem prawnym i ustawodawczym. A znów w kategoriach zdrowia psychicznego jest czymś o wiele lepszym wyciągnięcie pieniędzy w krótkiej, szybkiej i bezlitosnej operacji, niż pozwalanie obywatelowi na całoroczną troskę wynikłą z konieczności płacenia w jakimś określonym terminie.

Goodman pochłonął swojego drinka i barman postawił przed nim następnego.

— Ale — powiedział Goodman — sądziłem, że podstawą tego społeczeństwa są koncepcje wolnej woli i inicjatywy indywidualnej.

— Bo tak jest — odrzekł barman. — I wobec tego rząd, jakkolwiek skromnie się przedstawia, ma takie same prawo do wolnej woli jak każdy prywatny obywatel, nieprawdaż?

Goodman niezupełnie mógł to wszystko pojąć, skończył więc swojego drugiego drinka.

— Mógłbym dostać jeszcze jednego? Zapłacę, jak tylko będę mógł.

— Jasne, jasne — zgodził się barman jowialnie, nalewając po szklaneczce dla siebie i dla Goodmana.

Goodman powiedział:

— Pytałeś mnie, jakiego koloru miał maskę. Dlaczego?

— Czarny to kolor masek rządowych. Prywatni obywatele zakładają białe maski.

— Twierdzisz, że prywatni obywatele również dopuszczają się rabunków?

— No, oczywiście! To nasza metoda rozdziału dóbr. Egalitaryzacja dochodu dokonuje się bez interwencji rządu, nawet bez systemu podatkowego, wyłącznie środkami inicjatywy indywidualnej.

— Barman z emfazą skinął głową. — I to też sprawdza się doskonale. Wiesz, rabunek to potężne narzędzie wyrównywania.

— Sądzę, że masz rację — przyznał Goodman, kończąc trzeciego drinka. — Jeśli więc pojmuje cię prawidłowo: każdy obywatel może wsadzić w kieszeń blaster, założyć maskę, wyjść na ulicę i rabować.

— Dokładnie tak — odparł barman. — W pewnych granicach, oczywiście.

Goodman parsknął.

— Mogę zagrać według tych reguł. Mógłbyś pożyczyć mi maskę? I broń?

Barman sięgnął pod ladę.

— Tylko zwróć na pewno. Pamiątki rodzinne.

— Oddam — obiecał Goodman. — A jak wrócę, zapłacę za swoje drinki.

Wsunął blaster za pasek, zakrył twarz maską i wyszedł z baru. Jeśli tak stoją sprawy na Tranai, to on się dostosuje. Obrabowali go, nie? To teraz on im zrabuje, co jego, a nawet z nawiązką.

Znalazł odpowiedni róg ulicy, skulił się w cieniu i czekał. W końcu usłyszał odgłos kroków i wyjrzawszy zza rogu dostrzegł tęgiego, dobrze ubranego Tranajczyka spieszącego ulicą.

Goodman zastąpił mu drogę i warknął: — Stój no, brachu!

Tranajczyk zatrzymał się i spojrzał na blaster Goodmana. — Hmm. Używamy szerokolufowego Droga 3, co? Raczej staromodna broń. Jak ci się sprawdza?

— W porządku — odparł Goodman. — Dawaj swoją...

— A jednak mechanizm spustowy jest zbyt powolny — dumął Tranajczyk. — Osobiście doradzałbym igłowca Milsa-Sleevena. Tak się składa, że jestem komiwojażerem Rusznikarni Sleeveva. Mógłbym zaproponować ci bardzo korzystny zakup lub zamianę z dopłatą...

Tęgi Tranajczyk uśmiechnął się.

— Zasadniczym defektem twego Droga 3 jest to, że nie wystrzeli, dopóki nie odwiedzisz kurka. — Wyciągnął rękę i wytrącił broń z dłoni Goodmana. — Widzisz? I nic w tej sprawie nie mogłeś zrobić. — Zaczął się oddalać.

Goodman podniósł blaster, znalazł kurek, odwiódł go i pogonił za Tranajczykiem.

— Ręce do góry — rozkazał, zaczynając odczuwać lekką desperację.

— Nie, nie, mój dobry człowieku — rzekł Tranajczyk nawet się obejrzawszy. — Tylko jedna próba na klienta. Nie można łamać niepisanych praw, kapujesz.

Goodman stał i gapił się, aż mężczyzna skręcił za róg i zniknął. Uważnie sprawdził swego Droga 3 i upewniwszy się, że wszelkie zabezpieczenia są uwolnione, zajął ponownie stanowisko.

Po godzinnym oczekiwaniu znów usłyszał kroki. Mocniej ścisnął blaster. Tym razem zamierzał dokonać rabunku i nic nie mogło go powstrzymać.

— W porządziu, brachu — rzekł. — Łapy do góry! Tym razem ofiarą był niski, krępy Tranajczyk, ubrany w stare ciuchy robocze. Zagapił się na broń w dłoni Goodmana.

— Panie, niech pan nie strzela! — błagał Tranajczyk. To już lepiej!

Goodman doznał przyływu głębokiej satysfakcji.

— Tylko się nie ruszać — ostrzegł. — Wszystkie zabezpieczenia odwiedzione.

— Widzę to — rzekł, kuląc się, krępy. — Niech pan uważa z tą armatą, proszę pana. Nawet włoskiem nie ruszam.

— Lepiej, żebyś nie ruszał. Dawaj pieniądze.

— Pieniądze?

— Tak, twoje pieniądze i pospiesz się.

— Nie mam żadnych pieniędzy — zaskomlił mężczyzna. — Panie, jestem biedakiem. Nędzarzem.

— Nie ma nędzy na Tranai — rzekł Goodman sentencjonalnie.

— Wiem, ale można się o nią otrzeć tak blisko, że nie widać różnicy. Niech mi pan da szansę, panie.

— Nie masz żadnej inicjatywy? — zapytał Goodman. — Jeśli jesteś biedny, to dlaczego nie wyjdiesz rabować jak wszyscy inni?

— Po prostu nie miałem możliwości. Najpierw córeczka dostała kokluszę i czuwałem przy niej długo w noc. Potem nawalił derrsin, więc przez cały dzień miałem na karku paplającą żonę. Powiadam, że w każdym domu powinien być zapasowy derrsin! Więc kiedy naprawiono generator, postanowiła posprzątać mieszkanie i wetknęła gdzieś mój blaster, a potem zapomniała gdzie. Więc już się szykowałem, żeby pożyczyć blaster od przyjaciela, gdy...

— Dość — powiedział Goodman. — To jest rabunek i zamierzam coś ci zrabować. Podaj swój portfel. Mężczyzna żałośnie pociągnął nosem i wręczył Goodmanowi podniszczony portfel. W środku

Goodman znalazł jednego diglo, odpowiednik ziemskiego dolara.

— To wszystko, co mam — znów żałośnie pociągnął nosem mężczyzna — ale bierz, daję z serca. Wiem, jak to jest, gdy się stoi całą noc na wietrznym rogu...

— Zatrzymaj to — rzekł Goodman i oddawszy mężczyźnie portfel począł się oddalać.

— Buu, dzięki, proszę pana!

Goodman nie odpowiedział. Strapiony wrócił do Kici Koci Baru i oddał barmanowi blaster i maskę. Gdy wyjaśnił, co zaszło, barman wybuchnął szorstkim śmiechem.

— Nie miał pieniędzy! Człowieku, to najstarszy trik w podręcznikach. Każdy nosi fałszywy portfel na wypadek rabunku — czasem nawet dwa lub trzy. Przeszukałeś go?

— Nie — przyznał się Goodman.

— Bracie, ależ z ciebie żółtodziób!

— Chyba masz rację. Posłuchaj, naprawdę zapłacę ci za te drinki, gdy tylko dojdę do jakiejś forsy.

— Jasne, jasne — odrzekł barman. — Lepiej idź teraz do domu i prześpij się trochę. Miałeś pracowitą noc.

Goodman zgodził się z tym. Znużony wrócił do swego pokoju hotelowego i zasnął natychmiast, gdy jego głowa opadła na poduszkę.

Stawiwszy się w Zakładach Robotów Domowych Abbaga jął się mężnie borykać z problemem oddoskonalania automatów. Ziemską wynalazczość wnet dała o sobie znać.

Goodman począł syntetyzować nowy plastik na powłokę robota. Był to silikon, pochodny silikitu, który pojawił się na Ziemi ładny kawał czasu temu. Miał wszystkie przymioty, jeśli chodzi o twardość, sprężystość, odporność na długą eksploatację; mógł również znieść masę urazów. Ale powłoka rozpadała się natychmiast, i to bardzo spektakularnie, otrzymawszy kopniaka zadanego z siłą trzydziestu funtów lub więcej.

Pracodawca pochwalił Goodmana za to odkrycie, dał gratyfikację (której Goodman rozpaczliwie potrzebował), i polecił nadal pracować nad pomysłem, by jeśli to możliwe, obniżyć pożądaną siłę do dwudziestu trzech funtów. Tak bowiem, zdaniem działu badań, przedstawiały się parametry przeciętnego kopniaka frustracyjnego.

Goodman zajęty był tak bardzo, że praktycznie nie miał czasu, by prowadzić dalsze studia nad tranajskimi obyczajami i nawykami. Zdołał jednak odwiedzić Lokal Obywatelski. Ta jedyna w swoim rodzaju tranajska instytucja mieściła się w małym budynku przy cichej, bocznej uliczce.

Wszedłszy, stanął przed wielkim pulpitem, na którym znajdowały się plakietki z nazwiskami i tytułami wszystkich urzędników państwowych Tranai. Obok każdego nazwiska był guzik. Facet z obsługi pouczył Goodmana, że przez naciśnięcie guzika obywatel wyraża dezaprobatę wobec posunięć tego czy innego urzędnika. Naciśnięcie jest natychmiast rejestrowane w Sali Historycznej i stanowi niewymazywalny minus na koncie funkcjonariusza.

Nieletnim, oczywiście, naciskać guzików nie pozwalano.

Goodman uznał ten system za niezbyt efektywny, ale być może, powiedział sobie, oficjele Tranai są motywowani inaczej niż ich ziemscy koledzy.

Spotykał się z Janną niemal każdego wieczoru i pospołu eksploatowali rozmaite kulturalne „aspekty” Tranai: cocktail-bary, filharmonie, wystawy sztuki, muzea nauki, targi i festiwale. Goodman nosił blaster i po kilku nieudanych próbach zdołał obrabować kupca z pięciuset diglo.

Janna, jak przystało rozsądnej tranajskiej dziewczynie, wpadła po tym sukcesie w ekstazę i urządzili fetę w Kici Koci Barze. Rodzice Janny zgadzali się, że Goodman sprawia wrażenie człowieka dobrze troszczącego się o środki utrzymania.

Następnej nocy owych pięćset diglo — plus trochę pieniędzy z gratyfikacji Goodmana — zrabował z kolei mężczyzna w przybliżeniu wzrostu i budowy barmana z Kici Koci, posługujący się prehistorycznym Drogiem 3.

Goodman pocieszał się myślą, że pieniądź krąży swobodnie, tak, jak zakłada to system.

Potem przeżył kolejny triumf. Pewnego dnia w Zakładach Robotów Domowych Abbaga wymyślił kompletnie nowy proces produkowania powłoki robota. Rzecz polegała na specjalnym plastiku, odpornym na poważne nawet stuknięcia i upadki. Właściciel robota musiał nosić specjalne buty z wtopionym w obcasy katalizatorem. Gdy kopał robota, katalizator wchodził w reakcję z plastikową powłoką; efekt był natychmiastowy i bardzo przyjemny.

Zrazu Abbag nie był szczególnie przekonany — pomysł wydawał się zbyt karkołomny. Ale chwycił z miejsca i Zakłady Robotów Domowych zaangażowały się marginalnie w branżę obuwniczą, sprzedając przynajmniej jedną parę butów do każdego robota.

Owa horyzontalna ekspansja przemysłowa okazała się wielce satysfakcjonująca dla akcjonariuszy fabryki i była nawet ważniejsza niż oryginalny wynalazek plastiku i katalizatora. Goodman otrzymał znaczną podwyżkę pensji i hojną premię.

Żeglując na grzbiecie swej triumfalnej fali, oświadczył się Jannie i z miejsca został przyjęty. Jej rodzice sprzyjali związkowi i pozostawało tylko zdobyć oficjalne błogosławieństwo rządu, z technicznego bowiem punktu widzenia Goodman wciąż był innoplanetałem.

Wziął przeto wolny dzień i powędrował do Gmachu Idriga, by się zobaczyć z Melithem. Był przepyszny wiosenny dzionek, jeden z tych, jakie Tranai ma przez dziesięć miesięcy w roku, i Goodman kroczył lekko i sprężysto. Kochał, robił karierę i rychło miał się stać obywatelem utopii.

Oczywiście, utopii przydadzą się pewne zmiany, nawet bowiem Tranai nie jest zupełnie doskonała. Może przyjmie Najwyższą Prezydenturę, by przeprowadzić niezbędne reformy. Ale bez pośpiechu...

— Hej, panie — rozległ się głos. — Nie zbywa panu digło?

Goodman spojrzał w dół i dostrzegł przycupniętego na chodniku brudnego starca w łachmanach, który trzymał cynowy kubek.

— Co? — zapytał Goodman.

— Nie zbywa ci digło, bracie? — powtórzył staruch przypoehlebnie. — Nie dałbyś pan biedakowi na kubek ogło? Od dwóch dni nic nie jadłem, panie.

— To haniebne! Czemu nie weźmiesz blastera i nie obrabujesz kogoś na ulicy?

— Jestem zbyt stary — zaskomlał tamten. — Ofiary tylko się ze mnie śmieją.

— Czy masz pewność, że nie jesteś po prostu leniwy? — zapytał Goodman surowo.

— Nie jestem, sir! — upewnił go żebrak. — Niech pan tylko spojrzy, jak mi drżą ręce!

Wyciągnął obie brudne łapy: trzęsły się.

Goodman wyjął portfel i wręczył starcowi digło. — Myślałem, że na Tranai nie ma ubóstwa. Rozumiałem, że rząd zajmuje się ludźmi w podeszłym wieku.

— Bo też się zajmuje — powiedział starzec. — Niech pan spojrzy. — Wyciągnął swój kubek — na jego ściance wygrawerowany był napis: AUTORYZOWANY ŻEBRAK RZĄDOWY. NUMER DR-43241-3.

— Masz na myśli, że rząd skłania cię do tej roboty?

— Rząd pozwala mi wykonywać tę robotę — wyjaśnił stary. — Żebranie jest zajęciem rządowym zarezerwowanym dla wiekowych i upośledzonych.

— Ale to haniebne!

— Musisz być tu obcy.

— Jestem Ziemianinem.

— Aha! Nerwowi, zaganiani ludzie, tacy jesteście, co?

— Nasz rząd nie pozwala obywatelom żebrać — oświadczył Goodman.

— Nie? No to co robią starzy? Żyją na łasce dzieci? Czy może siedzą w jakimś domu starców, czekając na śmierć z nudów? Ale nie tu, młodzieńcze. Na Tranai każdemu staremu człowiekowi



zapewnia się posadę rządową, która nie wymaga specjalnych umiejętności, choć umiejętności są pomocne. Jedni proszą o pracę pod dachem, w kościołach i teatrach. Inni lubią podniecenie targów i karnawałów. Osobiście wolę robotę na świeżym powietrzu, w słończku. Zmusza mnie do umiarkowanego wysiłku, pozwala spotykać wielu dziwnych i interesujących ludzi takich jak ty.

— Ale żebranie?

— A do jakiej innej pracy jestem predysponowany?

— Nie wiem. Ale... ale popatrz na siebie! Brudny, nie myty, w plugawych szmatach...

— To moje ciuchy robocze — wyjaśnił żebrak rządowy. — Powinieneś zobaczyć mnie w niedzielę.

— Masz i inne ubrania?

— Jasne, że mam, a do tego przyjemne mieszkanie, łożę w operze, dwa roboty domowe i prawdopodobnie więcej forsy na koncie, niż widziałeś w życiu. Miło było z tobą pogadać, młodzieńcze, i dzięki za wsparcie. Ale muszę wracać do pracy, co i tobie bym radził.

Goodman oddalił się, a zerknąwszy przez ramię zaobserwował, że interes żebraka rządowego kwitnie.

Ale — żebranie!

Zaiste, coś takiego powinno się ukrócić. Jeśli przyjmie kiedykolwiek Prezydenturę — a jest nader oczywiste, że powinien — zbada tę kwestię dokładnie.

Miał wrażenie, iż musi być rozwiązanie godziwsze.

W Gmachu Idriga Goodman opowiedział Melithowi o swych planach matrymonialnych.

Minister imigracyjny był pełen entuzjazmu.

— Cudownie, absolutnie cudownie — rzekł. — Rodzinę Vleyów znam od dawna. To wspaniali ludzie. A Janna jest dziewczyną, z której byłby dumny każdy mężczyzna.

— Czy nie ma jakichś formalności, które powinienem był dopełnić? — zapytał Goodman. — Jestem innoplanetałem i w ogóle...

— Żadnych, ale to żadnych. Postanowiłem odpuścić wszelkie formalności. Możesz zostać obywatelem Tranai, jeśli tego chcesz, przez prosty akt ustnej deklaracji. Albo możesz zatrzymać obywatelstwo ziemskie i nikt się nie pogniewa. Albo możesz uczynić obie rzeczy na raz — być obywatelem i Ziemi, i Tranai. Jeśli Ziemia nie będzie miała nic przeciwko temu, to my też nie.

— Sądzę, że wolałbym zostać obywatelem Tranai — powiedział Goodman.

— To w zupełności zależy od ciebie. Ale jeśli myślisz o Prezydenturze, to przecież możesz zachować status Ziemianina i mimo to objąć urząd. Nie jesteśmy wcale sztywni w tych kwestiach. Jednym z naszych najbardziej udanych Najwyższych Prezydentów był pochodzący od płazów facet z Aquarelli XI.

— Jakże światłe podejście!

— Jasne, dać każdemu szansę, to nasze motto. A teraz co do ślubu — ceremonii może dokonać każdy urzędnik państwowy. Najwyższy Prezydent Borg byłby szczęśliwy mogąc to zrobić dziś po południu, jeśli masz ochotę. — Melith puścił oko. — Stary pierdoła lubi całować panny młode. Ale myślę, że ciebie naprawdę ceni.

— Dziś po południu? — zastanowił się Goodman. — Tak, chciałbym wziąć ślub dziś po południu, jeśli Janna się zgodzi.

— Prawdopodobnie się zgodzi — upewnił go Melith. — Sprawa kolejna: gdzie będziecie mieszkać, jak wrócicie z miodowego miesiąca? Pokój hotelowy byłby raczej nieodpowiedni. — Rozmyślał przez chwilę. — Wiesz, co ci powiem? Mamy mały domek na skraju miasta. Czemu nie mielibyście się tam wprowadzić, nim znajdziecie coś lepszego? Albo zostać na stałe, jeśli się wam spodoba?

— Słowo daję — zaprotestował Goodman — jesteś zbyt hojny.

— Daj sobie spokój. Myślałeś może o tym, żeby zostać następnym ministrem imigracyjnym? Żadnej biurokracji, krótkie godziny pracy, dobra pensja. Nie? Masz na oku Najwyższą Prezydenturę, co? Chyba nie mogę ci mieć tego za złe.

Pogrzebawszy w kieszeniach, Melith znalazł dwa klucze.

— Ten od drzwi frontowych, a ten od kuchennych. Adres jest na nich wygrawerowany. Dom ma pełne wyposażenie, w tym fabrycznie nowy generator pola derrsinowego.

— Derrsin?

— Jasne. Dom na Tranai nie jest całkowicie wyposażony, dopóki nie ma generatora derrsinowego pola stazy.

Chrzążnąwszy Goodman powiedział ostrożnie:

— Miałem zamiar spytać cię o to — dokładnie do czego używa się pola stazy?

— No, żeby trzymać tam swoją żonę — odparł Melith. — Sądziłem, że wiesz.

— Wiem, ale dlaczego?

— Dlaczego? — Melith zmarszczył brwi. Najoczywieściej kwestia taka nigdy nie przyszła mu do głowy. — Dlaczego robi się to czy owo? Zwyczaj, ot i wszystko. A poza tym bardzo logiczny zwyczaj. Nie chciałbyś chyba słuchać na okrągło babskiego paplania, dzień i noc?

Goodman oblał się rumieńcem, odkąd bowiem poznał Jannę, rozmyślał tylko o tym, jakże miło by ją było mieć u boku dzień i noc.

— Nie wygląda to na zbyt uczciwe wobec kobiet — stwierdził Goodman.

Melith roześmiał się.

— Mój drogi przyjacielu, czyżbyś głosił doktrynę równości płciowej? To naprawdę skompromitowana teoria. Mężczyźni i kobiety są po prostu różni. Nie są tacy sami, bez względu na to, co mówiono ci na Ziemi. Co dobre dla mężczyzny, nie jest konieczne, a nawet — zazwyczaj — dobre dla kobiety.

— Traktujecie je tedy jako istoty niższe — rzekł Goodman, w którym poczęła kipieć reformatorska krew.

— Wcale nie. Traktujemy je w inny sposób niż mężczyzn, ale nie w sposób dowodzący ich niższości. Tak czy owak, one nie mają zastrzeżeń.

— A to dlatego, że nie miały okazji pokosztować lepszego losu. Czy jest jakieś prawo nakazujące mi przetrzymywanie żony w polu derrsinowym?

— Oczywiście, nie ma. Zwyczaj sugeruje po prostu, byś przywoływał ją ze stazy na określony tygodniowo czas. Nie jest w porządku pudłować kobietkę całkowicie, rozumiesz.

— Oczywiście, że nie jest — stwierdził Goodman sarkastycznie. — Trzeba jej dać czasem pożyć.

— I o to chodzi — rzekł Melith, nie dostrzegłszy sarkazmu w słowach Goodmana. — Zaczynasz kapować.

Goodman wstał.

— Czy to wszystko?

— Myślę, że mniej więcej. Dużo szczęścia i w ogóle.

— Dziękuję — odparł Goodman sztywno i odwróciwszy się gwałtownie, wyszedł.

Tego popołudnia w Dworzyszczu Narodowym Najwyższy Prezydent Borg dokonał prostych tranajskich obrzędów ślubnych, a potem z zapałem ucałował pannę młodą... Była to piękna ceremonia i tylko jedna rzecz rzuciła na nią cień.

Na ścianie Borga wisiała strzelba wyposażona w tłumik i lunetkę. Była bliźniaczo podobna do broni Melitha i równie niepojęta.

Borg odprowadził Goodmana na bok i zapytał:

— Czy rozważałeś poważniej sprawę Prezydentury?

— Wciąż mam ją na uwadze — odrzekł Goodman. — Tak naprawdę, to wcale bym nie chciał sprawować urzędów publicznych...

— Nikt nie chce.

— ...ale są pewne reformy, których Tranai na gwałt potrzebuje. Myślę, że zwrócenie na nie uwagi ludu może być moim obowiązkiem.

— To się nazywa duch! — powiedział Borg z aprobatą w głosie. — Od jakiegoś już czasu nie mieliśmy naprawdę przedsiębiorczego prezydenta. A czemu nie miałbyś przejąć urzędu od razu? Moglibyście wówczas spędzić miesiąc miodowy tylko we dwoje w Dworzyszczu Narodowym.

Goodman odczuwał pokusę, ale nie chciał, by sprawy państwowe zakłócały mu miesiąc miodowy, który tak czy owak był już zaplanowany. Skoro Tranai wytrzymała tak długo w swym prawie utopijnym stanie, może niewątpliwie poczekać jeszcze kilka tygodni.

— Rozważę to sobie, gdy wrócimy — oznajmił w końcu.

Borg wzruszył ramionami.

— Cóż, myślę, że zdołam unieść to brzemie jeszcze jakiś czas. Och, i to — wręczył Goodmanowi zaklejoną kopertę.

— Co to jest?

— Po prostu standardowa porada — rzekł Borg. Pospiesz się, panna młoda czeka.

— Chodź już, Marvin! — zawołała Janna. — Nie chcesz chyba, żebyśmy spóźnili się na statek!

Goodman popędził za nią, by wsiąść do limuzyny z portu kosmicznego.

— Powodzenia! — zawołali rodzice.

— Powodzenia! — wrzasnął Borg.

— Powodzenia! — dorzucił Melith, jego żona i wszyscy pozostali goście.

W drodze do portu Goodman otworzył kopertę i przeczytał drukowany arkusz:

*Zawarłeś właśnie związek małżeński i oczekujesz, co zupełnie naturalne, całego życia w małżeńskiej szczęśliwości. I jest to jak najbardziej właściwe, szczęśliwe małżeństwo bowiem jest ostoją dobrego rządu. Musisz jednak uczynić więcej, niż tylko żywić takie pragnienie. Szczęśliwe małżeństwo nie staje się twoim udziałem za sprawą łaski bożej. Na dobre małżeństwo trzeba zapracować.*

*Pamiętaj, że twoja żona jest istotą ludzką. Powinno się ją obdarzyć pewną dozą wolności, do której ma niezbywalne prawo. Sugerujemy, byś powoływał ją ze stazy przynajmniej raz w tygodniu. Zbyt długi pobyt w stazie nie służy dobrej orientacji. Zbyt wiele stazy źle wpływa na cerę i nie tylko dla niej jest to niekorzystne, ale również i dla ciebie.*

*W przerwach, takich jak weekendy czy wakacje, pozwala się zwykle żonie funkcjonować poza stazą cały dzień bez przerwy, niekiedy nawet przez dwa albo trzy dni. Zaszkozić to nie może, a urozmaicenie zdarza cuda, jeśli chodzi o jej samopoczucie.*

*Miej w pamięci garść tych zdroworozsądkowych zasad, a możesz być pewien, że twe małżeństwo będzie szczęśliwe.*

*Rządowa Rada Matrymonialna*

Goodman powoli porwał kartkę na drobne strzępy i upuścił je na podłogę limuzyny. Jego duch reformatora był już całkowicie rozbudzony. Wiedział, że Tranai jest zbyt piękna, by mogła być prawdziwa. Ktoś musiał zapłacić doskonałość. W tym przypadku — kobiety.

Znalazł pierwszą poważną skazę w raj.

— Co to było, kochanie? — zapytała Janna, spojrzawszy a strzępy papieru.

— To była pewna bardzo głupia rada — odparł Goodman. — Moja droga, czy myślałaś kiedykolwiek — tak naprawdę myślałaś — o ślubnych zwyczajach tej swojej planety?

— Nie sędzę. Czy nie są słuszne?

— Są złe, zupełnie złe. Traktuje się tu kobiety jak zabawki, jak lalki, które po skończeniu zabawy kładzie się na półkę. Czy tego nie dostrzegasz?

— Nigdy o tym nie myślałam.

— Cóż, teraz możesz pomyśleć — powiedział Goodman — bo dokonają się pewne zmiany, a damy im początek w naszym domu.

— Co tylko uznasz za najlepsze, ukochany — rzekła Janna z szacunkiem.

Uścisnęła jego ramię. On ją pocałował.

A potem limuzyna dotarła do portu i wsiedli na pokład statku kosmicznego.

Ich miesiąc miodowy na Doe był jak krótka podróż przez raj bez skazy. Cuda małego księżycy Tranai stworzono dla kochanków i tylko dla kochanków.

Żaden biznesmen nie wpadł na Doe na krótki odpoczynek; żaden drapieżny kawaler nie polował na jej ścieżkach. Strudzeni, rozczarowani, pełni lubieżnych nadziei musieli sobie znaleźć inne łowiska. Jedyne, srodze przestrzegane prawo Doe brzmiało: tylko we dwoje, szczęśliwi i zakochani, wstęp w innym stanie uczuć wzbroniony.

Był to jedyny z tranajskich obyczajów, który Goodman docenił bez trudu.

Były na małym księżycu łąki z wysoką trawą i zielone lasy do spacerów, a w lasach chłodne czarne jeziora; były postrzępione malownicze szczyty, które aż się prosiły, by je zdobyć. Kochankowie, ku swej wielkiej uciechy, bez przerwy gubili się w lasach, ale nie gubili się na dobre, bo cały księżyc można było obejść w przeciągu jednego dnia. Dzięki słabej grawitacji nikt nie zdołałby utonąć w jeziorach, a upadek ze szczytu góry napawał wprawdzie lękiem, ale prawie nie przynosił uszczerbku.

W punktach strategicznych rozrzucono małe hoteliki z dyskretnie oświetlonymi barami, w których królowali sympatyczni siwowłosi barmani.

Nie brakło posępnych podziemnych korytarzy, które głębiej (ale nie za głęboko) rozszerzały się w fosforyzujące, roziskrzone lodem jaskinie i biegły obok ospałych, podziemnych rzek, w których pływały świetliste ryby o ognistych oczach.

Rządowa Rada Matrymonialna uznała te proste atrakcje za wystarczające i nie zatroszczyła się ani o tereny golfowe, ani o baseny, ani o szlaki do przejażdżek konnych, ani o pola do gry w gazdę. Wynikało to z przekonania, że skoro już małżeństwo potrzebuje tych rzeczy, miesiąc miodowy ma za sobą.

Goodman i jego małżonka spędzili na Doe magiczny tydzień, ale w końcu wrócili na Tranai.

Pierwszą rzeczą, jaką Goodman uczynił, przeniósłszy pannę młodą przez próg ich nowego domu, było rozłączenie generatora derrsinowego.

— Moja droga — rzekł — aż do tej chwili przestrzegałem wszystkich tranajskich obyczajów, nawet tych, które wydawały mi się groteskowe. Ale tej jednej rzeczy nie zaaprobuję. Na Ziemi byłem założycielem Komitetu Równych Szans Zawodowych dla Kobiet. Na Ziemi traktujemy nasze kobiety jak równych sobie towarzyszy, jak partnerów w przygodzie życia.

— Cóż za osobliwy koncept — powiedziała Janna i chmura przemknęła przez jej śliczną twarzyczkę.

— Pomyśl tylko — nie ustępował Goodman — nasze życie będzie znacznie bardziej satysfakcjonujące, jeśli zamiast zamykać cię w seraju pola derrsinowego, pozwolę ci trwać u mego boku. Czy się ze mną zgadzasz?

— Wiesz o wiele więcej niż ja, kochany. Podróżowałaś po całej Galaktyce, gdy ja nie ruszyłam się z Port Tranai. Jeśli mówisz, że tak będzie najlepiej — to będzie.

Ponad wszelką wątpliwość, pomyślał Goodman, jest najdoskonalszą z kobiet.

Wrócił do swej pracy w Zakładach Robotów Domowych Abbaga i rychło zagłębił się w kolejny projekt oddoskonaleń. Tym razem wpadł na błyskotliwy pomysł uczynienia przegubów robota trzeszczącymi i skrzypiącymi. Dźwięki te podniosą irytacyjne zalety robota, przez co jego unicestwienie, bardziej teraz wartościowe z psychologicznego punktu widzenia, stanie się również aktem przyjemniejszym. Pan Abbag nie posiadał się z radości, dał Goodmanowi kolejną podwyżkę i kazał przygotować oddoskonalenie do rychłego wdrożenia.

Pierwszy plan Goodmana polegał na wyeliminowaniu części procesu smarowania, okazało się jednak, że tarcie uszkodzi zbyt szybko żywotne elementy maszyny. A do tego, naturalnie, nie można było dopuścić.

Począł więc szkicować zarys wbudowanego modułu skrzypiąco-trzeszczącego. Musiał brzmieć absolutnie realistycznie i nie powodować rzeczywistych uszkodzeń. Musiał być tani i mały, bo wewnątrz robota wypełnione już było po brzegi różnymi oddoskonaleniami.

Atoli Goodman przekonał się, że taki mały produkujący trzaski moduł brzmi sztucznie, większe zaś są zbyt kosztowne i nie mieszczą się w powłoce robota. Zaczął pracować po kilka wieczorów w tygodniu, schudł i stał się drażliwy.

W Jannie miał żonę, na której można było polegać. Posiłki zawsze były gotowe na czas, wieczorami krzepiła go wesołym słowem i ze zrozumieniem słuchała o jego kłopotach. W ciągu dnia nadzorowała sprzątaną domu przez roboty domowe. Zajmowało to nie więcej niż godzinę, później więc czytała książki, wypiekała ciasta, robiła na drutach i niszczyła roboty.

Goodman był tym lekko zaniepokojony, czyniła to bowiem w tempie trzy — cztery sztuki tygodniowo. Ale przecież każdy musi mieć jakieś hobby. Stać go było na to, by jej pobłażać, gdyż kupował maszyny po kosztach własnych.

Goodman znalazł się w kompletnym impasie, gdy inny projektant, człowiek o nazwisku Dath Hergo, wystąpił z projektem zmodernizowanego systemu sterowania. Oparty na zasadzie antyżyroskopowej, pozwalał robotowi wejść do pokoju z bocznym przechyłem wynoszącym dziesięć stopni. (Dziesięć stopni, zdaniem działu badań, to najbardziej irytujące przechylenie, jakie może przyjąć robot.) Co więcej, wykorzystując zasadę selekcji przypadkowej, robot mógł słać się na nogach, po pijacku, irytująco, w nieregularnych odstępach — nigdy niczego nie upuszczając, ale będąc od upuszczenia o krok.

Wynalazek ten, co zrozumiałe, okrzyknięto wielkim postępem w inżynierii oddoskonaleniowej. A Goodman przekonał się, że może wbudować swój moduł trzeszcząco–skrzypiący wprost w ośrodek sterujący ślaniem się robota.

W czasopismach fachowych jego nazwisko wymieniano jednym tchem z nazwiskiem Datha Hergo.

Nowa generacja Robotów Domowych Abbaga była sensacją.

W owej chwili Goodman postanowił wziąć z pracy urlop bezpłatny i przyjąć Najwyższą Prezydenturę Tranai. Czuł, że winien jest to społeczeństwu. Jeśli ziemską wynalazczość i wiedza pozwoliła udoskonalić oddoskonalenia, zdoła niechybnie, z jeszcze większym powodzeniem, udoskonalić udoskonalenia. Tranai była bliska utopii. Gdy na cuglach spocznie jego dłoń, mogą przebyć ten ostatni odcinek ku ideałowi.

Udał się do biura Melitha, by to omówić.

— Sądzę, że zawsze jest pole do zmian — rzekł z zadumą Melith. Szef resortu imigracji siedział przy oknie, obserwując przechodniów. — Oczywiście, nasz obecny system funkcjonuje już od dawna i funkcjonuje bardzo dobrze. Nie wiem, co mógłbyś udoskonalić. Nie ma na przykład przestępczości...

— Boście ją zalegalizowali — oświadczył Goodman. — Po prostu wykręciliście się od tego problemu.

— My postrzegamy go inaczej. Nie ma ubóstwa...

— Bo wszyscy kradną. I nie ma problemu ludzi starych, bo rząd przekształcił ich w żebraków. Naprawdę, wiele jest miejsca na zmiany i udoskonalenia.

— Cóż, może — powiedział Melith. — Ale myślę... przerwał raptownie, pognął ku ścianie i ściągnął z niej strzelbę. — Tam jest!

Goodman wyjrzał przez okno. Niżej przechodził człowiek, z pozoru niczym nie różniący się od innych. Usłyszał trzask, a potem zobaczył, że człowiek ów chwieje się i osuwa na chodnik.

Melith zastrzelił go ze swej strzelby z tłumikiem.

— Po co to zrobiłeś? — spytał Goodman zdławionym głosem.

— Potencjalny morderca — odparł Melith.

— Co?

— Rzecz jasna, nie mamy tu rzeczywistej przestępczości, ale będąc ludźmi, musimy stawić czoło takiej możliwości.

— Co takiego zrobił, że stał się potencjalnym mordercą?



— Zabił pięciu ludzi — oznajmił Melith.

— Ale... cholera, człowieku, to nie w porządku! Nie aresztowałeś go, nie postawiłeś przed sądem, nie dałeś szansy skorzystania z adwokata...

— A jak to miałem zrobić? — zapytał lekko poirytowany Melith. — Nie mamy żadnej policji, która by mogła aresztować ludzi, nie mamy systemu prawnego. Dobry Boże, chyba się nie spodziewałeś, że po prostu pozwolę mu iść dalej, co? Nasza definicja mordercy: zabójca dziesięciu ludzi; i ten tam był nieźle zaawansowany. Po prostu nie mogłem siedzieć beczynn timer. Chronić ludzi to mój obowiązek. Mogę cię upewnić, że starannie rozeznałem sprawę.

— To niesprawiedliwe! — wrzasnął Goodman.

— A kto mówi, że sprawiedliwe?! — odwrzasnął Melith. — Co ma sprawiedliwość do utopii?!

— Wszystko! — Goodman z trudem nakazał sobie spokój. — Sprawiedliwość jest podstawą godności ludzkiej, ludzkiego łaknienia...

— Teraz po prostu zapędzasz się w pustosłowie — rzekł Melith ze swym zwykłym, jowialnym uśmiechem. — Spróbuj być realistą. Stworzyliśmy utopię dla istot ludzkich, nie dla świętych, którym ona na nic. Musimy akceptować ułomności ludzkiej natury, a nie udawać, że ich nie ma. Wedle naszego sposobu myślenia aparat policyjny i system prawno-egzekucyjny mają tę skłonność, że tworzą atmosferę zbrodni i akceptację zbrodni. Jest, uwierz mi, lepiej w ogóle nie akceptować możliwości zbrodni. Ogromna większość ludzi powie ci to samo.

— Ale kiedy dochodzi do zbrodni, co przecież nieuniknione.

— Dochodzi tylko do możliwości — upierał się Melith. — A i to rzadziej, niż sobie myślisz. Kiedy więc dochodzi, załatwiamy to szybko i po prostu.

— A jeśli załatwiasz niewłaściwego człowieka?

— Nie możemy załatwić niewłaściwego człowieka. Nie ma na to najmniejszej szansy.

— Dlaczego nie?

— Bo każdy wyeliminowany przez funkcjonariusza rządowego jest z definicji i prawa zwyczajowego potencjalnym przestępcą.

Przez chwilę Marvin Goodman milczał. Potem rzekł:

— Widzę, że rząd dysponuje większą władzą, niż zrazu sądziłem.

— Dysponuje — potwierdził Melith. — Ale nie taką, jaką mu w tej chwili przypisujesz.

Goodman uśmiechnął się ironicznie.

— A czy wciąż mogę prosić o Najwyższą Prezydenturę?

— Jasne. I bez żadnych warunków. Naprawdę chcesz? Przez chwilę Goodman zastanawiał się głęboko. Czy naprawdę jej chce? Cóż, ktoś musi rządzić. Ktoś musi strzec ludzi. Ktoś musi przeprowadzić parę reform w tym utopijnym domu wariatów.

— Tak, chcę — oświadczył.

Rozwarły się drzwi i wpadł do środka Najwyższy Prezydent Borg.

— Cudownie, absolutnie cudownie! Już dziś możesz się przenieść do Dworzyszczu Narodowego. Od tygodnia byłem spakowany i czekałem, aż się zdecydujesz.

— Muszą być jakieś formalności, których trzeba dokonać...

— Żadnych formalności — rzekł Borg, którego twarz połyskiwała od potu. — Absolutnie żadnych. Musimy tylko dokonać przekazania Pieczęci Prezydenckiej, a potem zejść na dół, wymażę w aktach swoje nazwisko i wstawię twoje.

Goodman popatrzył na Melitha. Twarz ministra imigracji była nieprzenikniona.

— W porządku — powiedział.

Borg sięgnął po Pieczęć Prezydencką i począł ją zdejmować z szyi...

Eksplodowała nagle i gwałtownie.

I oto Goodman przekonał się, że ogarnięty grozą patrzy na czerwoną, roztrzaskaną głowę Borga. Najwyższy Prezydent chwiał się przez chwilę, a potem spłynął na podłogę.

Melith zdjął marynarkę i zarzucił ją na głowę Borga. Goodman cofnął się ku krzesłu i opadł na nie. Otworzył usta, ale nie wydobył z nich ani słowa.

— Doprawdy, głupia sprawa — rzekł Melith. — Był tak bliski końca kadencji. Ostrzegałem go w sprawie zaakceptowania budowy tego nowego portu kosmicznego. Ludziom to się nie spodoba, mówiłem. Ale był pewien, że zechcą mieć dwa porty zamiast jednego. Cóż, mylił się.

— Chcesz powiedzieć... rozumiem... jak... co...

— Wszyscy funkcjonariusze rządowi noszą insygnium urzędu, zawierające tradycyjną ilość teozjum, materiału wybuchowego, o którym mogłeś słyszeć — wyjaśnił Melith. — Zapalnik sterowany jest drogą radiową z Lokalu Obywatelskiego. Każdy obywatel ma dostęp do lokalu, w tym celu, by wyrazić dezaprobatę wobec rządu. — Melith westchnął. — I to był ostateczny minus na koncie biednego Borga.

— Pozwalacie ludziom wyrażać dezaprobatę przez wysadzanie w powietrze urzędników państwowych? — wyskrzecztał przerażony Goodman.

— To jedyny sposób, który cokolwiek znaczy — odparł Melith. — Mechanizm kontrolny. Tak jak my mamy w garści obywateli, tak obywatele mają w garści nas.

— I to dlatego chciałem, żebym ja przejął urząd. Dlaczego nikt mi nie powiedział?

— Bo nie pytałeś — rzekł Melith z cieniem uśmiechu. Nie bądź taki przerażony. Skrytobójstwo jest zawsze możliwe, wiesz, na każdej planecie, pod każdymi rządami. Próbujemy zeń uczynić zjawisko konstruktywne. W naszym systemie ludzie nigdy nie tracą kontaktu z rządem, a rząd nigdy nie próbuje sięgać po władzę dyktatorską. A skoro każdy może się udać do Lokalu Obywatelskiego, to sam się zdziwisz, jak skąpo z tego prawa korzysta. Oczywiście, zawsze są zapaleńcy...

Goodman podniósł się na nogi i nie patrząc na ciało Borga ruszył ku drzwiom.

— Czyżbyś nie chciał już Prezydentury? — zapytał Melith.

— Nie

— Tacy już wy, Ziemianie, jesteście — zauważył ze smutkiem Melith. — Pragniecie odpowiedzialności tylko wtedy, gdy nie zakłada podejmowania ryzyka. To złe podejście, gdy chce się kierować rządem.

— Może masz rację — rzekł Goodman. — Rad po prostu jestem, że się w porę zorientowałem.

Pospieszył do domu.

Gdy doń wkraczał, jego duszą rządził kompletny chaos. Czy Tranai jest utopią, czy domem wariatów rozmiarów planety? Jaka zresztą różnica? Po raz pierwszy w życiu Goodman zastanawiał się, czy utopia jest warta świeczki. Czyż nie lepiej dążyć ku doskonałości, niż ją osiągnąć? Raczej mieć ideały, niż żyć zgodnie z nimi... Jeśli sprawiedliwość jest ułudą, to czyż ułuda nie jest lepsza od prawdy?

A może nie? Goodman był smutny i pełen rozterek, gdy dowlóknął się do domu. Tam znalazł żonę w ramionach innego mężczyzny.

Ta scena miała, w jego oczach, przeraźliwie zwolnione tempo. Sądził, że trwało wieki, nim Janna podniosła się na nogi i poprawiwszy rozchełstaną odzież spojrzała nań z rozdziawionymi ustami. Mężczyzna — wysoki i przystojny, którego Goodman nigdy dotąd nie widział — sprawiał wrażenie zbyt zaskoczonego, by przemówić. Wykonywał drobne, nic nie znaczące gesty — strząsał pył z kłapy marynarki, obciążał mankiety.

Potem uśmiechnął się nienaturalnie.

— No, no! — rzekł Goodman. W tych okolicznościach było to dość anemiczne, ale wywarło swój efekt. Janna wybuchnęła płaczem.

— Okropnie mi przykro — wymamrotał mężczyzna. Nie spodziewaliśmy się ciebie jeszcze przez parę godzin. Musisz być tym zaszokowany. Okropnie mi przykro.

Jedyną rzeczą, jakiej Goodman nie oczekiwał i nie pragnął, było współczucie ze strony kochanka żony. Zignorował mężczyznę i wlepił wzrok w łkającą Janę.

— A czegoś się spodziewał! — wrzasnęła doń raptownie. — Musiałam. Nie kochałeś mnie!

— Nie kochałem cię! Jak możesz tak mówić?!

— A jak mnie traktowałeś?

— Bardzo cię kochałem, Janno — powiedział miękko.

— Wcale nie! — pisnęła, odrzucając głowę do tyłu. Tylko popatrz, jak mnie traktowałeś! Trzymałeś mnie przy sobie całymi dniami, codziennie zmuszałeś do prac domowych, gotowania, wysiadywania. Marvin, czułam, jak się starzeję. Dzień po dniu ten sam nudny, głupi rytuał. I przez większość czasu, kiedy wracałeś do domu, byłeś zbyt zmęczony, żeby choć mnie dostrzec. Jedyne, o czym potrafiłeś mówić, to twoje durne roboty! Marnowałam się, Marvin, marnowałam!

Nagle dotarło do Goodmana, że jego żona doznała rozstroju. Bardzo łagodnie powiedział:

— Ależ, Janno, takie jest życie. Mąż i żona tworzą wspólnotę. Starzeją się pospołu, ramię przy ramieniu. Życie nie może się składać z samych radości...

— Oczywiście, że może! Spróbuj zrozumieć, Marvin. Może! Na Tranai — dla kobiety!

— To niemożliwe — rzekł Goodman.

— Na Tranai kobieta oczekuje życia pełnego uciech i przyjemności. To jej prawo, tak jak swoje prawa mają mężczyźni. Oczekuje, że przywołana ze stazy weźmie udział w przygotowanym przyjętku, pójdzie na spacer w blasku księżyca albo popływać, albo do kina. — Znow zaczęła płakać. — Ale ty byłeś mądrzejszy. Musiałeś to zmienić. Powinnam być na tyle rozsądna, by nie ufać Ziemianninowi.

Tamten mężczyzna westchnął i zapalił papierosa.

— Wiem, nic nie możesz na to poradzić, Marvin, że jesteś innoplanetałem — powiedziała Janna. — Ale naprawdę chcę, żebyś zrozumiał. Miłość to nie wszystko. Kobieta powinna być też praktyczna. Gdyby szło tak dalej, byłabym starą kobietą, podczas gdy moje przyjaciółki wciąż by były młode.

— Wciąż młode? — powtórzył głucho Goodman.

— Oczywiście — wtrącił mężczyzna. — Kobieta nie starzeje się w polu derrsinowym.

— Ależ ta cała historia jest upiorna — rzekł Goodman. — Moja żona ma być młoda, gdy ja się zestarzeję.

— I dopiero wtedy doceniłbyś młodą kobietę — powiedziała Janna.

— A co z tobą? — zapytał Goodman. — Czy też byś doceniła starca?

— On wciąż nie rozumie — stwierdził mężczyzna.

— Marvin, spróbuj. Czy to jeszcze nie jest jasne? Przez całe życie miałbyś młodą i piękną kobietę, której jedynym pragnieniem byłoby sprawiać ci przyjemność. A kiedy byś umarł — nie miej takiej zaszokowanej miny, kochanie, wszyscy umierają — więc kiedy byś umarł, ja, wciąż młoda, odziedziczyłabym zgodnie z prawem wszystkie twoje pieniądze.

— Zaczynam rozumieć — rzekł Goodman. — Wnioskuje, że to kolejna, powszechnie akceptowana, faza tranajskiego żywota — bogata, młoda wdowa, która może czynić zadość swoim zachciankom.

— Naturalnie. I tym sposobem wszystko idzie ku dobru wszystkich. Mężczyzna ma młodą żonę, którą widuje tylko wtedy, gdy ma na to ochotę. Dana mu jest zupełna wolność, a także miły dom. A kobieta, wyzwolona z nudy szarego życia, ma dostateczne środki, by się zabawić, póki jeszcze może.

— Powinnaś mi to była powiedzieć — poskarżył się Goodman.

— Myślałam, że wiesz — powiedziała Janna — skoro sądziłeś, że masz lepszy sposób. Ale teraz widzę, że nigdy byś nie zrozumiał, bo jesteś tak naiwny — co, przyznam, stanowi o części twego uroku. — Uśmiechnęła się z zadumą. — A poza tym, gdybym ci powiedziała, nie poznałabym Ronda.

Mężczyzna skłonił się lekko.

— Roznosiłem próbki Konfekcji Greaha: Możesz sobie wyobrazić moje zdumienie, gdy znalazłem tę piękną, młodą kobietę nie w stazie. Rozumiesz, to było jak bajka, która staje się życiem. Nigdy się nie spodziewamy, że stare legendy przerodzą się w prawdę, więc sam przyznasz, że wrażenie jest silne, gdy jednak do tego dochodzi.

— Kochasz go? — zapytał Goodman ciężko.

— Tak — odparła Janna. — Rondo przejmuję się mną. Ma zamiar trzymać mnie w stazie tak długo, aż nadrobię stracony czas. To z jego strony poświęcenie, ale Rondo ma szczodłą naturę...

— Jeśli tak to wygląda — rzekł Goodman posepnie — to na pewno nie stanę wam na drodze. Jestem w końcu istotą cywilizowaną. Możesz dostać rozwód.

Splótł ramiona na piersi, czując się nader szlachetnie. Czuł wszakże niejasno, że decyzja jego wyrosła nie tyle ze szlachetności, co z nagłego, ostrego wstrętu do wszystkiego co tranajskie.

— Nie mamy na Tranai rozwodów — rzekł Rondo.

— Nie? — chłodny dreszcz przebiegł po plecach Goodmana.

W dłoni Ronda pojawił się blaster.

— Byłoby to, rozumiesz, zbyt anarchiczne, gdyby ludzie wymieniali się sobą. Jest tylko jeden sposób odmienienia swego stanu.

— Ależ to ohydne! — wyjąkał Goodman, wycofując się. — Przeciwno wszelkiej przyzwoitości.

— Nie, jeśli żona tego pragnie. A nawiasem mówiąc, oto i kolejny znakomity powód, by przetrzymywać połowicę w stazie. Czy mam twoje zezwolenie, moja droga?

— Wybacz mi, Marvin — powiedziała Janna i zamknęła oczy. — Tak!

Rondo wymierzył blaster. Bez chwili wahania Goodman dał nurka przez najbliższe okno. Tuż za nim świsnął strzał.

— Słuchaj no! — zawołał Rondo. — Pokaż styl, człowieku. Przyjmij to godnie!

Goodman wylądował ciężko na ramieniu. Zerwał się z miejsca i ruszył sprintem, a drugi strzał Ronda osmalił mu bark. Potem skrył się za domem i był chwilowo bezpieczny. Nawet nie stanął, by się nad tym zastanowić. Ze wszystkich sił pomknął do portu kosmicznego.

Szczęśliwie wnet startował statek, który zabrał go na g'Moree. Stąd zatelegrafował na Tranai po swoje pieniądze i opłacił przelot na Higastomerytreję, gdzie władze oskarżyły go o to, że jest szpiegiem Dingu. Oskarżenie nie trzymało się kupy, Dinginganie bowiem byli rasą amfibii i Goodman omal nie utonął, dowodząc ku ogólnemu zadowoleniu, że potrafi oddychać tylko powietrzem.

Bezzałogowcem dostał się na podwójną planetę Mvanti, za Seves, Olgo i Mi. Najął nielicencjonowanego pilota, który dostarczył go na Bellismoranti, gdzie zaczynały się wpływy Ziemi. Stąd lokalna linia kosmiczna przewiozła go za Wir Galaktyczny i — po międzylądowaniach na Ostrydze, Lekungu, Pankungu, Inchangu i Machangu — przybył wreszcie na Tung-Bradar IV.

Pieniądze już mu się skończyły, ale był praktycznie o krok od Ziemi, przynajmniej w skali dystansów kosmicznych. Zdołał zapracować na przelot do Qume, a z Qume na Legis II. Tu Towarzystwo Pomocy Podróżnikom Gwiezdnym załatwiło mu miejscówkę i dotarł w końcu na Ziemię.

Goodman osiadł w Seakirk w stanie New Jersey, gdzie człowiek jest zupełnie bezpieczny tak długo, jak długo płaci podatki. Piastuje stanowisko Naczelnego Technika-Robotyka w Seakirk Construction Corporation i poślubił drobną, ciemnowłosą, cichą dziewczynę, która najoczywiściej go uwielbia, choć on rzadko wypuszcza ją z domu.

Chadza często z kapitanem Savage'em do Eddie's Moonlight Bar i popijając Pospieszne na Tranai, gwarzą o Tranai Błogosławionej, gdzie znaleziono Sposób, a Człowiek nie jest już wprężony w Kierat. Przy tych okazjach Goodman narzeka na kosmalarię — za której sprawą nie może ruszyć w kosmos ani wrócić na Tranai.

Ostatnio, z pomocą kapitana Savage'a, Goodman zorganizował Ligę Seakirku na Rzecz Odebrania Kobietom Praw Wyborczych. Są jej jedynymi członkami, ale czyż — jak to ujmuje Goodman — podobna rzecz powstrzymała kiedykolwiek krzyżowca?

*przekład: Stanisław Czaja*

*A Wind Is Rising*

# Wiatr się wzmaga

Na zewnątrz wiatr się wzmagał, lecz dwóch mężczyzn we wnętrzu stacji miało myśli zajęte czymś innym. Clayton odkręcił kurek z wodą i czekał, ale woda nie leciała.

— Spróbuj uderzyć — powiedział Nerishev.

Clayton trzepnął kurek pięścią. Spadły dwie krople. Trzecia drżała u ujścia tulejki, wreszcie zakołysała się i spadła. To było wszystko.

— No i klops — stwierdził Clayton. — Ta cholerna rura jest znowu zatkana. Jaki mamy zapas wody?

— Cztery galony, pod warunkiem, że zbiornik nie zaczął znów przeciekać — odparł Nerishev. Wpatrywał się w kurek przebierając niespokojnymi palcami. Był to duży mężczyzna z rzadką brodą, który mimo swego wzrostu wyglądał dość niepozornie. Nie wydawał się człowiekiem zdolnym do kierowania stacją obserwacyjną na odległej i obcej planecie. Jednakże Korpus Eksploracyjny już dawno przekonał się, iż nie istnieje typ człowieka, który by się do tego nadawał.

Nerishev był dobrym biologiem i botanikiem. Mimo iż wiecznie niespokojny, posiadał zadziwiające zdolności opanowania. Był człowiekiem, który dopiero w trudnych sytuacjach pokazywał, co potrafi. Ta cecha sprawiała, że mógł nadawać się do eksploracji planety takiej jak Carella I.

— Sądzę, że ktoś powinien wyjść i odblokować wodociąg — powiedział Nerishev, nie patrząc na Claytona.

— Ja też tak sądzą — odrzekł Clayton uderzając ponownie w kurek — ale na zewnątrz musi być koszmarnie. Posłuchaj tylko!

Clayton był niskim, silnie zbudowanym mężczyzną o byczym karku i czerwonej twarzy. Odbywał trzecią turę służby w charakterze obserwatora planetarnego — choć pierwszy raz na Carelli.

Próbował już innych robót w Korpusie Eksploracyjnym, ale żadna mu nie odpowiadała. PPP — Podstawowa Penetracja Pozaziemska — stawiała go wobec zbyt wielu nieprzyjemnych niespodzianek. To była praca — jego zdaniem — dla szaleńców i straceńców. Z kolei Obsługa Baz była zdecydowanie za bardzo jednostajna i ograniczająca.

Lubił natomiast pracę obserwatora planetarnego. Jego zadaniem było twardo siedzieć na planecie świeżo „otwartej” przez chłopców z PPP i sprawdzonej przez szperacza. Jedyne co musiał robić, to ze stoickim spokojem znosić niewygody i umiejętnie utrzymywać się przy życiu. Po roku czegoś takiego przybywał wahadłowiec, by go zabrać. Na podstawie jego raportu decydowano, czy dalsze działania będą podjęte, czy nie.



Przed każdym ponownym kontraktem Clayton solennie obiecywał swojej żonie, że to już ostatni raz, że zostanie na Ziemi i będzie pracował na swej niewielkiej farmie. Obiecywał...

Jednak gdy kolejny urlop się kończył, Clayton znów wyruszał, by robić to, co umiał najlepiej: utrzymywać się przy życiu dzięki wprawie i wytrzymałości.

Ale tym razem naprawdę miał już dość. I on, i Nerishev byli już od ośmiu miesięcy na Carelli, a wahadłowiec miał przybyć dopiero za cztery. Jeśli wyjdzie z tego żywy, zrezygnuje na dobre.

— Posłuchaj tylko tego wiatru — powiedział Nerishev. Stłumiony i odległy, wzdychał i mruczał wokół stalowej kopuły stacji jak zefir, jak letni wietrzyk.

Tak to brzmiało dla nich, wewnątrz stacji, oddzielonych od wiatru trzema calami stali i warstwą dźwiękoszczelną.

— Wzmaga się — stwierdził Clayton. Podeszedł do elektronicznego wiatromierza. Instrument wskazywał, że ten łagodnie brzmiący wietrzyk wiał ze stałą prędkością osiemdziesięciu dwu mil na godzinę.

Łagodny wietrzyk — jak na Carellę.

— Ech, chłopie! — zaczął Clayton — wcale mi się nie chce wychodzić. Za nic bym tam nie wyszedł.

— Teraz twoja kolej — zauważył Nerishev.

— Wiem, ale może pozwoliłbyś mi przynajmniej trochę ponarzekać? No dobra, chodźmy do Smanika po prognozę. — Ich kroki rozległy się echem na stalowej podłodze, gdy szli przez stację mijając przedziały mieszczące żywność, zapasy tlenu, aparaturę, sprzęt dodatkowy. Gdy dotarli do ciężkich metalowych drzwi prowadzących do altany recepcyjnej, nasunęli maski i wyregulowali dopływ tlenu.

— Gotów? — spytał Clayton.

— Gotów.

Zebrali się w sobie i chwycili klamry przy drzwiach. Clayton dotknął sworznia, drzwi rozsunęły się i podmuch wiatru wtargnął do środka.

Mężczyźni pochylili głowy, przygotowując się na atak wiatru, i wyszli.

Altana o wymiarach mniej więcej trzydzieści na piętnaście stóp była przedłużeniem stacji i w przeciwieństwie do pozostałej części była otwarta. Ściany stanowiła ażurowa konstrukcja stalowa ze wstawionymi przegrodami. Nie chroniła od wiatru, ale zwalniała jego prędkość, która wewnątrz altany wynosiła tylko trzydzieści cztery mile na godzinę.

Clayton uważał za cholerną niedogodność konieczność rozmawiania z mieszkańcami Carelli w

takiej wichurze. Niestety nie było innego wyjścia. Carellanie, wychowani na planecie, gdzie wiatr zawsze wiał z prędkością nie mniejszą niż siedemdziesiąt mil na godzinę, nie byli w stanie znieść „martwego” powietrza wewnątrz stacji. Nie mogli się przystosować nawet, jeśli zawartość tlenu obniżono do carellańskiej normy. Wewnątrz stacji stawali się lękliwi i niespokojni, a po krótkim czasie dusili się jak człowiek w próżni.

Clayton i Nerishev szli przez altanę. W rogu leżało coś, co wyglądało jak kłębowisko wysuszonych ośmiornic. Kłębowisko to poruszyło się i ceremonialnie zamachało dwiema mackami.

— Dzień dobry — powiedział Smanik.

— Dzień dobry. Co myślisz o pogodzie? — spytał Clayton.

— Wspaniała — odrzekł Smanik.

Nerishev pociągnął Claytona za rękaw.

— Co on powiedział? — spytał i pokiwał głową w zamyśleniu, gdy Clayton przetłumaczył. Nerishev nie miał takiej zdolności do języków jak Clayton. Nawet po ośmiu miesiącach język carellański był dla niego niezrozumiałym strumieniem trzasków i gwizdów.

Kilku innych Carellan przyłączyło się do rozmowy. Wszyscy wyglądali jak pająki lub ośmiornice ze swoimi okrągłymi i długimi, giętkimi mackami. Był to jednak optymalny kształt umożliwiający przeżycie na Carelli i Clayton często im tego zazdrościł. On zmuszony był całkowicie polegać na schronieniu, jakie dawała stacja.

Często widywał ich spacerujących pod wiatr o sile tornada; siedmioma lub ośmioma mackami wczepiali się w grunt, a pozostałe kończyny szukały kolejnego oparcia. Widział również, jak toczyli się z wiatrem, owinawszy macki wokół ciała na kształt wyplatane go koszyka. Pomyślał i o tym, jak wesoło i odważnie sterowali swymi okrętami, radośnie mknąc z wiatrem...

Jednak na Ziemi wyglądaliby cholernie głupio.

— Na jaką pogodę się zanosi? — spytał Smanika.

Carellanin podmuchał chwilę, powąchał wiatr i zatarł macki.

— Wiatr może się trochę wzmóc — powiedział w końcu. — Ale to nie będzie nic poważnego.

Clayton zastanowił się chwilę; nic poważnego dla Carellanina mogło oznaczać katastrofę dla mieszkańca Ziemi. Jednak mimo wszystko brzmiało to dość optymistycznie.

Obaj z Nerishevem opuścili altanę recepcyjną i zamknęli drzwi.

— Słuchaj — rzekł Nerishev — jeśli chciałbyś przeczekać...

— Równie dobrze mogę mieć już to z głowy — burknął Clayton.

W magazynie marnie oświetlonym jedną żarówką piętrzył się gładki i błyszczący korpus Bydlaka. Takie przezwisko nadali pojazdowi skonstruowanemu specjalnie do poruszania się po Carelli.

Bydlak był opancerzony jak czołg i wspaniale areodynamiczny. Luki obserwacyjne z pancernymi szybami, oczywiście odpowiednio grubymi, dorównywały wytrzymałością jego stalowym osłonom. Środek ciężkości miał nisko, większa część jego dwunastu ton skupiała się blisko ziemi. Bydlak był znakomicie uszczelniony. Tak jego ciężki diesel, jak i wszystkie niezbędne otwory zaopatrzone były w specjalne okrycia przeciwpalne. Spoczywał na sześciu potężnych kołach, sprawiając wrażenie jakiegoś prehistorycznego potwora. Clayton wsiadł, założył kask, gogle i przypiął się pasami do fotela. Zapalił silnik, posłuchał, jak pracuje, po czym skinął głową.

— Okay — powiedział. — Bydlak już gotów. Skocz na górę i otwórz drzwi.

— Powodzenia! — powiedział Nerishev i poszedł. Clayton rzucił okiem na tablicę przyrządów sprawdzając, czy wszystkie specjalne urządzenia Bydlaka są sprawne. W chwilę później usłyszał przez radio głos Nerisheva.

— Otwieram drzwi.

— W porządku.

Ciężkie drzwi rozsunęły się i Clayton wyprowadził Bydlaka na zewnątrz.

Stacja była położona na rozległej, pustej równinie. Góry zapewniałyby jakąś ochronę przed wiatrem, lecz góry na Carelli znajdowały się w niespokojnym stadium powstawania i rozpadania. Równina miała jednak też i swoje niebezpieczeństwa. By zapobiec najgorszemu z nich, wokół stacji blisko siebie usytuowane słupy pochylone były na zewnątrz, jak w antycznych zaporach przeciwczołgowych, i służyły podobnemu celowi.

Clayton prowadził Bydlaka przez pole słupów wąskimi, krętymi kanałami. Gdy wydostał się, odnalazł rurociąg i podążył wzdłuż niego. Lampka sygnalizowała każde jego przerwanie lub blokadę.

Przed nim rozciągała się rozległa i monotonna skalista pustynia. Czasami pojawiał się niski krzak. Wiatr, zagłuszany dźwiękiem diesla, wiał dokładnie zza jego pleców.

Spojrzał na wiatromierz. Carellański wiatr wiał z szybkością dziewięćdziesięciu dwu mil na godzinę.

Clayton posuwał się stale naprzód, nucąc pod nosem. Od czasu do czasu słyszał łomot. Kamienie niesione huraganem uderzały o Bydlaka i grzechotały nieszkodliwie o jego grube opancerzenie.

— Wszystko w porządku? — spytał Nerishev przez radio.

— W porządku — odpowiedział Clayton.

W pewnej odległości zobaczył carellański okręt naziemny. Oceniał jego długość na jakieś czterdzieści stóp. Smukły, mknął gładko na swych topornych drewnianych rolkach. Żagle zrobione były z jednego z nielicznych na tej planecie liściastych krzewów.

Carellanie machali mackami mijając go. Zdawali się podążać w kierunku stacji.

Clayton skierował uwagę z powrotem na rurociąg. Zaczynał już słyszeć wycie wichru przez ryk diesla. Elektroniczny wiatromierz pokazywał, że wiatr wzmógł się do dziewięćdziesięciu siedmiu mil na godzinę.

Ponuro wpatrywał się w zapiaszczoną szczelinę okna. W oddali majaczyły wyszczerbione wzgórza, niezbyt wyraźnie widoczne przez unoszący się kurz. Coraz więcej kamieni, głucho łomocząc, odbijało się od kadłuba pojazdu. Spostrzegł kolejny carellański okręt i potem jeszcze trzy. Uparcie halsowały pod wiatr.

Uderzyło Claytona, że wielu Carellan kierowało się ku stacji. Nawiązał łączność z Nerishevem.

— Jak ci leci? — spytał Nerishev.

— Jestem już blisko źródła i jak na razie nie ma uszkodzenia — zameldował Clayton. — Wygląda na to, że sporo Carellan udaje się w twoim kierunku.

— Wiem. Sześć okrętów jest przycumowanych do zewnętrznej strony stacji i jeszcze więcej nadciąga.

— Dotychczas nie mieliśmy żadnych kłopotów z tubylcami. Jak to wszystko wygląda?

— Przywieźli ze sobą jedzenie. Może to jakaś uroczystość...

— Może. Uważaj na siebie.

— Nie martw się. Ty uważaj i spiesz się...

— Znalazłem miejsce awarii! Później pogadamy. — Uszkodzenie zasygnalizowała lampka na ekranie. Wyglądając przez luk Clayton dostrzegł miejsce, gdzie gładki przetoczył się przez rurociąg i miażdżąc go poleciał dalej.

Zatrzymał pojazd po nawietrznej stronie rury. Wiało sto trzydzieści trzy mile na godzinę. Clayton wysliznął się z pojazdu mając ze sobą parę kawałków rury, kilka łączników, lampę lutowniczą i torbę z narzędziami. Wszystko było do niego poprzywiązywane, a on sam był przymocowany do Bydlaka mocną nylonową linką.

Na zewnątrz wicher był ogłuszający. Grzmiał i ryczał jak łamiąca się fala. Clayton zwiększył dopływ tlenu i przystąpił do pracy.

W dwie godziny później zakończył piętnastominutową naprawę. Ubranie miał postrzępione i wylot maski tlenowej całkiem zatkany kurzem.

Wspiął się z powrotem do Bydlaka, uszczelnił luk i położył się na podłodze, by odpocząć. Pojazd zaczął dygotać w porywach wiatru. Clayton zignorował to.

— Clayton!... Clayton!... — wołał Nerishev przez radio. Clayton ociężale wspiął się na fotel kierowcy i potwierdził odbiór.

— Spiesz się z powrotem! Nie ma czasu na odpoczynek! Wiatr doszedł do stu trzydziestu ośmiu! Sądzę, że nadchodzi burza!

Burza na Carelli było to coś, o czym Clayton nie chciał nawet myśleć. W ciągu ośmiu miesięcy doświadczył tylko jednej. Wiatr przekroczył wtedy sto sześćdziesiąt mil na godzinę.

Zawrócił pojazd i ruszył z powrotem, jadąc prosto pod wiatr. Przy pełnej mocy posuwał się naprzód bardzo powoli. Trzy mile na godzinę to było wszystko, co ciężki diesel mógł zdziałać przy takim wietrze. Uporczywie patrzył przed siebie przez szczelinę okna. Wiatr, pod postacią długich serpentyn kurzu i piasku, zdawał się nacierać prosto na niego; jakby przez ogromny lejek kierowany był dokładnie w jego małe okienko. Porwane przez wiatr skały leciały ku niemu, rosły coraz to większe i uderzały w pancerną szybę. Nie mógł powstrzymać się od robienia uników za każdym razem, gdy któryś nadlatywał.

Ciężki silnik zaczął krztusić się i pracować z wysiłkiem.

— Och, złotko! — szepnął Clayton — nie zepsuj się teraz! Nie teraz! Dowieź tatusia do domu i wtedy się zepsuj. Proszę!

Był około dziesięciu mil od stacji, która leżała prosto pod wiatr.

Usłyszał dźwięk jakby lawiny staczającej się w dół stoku. Wydawał go głąz wielkości stodoły. Zbyt ciężki, by wiatr go unióśł, toczył się wprost na niego, żłobiąc koleinę w skalistym gruncie.

Clayton skręcił kierownicą. Silnik pracował ciężko i nieskończenie wolno pojazd zjeżdżał z drogi głązu. Dygocąc Clayton patrzył na pędzącą skałę. Jedną ręką trzepnął deskę rozdzielczą.

— Rusz się, złotko, rusz się!

Z głuchym łomotem głąz potoczył się obok niego z prędkością dobrych trzydziestu mil na godzinę.

— Za blisko — powiedział Clayton do siebie. Spróbował skierować Bydlaka z powrotem pod wiatr, w kierunku stacji. Nie dał rady.

Diesel wysilał się i wył, starając się odwrócić ciężki pojazd pod wiatr. A wiatr, jak twarda szara ściana, wciąż go odpychał.

Wskaźnik prędkości wiatru stał na liczbie 159.

— Jak sobie radzisz? — spytał Nerishev przez radio.

— Wspaniale! Odczep się, jestem zajęty.

Clayton zaciągnął hamulce, odpiął pasy i pogonił w tył, do silnika. Ustawił zapłon i skład mieszanki i pospiesznie wrócił do wskaźników.

— Hej, Nerishev! Ten silnik zaraz wysiądzie!

Minęła cała sekunda, zanim Nerishev odezwał się. Bardzo spokojnie zapytał:

— Co się z nim dzieje?

— Piasek! — powiedział Clayton. — Cząstki piasku niesione z prędkością stu pięćdziesięciu dziewięciu mil na godzinę; piasek jest w łożyskach, w dyszach, wszędzie. Dojadę najdalej, jak będę mógł.

— A potem?

— Potem spróbuję przyzeglować — odrzekł Clayton. — Mam tylko nadzieję, że maszyna wytrzyma.

Popatrzył uważnie na wskaźniki. Przy takich prędkościach wiatru pojazd trzeba było traktować jak statek na morzu. Clayton nabrał prędkości przy bocznym kursie, po czym skręcił pod wiatr.

Bydlak tym razem podołał.

Clayton zdecydował, że było to najlepsze, co mógł zrobić. Przez godzinę Bydlak parł naprzód halsując. Przemierzał trzy mile, by przybliżyć się o dwie. Jakimś cudem silnik nadal działał. Clayton błogosławił producenta i błagał motor, by wytrzymał jeszcze trochę.

Przez oślepiającą zasłonę piasku zobaczył kolejny carellański okręt naziemny. Miał zrefowane żagle i był niebezpiecznie przechylony. Parł jednak uparcie do przodu, pod wiatr, i wkrótce go przegonił.

Szczęśliwcy, pomyślał Clayton, sto sześćdziesiąt pięć mil na godzinę to dla nich żeglarski wietrzyk!

Mógł już dostrzec przed sobą szarą półkulę stacji.

— Musi mi się udać! — wykrzyknął. — Szykuj trunki, stary. Tatko się dzisiaj urznie!

Diesel wybrał akurat ten moment, by zepsuć się na dobre. Clayton zaklął gwałtownie i zahamował. Co za cholerne szczęście! Gdyby miał wiatr za sobą, mógłby się dotoczyć. Ale oczywiście musiało wiać mu prosto w nos.

— Co teraz masz zamiar robić? — zapytał Nerishev.

— Mam zamiar siedzieć tutaj — odrzekł Clayton. — Kiedy wiatr przycichnie do huraganowego,

przespaceruję się do domu.

Dwanaście ton Bydlaka drżało i klekotało w porywach wiatru.

— Wiesz — powiedział Clayton — zamierzam przejść na emeryturę, kiedy ta tura się skończy.

— Żartujesz. Naprawdę masz taki zamiar?

— Oczywiście. Mam farmę w Maryland nad zatoką Cheasapeake. Wiesz, co mam zamiar robić?

— Co?

— Hodować ostrygi. Widzisz, ostryga... czekaj...

Stacja zdawała się odpływać powoli, pod wiatr, coraz dalej od niego. Clayton przetarł oczy, zastanawiając się, czy przypadkiem nie wariuje. I wtedy zdał sobie sprawę, że pomimo hamulców, pomimo opływowych kształtów, wiatr odpychał pojazd coraz dalej od stacji.

Ze złością wcisnął guzik na tablicy, zwalniając prawą i lewą kotwicę. Usłyszał głośne uderzenie kotwic, słyszał, jak stalowej liny trzeszczą i zgrzytają. Wypuścił sto siedemdziesiąt stóp stalowej liny i zaciągnął windy hamulcowe. Pojazd znów się zatrzymał.

— Rzuciłem kotwice — rzekł Clayton.

— Trzymają?

— Jak na razie. — Clayton zapalił papierosa i odchylił się w fotelu do tyłu. Każdy miesiąc bolał go z napięcia. Powieki mu drgały od wpatrywania się w linie wiatru biegnące ku niemu. Zamknął oczy i próbował odpocząć.

Wycie wichru przebijało się przez stalowy pancierz Bydlaka. Wiatr zawodził i jęczał szarpiąc pojazdem i starając się znaleźć punkt zaczepienia na gładkiej powierzchni. Przy stu sześćdziesięciu dziewięciu milach na godzinę osłony wentylatora zostały zdmuchnięte. Clayton pomyślał, że gdyby nie maska i hermetyczne gogle, zostałyby oślepiiony i zaduszony. Piasek kłębił się w kabinie Bydlaka.

Kamienie niesione z prędkością kul karabinowych grzechotały o osłonę. Uderzały teraz mocniej. Zastanawiał się, o ile większej siły potrzeba, by zaczęły przebijać pancerne pokrycie.

W takich wypadkach jak ten z trudnością przychodziło Claytonowi zachowanie zdrowego rozsądku. Był boleśnie świadom delikatności ludzkiego ciała, zatrwożony potencjalną brutalnością wszechświata. Co on tu robi? Miejsce człowieka było wśród cichego, spokojnego powietrza Ziemi. Jeśli kiedykolwiek wróci...

— Trzymasz się jakoś? — spytał Nerishev.

— Wprost wspaniale — odpowiedział Clayton ze znużeniem. — Jak w stacji?

— Nie bardzo. Cała konstrukcja wchodzi w rezonans. Odpowiedni wiatr przez wystarczająco długi czas i fundamenty się rozlecą.

— A oni chcą postawić tu stację paliwową! — powiedział Clayton.

— Hm, przecież znasz sytuację. Jest to jedyna stała planeta pomiędzy Angarsą III i Południowym Grzbietem. Wszystkie pozostałe to gazowe giganty.

— Lepiej by zbudowali stację w przestrzeni.

— Koszt...

— Do diabła, człowieku, mniej by kosztowało zbudowanie nowej planety, niż utrzymanie bazy paliwowej na tej! — Clayton wypluł z ust piasek. — Chcę tylko dostać się na wahadłowiec. Ilu tubylców jest teraz w stacji?

— Około piętnastu, w altanie.

— Jakież symptomy agresji?

— Nie, ale dziwnie się zachowują.

— Czemu?

— Nie wiem — odpowiedział Nerishev. — Po prostu nie podoba mi się to.

— Nie zbliżaj się do altany, dobra? Nie znasz nawet języka, a chcę cię zastać, kiedy wrócę. — Zawahał się. — Jeżeli wrócę...

— Dasz sobie radę — odrzekł Nerishev.

— Na pewno. Ja... o Boże!

— Co się stało?

— Głaz się toczy. Później pogadamy.

Przyglądał się głazowi, gwałtownie rosnącej czarnej plamce. Zmierzał dokładnie w kierunku zakotwiczonego i unieruchomionego pojazdu. Nieprawdopodobne — sto siedemdziesiąt cztery mile na godzinę! A jednak przypomniał sobie, że na Ziemi, w wąskim pasie silnych wiatrów równoleżnikowych na wysokościach stratosferycznych, wiatry dochodzą do dwustu mil na godzinę.

Głaz, wielki jak dom i wciąż ogromniejący, toczył się wprost na niego.

— Skręć! Z drogi! — wrzeszczał Clayton, waląc pięścią w tablicę rozdzielczą.



Skąła toczyła się z wiatrem prosto jak po sznurku.

Z jękiem udręki Clayton wcisnął guzik zwalniający obie kotwice na końcu liny. Nie było czasu na zwinięcie ich, nawet zakładając, że wyciągarka wytrzymałaby to obciążenie. Głaz rósł w oczach.

Clayton zwolnił hamulce.

Bydlak popychany przez wiatr wiejący sto siedemdziesiąt osiem mil na godzinę zaczynał nabierać szybkości. Po chwili już poruszał się z prędkością trzydziestu ośmiu mil na godzinę. Clayton obserwował w lusterku wstecznym, jak głaz go dogania.

Gdy skąła była tuż, Clayton skrzył kierownicę mocno w lewo. Pojazd przechylił się niebezpiecznie, skrzył, zatańczył na gruncie i usiłował się wywrócić. Clayton zmagal się z kierownicą, starając się, by Bydlak złapał równowagę. Pomyślał: jestem chyba pierwszym człowiekiem, który stanął dęba dwunastotonowym pojazdem.

Głaz wielkości wieżowca przegrzmiał obok. Ciężki pojazd kołysał się jeszcze przez chwilę, po czym opadł na wszystkie sześć kół.

— Clayton! Co się stało? Co z tobą?

— Wszystko w porządku — sapnął Clayton. — Ale musiałem wypuścić liny. Toczę się z wiatrem.

— Możesz skrzyć?

— O mało co się nie wywróciłem próbując.

— Ile masz jeszcze miejsca?

Clayton popatrzył przed siebie. W oddali majaczyła czarna skalna ściana obramowująca równinę.

— Mam jeszcze około piętnastu mil, zanim wpakuję się na skały. Niezbyt wiele czasu przy szybkości, z którą się poruszam. — Zaciągnął hamulce. Upony zaczęły piszczeć, wściekle dymiły. Jednak wiatr wiejący sto osiemdziesiąt trzy mile na godzinę zdawał się nawet nie zauważać różnicy. Pojazd zwiększył prędkość do czterdziestu czterech mil.

— Spróbuj pozęgłować — powiedział Nerishev.

— Nie da rady.

— Spróbuj, człowieku! Co innego możesz zrobić? Tutaj wiatr dobił do stu osiemdziesięciu pięciu. Cała stacja się trzęsie! Głazy rozwalają całą barierę z pali. Obawiam się, że niektóre mogą się przedostać i zgnieść...

— Dość! Mam własne zmartwienie.

— Nie wiem, czy stacja wytrzyma! Clayton, słuchaj mnie. Spróbuj...

Radio nagle i niepokojąco zamilkło.

Clayton walnął w nie kilka razy i dał spokój. Prędkość Bydlaka osiągnęła czterdzieści dziewięć mil na godzinę. Skała była zastraszająco blisko.

— No dobra — rzekł Clayton. — Spróbujemy.

Zwolnił ostatnią kotwicę, takie awaryjne maleństwo. Na całej długości dwustu pięćdziesięciu stóp stalowa lina przyhamowała go do trzydziestu mil. Kotwica puszczała i darła grunt jak odrzutowy pług.

Clayton włączył teraz mechanizm żaglowy, który zainstalowany został przez ziemskich inżynierów na podstawie teorii podobnej do tej, według której niewielkie oceaniczne motorowce wyposażone są w mały maszt i dodatkowy żagiel. Żagle są ubezpieczeniem na wypadek, gdyby motor wysiadł. Na Carelli człowiek nigdy nie byłby w stanie dojść piechotą do bazy z unieruchomionego pojazdu. Jakiś napęd musiał być.

Maszt — krótki, mocny słup stalowy — wysunął się z uszczelnionego otworu w dachu. Magnetyczne wanty i sztangi wskoczyły na miejsce podtrzymując go. Z masztu spłynął żagiel gęsto utkany z metalu. Za szot służyła Claytonowi trójzwojowa lina stalowa pracująca przez kołowrót.

Żagiel miał tylko kilka stóp kwadratowych powierzchni, a był w stanie popychać dwunastotonowego potwora z zaciągniętymi hamulcami i kotwicą...

Z łatwością — przy wietrze wiejącym sto osiemdziesiąt pięć mil na godzinę.

Clayton wybrał szota i skrzył do półwiatru. Lecz nie był to wystarczający kurs. Wybrał żagiel jeszcze trochę i wyostrzył.

Z superhuraganem w żaglu ociężały pojazd przechylił się unosząc w powietrze całą jedną stronę. Clayton pośpiesznie poluzował szota. Metalowy żagiel łopotał i wył pod razami wiatru.

Przy żaglu pracującym tylko samą krawędzią Clayton był w stanie utrzymać pojazd w równowadze i sterować dość ostro na wiatr.

W lusterku wstecznym widział czarne postrzępione skały.

Były one dla niego wybrzeżem zguby. Ale właśnie uciekał pułapki. Krok za krokiem uchodził z tego.

— Jesteś kochany! — wykrzyknął Clayton pod adresem mocującego się z wiatrem Bydlaka.

Lecz jego uczucie zwycięstwa zniknęło prawie natychmiast, gdy usłyszał ogłuszający brzęk i coś gwizdnęło mu koło głowy. Przy prędkości stu osiemdziesięciu siedmiu mil na godzinę kamienie przebijały pancerne osłony. Znajdował się pod carellańskim odpowiednikiem ostrzału z karabinu maszynowego. Wiatr świstał przez dziury, próbując wyłomotać go z siedzenia.

Desperacko przywarł do kierownicy. Słyszał łopot żagla, który, mimo iż wykonany z najwytrzymalszych elastycznych stopów, nie miał szans wytrzymać długo. Krótki, gruby maszt podtrzymywany przez sześć potężnych stalowych lin giął się jak wędka.

Szczęki hamulcowe były już wytarte i prędkość Bydlaka wzrosła do pięćdziesięciu siedmiu mil na godzinę.

Był zbyt zmęczony, by myśleć. Sterował z rękami zaciśniętymi na kierownicy i z oczami utkwionymi przed siebie, w nawałnicę.

Żagiel rozdarł się z przeraźliwym gwizdem. Strzępy łopotały przez chwilę i zwały maszt. Wichura przekraczała w porywach sto dziewięćdziesiąt mil. Pchała go teraz z powrotem na skały.

Wicher o prędkości stu dziewięćdziesięciu dwu mil na godzinę uniósł Bydlaka w powietrze i cisnął nim o ziemię. Pękła przednia opona, a potem dwie tylne. Clayton wtulił głowę w ramiona i czekał na koniec.

Nagle Bydlak zatrzymał się gwałtownie. Clayтона rzuciło do przodu. Pas bezpieczeństwa zatrzymał go na moment, a potem pękł. Walnął o tablicę rozdzielczą i opadł do tyłu, ogłuszony i zakrwawiony.

Leżał półprzytomny na podłodze i nie wiedział, co się stało. Powoli podciągnął się z powrotem na fotel, mglście świadom, że wszystkie kończyny ma całe. Był bardzo potłuczony. Z ust ciekła mu krew.

W końcu patrząc w lusterko wsteczne zobaczył, co się stało. Kotwica awaryjna ciągnięta na linie długości dwustu pięćdziesięciu stóp chwyciła występ skalny. Kotwica zatrzymała go niecałe pół mili od skał. Był uratowany... Przynajmniej na razie.

Wiatr jednak nie dał za wygraną. Z prędkością stu dziewięćdziesięciu trzech mil zawył, uniósł Bydlaka i trzepnął nim o ziemię, uniósł i znów trzepnął. Stalowa lina grała jak struna. Clayton kurczowo przywarł do fotela. Długo tak nie mógł wytrzymać, a gdy zwolni się uchwyt, wściekle podrzycony Bydlak rozmaże go po ścianie jak pastę do zębów...

Chyba że wpierw zerwie się lina i pojazd runie na skalną ścianę.

Trzymał się jakoś. U szczytu jednego skoku udało mu się rzucić okiem na wiatromierz. Zrobiło mu się niedobrze. Był kompletnie przegrany, wykończony. Nie można było oczekiwać, że wytrzyma przy wietrze o sile sto osiemdziesiąt siedem mil na godzinę. To już było zbyt wiele.

Czy to było sto osiemdziesiąt siedem mil na godzinę? Znaczyłoby to, że wiatr przycicha.

Z początku nie mógł w to uwierzyć. A jednak wskazówka przyrządu powoli pełzła w dół. Przy stu sześćdziesięciu milach na godzinę pojazd przestał podskakiwać i leżał spokojnie na końcu liny kotwicznej. Przy stu pięćdziesięciu trzech wiatr zmienił kierunek, co było niechybnym znakiem, że huragan ma się ku końcowi.

Gdy wiatr ścichł do stu czterdziestu dwu mil na godzinę, Clayton pozwolił sobie na luksus

zemdlenia.

Carellanie przybyli po niego jeszcze w ciągu dnia. Umiejętnie doprowadzili dwa duże okręty do Bydlaka i przywiązawszy długie liny z pnączy, które okazały się wytrzymalsze od stali, doholowali zdewastowany pojazd do stacji.

Przenieśli Claytona do altany recepcyjnej, a Nerishev przetransportował go do stacji.

— Nic sobie nie złamałeś poza wybitymi kilkoma zębami! — powiedział Nerishev. — Ale nie ma na tobie nie stłuczonego nawet kawałeczka.

— Przetrwaliśmy — stwierdził Clayton.

— Ledwo co. Osłona przeciwgłazowa jest dokładnie sprasowana. Stacja dostała dwa ciosy i ledwo je wytrzymała. Sprawdziłem fundamenty, są naruszone. Jeszcze jeden huragan...

— ...jakoś sobie damy radę. My, ziemskie chłopaki, zawsze wychodzimy cało! Ta wichura była najgorsza w ciągu ośmiu miesięcy. Jeszcze cztery miesiące i przyleci wahadłowiec! Głowa do góry, Nerishev. Chodź ze mną.

— Dokąd mam iść?

— Chcę pogadać z tym przeklętym Smanikiem!

Weszli do altany. Była pełna Carellan. Na zewnątrz, po zawietrznej stronie stacji, było przycumowanych kilka tuzinów okrętów naziemnych.

— Smanik! — zawołał Clayton. — Co tu się dzieje?

— To Święto Lata — odpowiedział Smanik. — Nasze wielkie doroczne święto.

— Hm, a jeśli chodzi o ten huragan. Co o nim sądzisz?

— Sklasyfikowałbym go jako umiarkowaną wichurę — odrzekł Smanik. — Nic niebezpiecznego, ale trochę nieprzyjemny przy żeglowaniu.

— Nieprzyjemny! Mam nadzieję, że w przyszłości twoje prognozy będą dokładniejsze.

— Nie zawsze można przewidzieć pogodę — powiedział Smanik. — Bardzo mi przykro, że moja ostatnia prognoza była błędna.

— Twoja ostatnia? Jak to? O co chodzi?

— Ci tutaj — rzekł Smanik, wskazując gestem wokół siebie — to całe moje plemię, Seramim. Skończyliśmy właśnie obchody Święta Lata. Lato minęło i musimy odejść.

— Dokąd?

— Do jaskiń na dalekim zachodzie. Są o dwa dni żeglowania stąd. Tam będziemy mieszkać przez trzy miesiące. W ten sposób zapewniamy sobie bezpieczeństwo.

Clayton poczuł, że robi mu się niedobrze ze strachu.

— Bezpieczeństwo? A co wam grozi, Smanik?

— Już ci mówiłem. Lato się skończyło. Musimy się schronić przed wiatrami, przed zimowymi huraganami.

— O co chodzi? — spytał Nerishev.

— Zaraz. — Clayton pomyślał o superhuraganie, przez który właśnie przeszli, a który Smanik sklasyfikował jako umiarkowaną i nieszkodliwą wicherę. Pomyślał o ich unieruchomieniu, o zrujnowanym Bydlaku, o nadwerżonych fundamentach stacji, o zniszczonej osłonie przeciwwłazowej i o wahadłowcu, który ma przybyć dopiero za cztery miesiące. — Może moglibyśmy udać się tam z wami, Smanik, w waszych okrętach naziemnych, schronić się w tych jaskiniach... Nie, nie moglibyśmy — odpowiedział sam sobie czując, że jest mu coraz bardziej niedobrze. — Potrzebowalibyśmy dodatkowego tlenu, własnej żywności, zapasów wody...

— O co chodzi? — niecierpliwie dopytywał się Nerishev. — Co, u diabła, on takiego powiedział, że masz taką minę?

— Mówi, że nadchodzą naprawdę wielkie wiatry — odparł Clayton.

Mężczyźni wpatrywali się w siebie. Na zewnątrz wiatr się wzmagał.

*przekład: Małgorzata Sobkowska*

*The Native Problem*

# Danta, ostatni Nowotahitańczyk

Edward Danton był kompletnym nieudacznikiem — pierwsze objawy nieprzystosowania społecznego zaczęły się u niego pojawiać już w wieku dziecięcym. Powinno to stanowić wystarczające ostrzeżenie dla jego rodziców, których obowiązkiem było dostarczyć go natychmiast do kompetentnego psychologa. Ten ustaliłby bez wątpienia, który z elementów, tworzących dziecięcy świat Dantona, przyczynił się do wykształcenia owych antyspołecznych skłonności. Jednakże rodzice Dantona, jakkolwiek przewrażliwieni na swoim własnym punkcie, uznali beztrąsko, że ich dziecko po prostu z tego wyrośnie.

Nic takiego jednak nie nastąpiło.

W szkole Danton z wielkim trudem zaliczał Grupowe Przystosowanie Kulturowe, Dopasowanie Braterskie, Rozpoznawanie Wartości, Ocenę Zachowań Środowiskowych i inne przedmioty, których znajomość jest po prostu niezbędna, by móc spokojnie żyć we współczesnym świecie. Danton absolutnie nie potrafił żyć spokojnie we współczesnym świecie.

Minęło sporo czasu, zanim to sobie w pełni uświadomił. Patrząc na Dantona nikt by się nigdy nie domyślił, że brak mu Zdolności Dopasowania. Był trochę niefrasobliwym, wysokim, atletycznie zbudowanym młodym mężczyzną o zielonych oczach. Miał w sobie coś, co dość wyraźnie oddziaływało na dziewczęta z jego bezpośredniego otoczenia. Kilka z nich obdarzyło go nawet największym ze znanych im komplementów, to znaczy uznało go za odpowiedniego kandydata na męża.

Jednak największa nawet wietrznica nie mogła nie dostrzec jego braków: potrafił na przykład poczuć się śmiertelnie znużony ledwie po kilku godzinach Tańców Masowych, w momencie, gdy prawdziwa zabawa dopiero się zaczynała. Podczas gry w dwunastoosobowego brydża myśli Dantona często gdzieś się rozłaziły i, ku zgorszeniu jedenastu pozostałych graczy, musiał prosić o powtórzenie licytacji. A już zupełnie nie do zniesienia był podczas zabawy w Metro.

Bardzo starał się wczuć w ducha tej klasycznej gry. Spleciony ciasno ramionami z kolegami z drużyny, rzucał się do wagonu kolei podziemnej, próbując nim zawładnąć, zanim uda się to przeciwnikom szturmującym przez drugie drzwi. Jego kapitan wrzeszczał: „Naprzód, chłopcy! Jedziemy do Rockaway!” Kapitan tamtych ryczał zaś w odpowiedzi: „Nigdy! Gazu, chłopaki! Do Bronx Parl albo nigdzie!”

Danton ze sztucznym uśmiechem na zmarszczonej, zmęczonej twarzy szamotał się w napierającej zewsząd ciżbie. Jego aktualna dziewczyna pytała: „Co się stało, Edward? Chyba dobrze się bawisz?” „Pewnie” — odpowiadał Danton, z trudem chwytny oddech. „Właśnie że nie!” — wołała z mieszaniną zdumienia i zakłopotania dziewczyna. „Czy ty nie rozumiesz, że nasi przodkowie w ten właśnie sposób wyładowywali swoje agresje? Historycy twierdzą, że tylko dzięki zabawie w Metro nie doszło do wybuchu wojny jądrowej. My także mamy agresywne skłonności i musimy dawać im upust w sposób akceptowany przez społeczeństwo”. „Jasne, wiem o tym — odpowiedział Danton —

bardzo to lubię i... o Boże!” — w tej chwili bowiem, skandując „Do Canarsie! Do Canarsie!” runęła na nich trzecia, ciasno zbita grupa.

Tak oto stracił kolejną dziewczynę, której trudno było, w sumie, brać za złe, że nie potrafiła dostrzec świetlanej przyszłości, rysującej się przed nią w razie kontynuowania związku z takim człowiekiem. Braku Zdolności Dopasowania nie można bowiem ukryć czy zamaskować. Było aż nazbyt widoczne, że Danton nigdy nie będzie czuć się dobrze w rozciągających się od Rockport, stan Maine, po Norfolk, stan Virginia, przedmieściach Nowego Jorku. Wątpliwe, czy istnieje w ogóle takie miejsce, w którym czułby się dobrze.

Próbował jakoś sobie z tym poradzić, ale na próżno. Mało tego. Zaczęły się pojawiać nowe problemy: od ciągłego widoku różnych reklam wykształcił mu się astygmatyzm, a dziarskie piosenki zachęcające do kupna tego czy tamtego, pozostawiały po sobie przykre dzwonięcie w uszach. Lekarz ostrzegł go, że sama tylko analiza objawów nie wyleczy go z tych psychosomatycznych dolegliwości. Tym bowiem, czym należałoby się zająć, była leżąca u podstaw wszystkiego antyspołeczna nerwica. Nią jednak zająć się Danton nie potrafił.

W jego myślach coraz częściej pojawiał się pomysł ucieczki. W kosmosie było pełno miejsca dla ziemskich nieudaczników.

W ciągu ostatnich dwu stuleci poleciało ku gwiazdom miliony psychopatów, neurotyków, schizofreników i w ogóle pomyleńców różnej maści. Statki tych, którzy na ten krok zdecydowali się wcześniej, wyposażone były w napęd Mikkelsena; na doczłapanie się z jednego systemu do drugiego potrzebowały dwadzieścia do trzydziestu lat. Nowsze jednostki napędzane były podprzestrzennym konwerterem pól siłowych systemu GM i taką samą podróż odbywały w kilka miesięcy.

Pozostający w domu opłakiwali, jak na społecznie dostosowanych przystało, stratę współobywateli, ale jednocześnie cieszyli się ze zwiększonej liczby nie wykorzystanych zezwoleń prokreacyjnych, które, siłą rzeczy, były wśród nich rozdzielane.

W dwudziestym siódmym roku życia Danton postanowił porzucić Ziemię i ruszyć na podbój kosmosu. Smutny to był dzień, kiedy jego najlepszy przyjaciel, Al Trevor, otrzymał od niego bezcenny karteluszek.

— O rety, Edward — powiedział Trevor ściskając w palcach drogocenne zezwolenie — nie masz pojęcia, co to dla nas znaczy. Zawsze chcieliśmy mieć dwoje dzieci. Dzięki tobie...

— Nie ma o czym mówić — przerwał mu Danton. — Tam, dokąd lecę, nie będę potrzebował żadnych zezwoleń na rozmnażanie. Możliwe zresztą — dodał, po raz pierwszy uświadamiając sobie taką możliwość — że nie miałbym nawet z kim takiego zezwolenia wykorzystać.

— To jak sobie dasz radę? — zapytał Al, zawsze dbający o sprawy przyjaciela.

— Zobaczymy. Zresztą może po pewnym czasie trafi się jakaś dziewczyna. A poza tym są przecież różne środki zastępcze.

— No pewnie. Który wybierzesz?

— Uprawę warzyw. W końcu raz na jakiś czas mogę być praktycznie myślącym człowiekiem.

— Jasne. W takim razie — powodzenia, chłopie.

Wraz z pozbyciem się zezwolenia prokreacyjnego Danton wkroczył na drogę, z której nie mógł już zawrócić; nie pozostawało mu nic innego, jak przeć twardo do przodu. W zamian za wyrzeczenie się prawa do potomka rząd dawał mu dwuletni ekwipunek i zapewniał darmowy transport do dowolnego zakątka wszechświata.

Danton natychmiast ruszył w drogę.

Gęściej zaludnione planety wolał omijać z daleka, znajdowały się bowiem zazwyczaj pod absolutną władzą małych, spragnionych panowania grupiek kolonistów.

Zupełnie, na przykład, nie podobała mu się Heil V, gdzie totalitarne społeczeństwo, złożone z 342 osobników, najpoważniej w świecie sposobiło się do podboju Galaktyki.

Nie był też zainteresowany Korani II, gdzie matematycznym imperium rządził gigantyczny komputer. Zrezygnował także z Planet Rolniczych — smutnych, odizolowanych światów, na których zajmowano się głównie praktycznym potwierdzaniem lub obalaniem różnych ekstremalnych teorii, dotyczących wpływu takich czy innych czynników na życie i zdrowie człowieka.

Przelatując koło Hedonii zapragnął zrazu osiedlić się na tej znanej powszechnie planecie. Odwiodły go od tego zamiaru pogłoski o bardzo krótkim życiu jej mieszkańców; co prawda nawet autorzy tych pogłosek nie zaprzeczali, że życie na Hedonii, aczkolwiek krótkie, z pewnością nie może być nazwane nudnym.

Danton leciał dalej przed siebie.

Minął Planety Górnicze — ponure, skaliste globy zamieszkałe przez posępnych, skorych do bitki brodaczy. A potem znalazł się już na Nowych Terytoriach. Planety były tu nie zamieszkałe i wyznaczały najdalszą granicę politycznych wpływów Ziemi. Danton zbadał kilka z nich, aż wreszcie trafił na jedną bez jakichkolwiek śladów inteligentnego życia.

Planeta miała łagodny klimat i pokryta była olbrzymim oceanem, ozdobionym okazałymi rozmiarów wyspami z pyszną, soczystą zielenią dżungli. Sprawiała wrażenie zasobnej w ryby i wszelkiego rodzaju zwierzyne. Kapitan statku skrupulatnie odnotował objęcie w posiadanie przez Edwarda Dantona planety o nazwie Nowa Tahiti, tak ją bowiem jej nowy właściciel postanowił ochrzcić. Danton został następnie wysadzony na największej wyspie i wziął się za budowę obozowiska.

Czekało go sporo pracy. Parę kroków od olśniewająco białej plaży zbudował z gałęzi i trawy małą chatkę. Potem sporządził sieci, trochę sideł i oszczep do polowania na ryby. Założył także warzywnik i z dumą obserwował, jak dzięki tropikalnemu słońcu i padającemu codziennie między 7.00 a 7.30 ciepłemu deszczowi jego warzywa dosłownie z dnia na dzień stają się coraz większe.



Ogólnie rzecz biorąc, Nowa Tahiti była rzeczywiście rajskim miejscem i Danton powinien czuć się tutaj bardzo szczęśliwy. Było jednak jedno małe ale...

Warzywnik miał stanowić niezawodny środek zastępczy, odciągający jego myśli od pewnych, ściśle określonych spraw. Pod tym względem absolutnie nie spełniał swego zadania. Danton w dzień i w nocy myślał o kobietach i zawodził smętnie do pomarańczowego księżycy nastrojowe, miłosne ballady.

Było to ze wszech miar niezdrowe. Rzucił się desperacko na inne formy działań zastępczych. Na pierwszy ogień poszło malarstwo, potem wziął się za wydawanie gazety, następnie próbował skomponować sonatę, wreszcie wyrzeźbił z miejscowego piaskowca dwie gigantycznych rozmiarów postacie, wykończył je starannie i zaczął się rozglądać za czymś nowym do roboty.

Niczego takiego nie dostrzegł; warzywa dawały sobie doskonale radę bez niego — jako przybysze z Ziemi nie dały szans miejscowym roślinom. Ryby całymi ławicami wpływały w jego sieci, mięsa też miał pod dostatkiem wystarczyło tylko zastawić sidła. Znowu więc całe dni i noce spędzał na rozmyślaniu o kobietach — wysokich i niskich, czarnych i białych, a także o kobietach brązowych.

Nadszedł wreszcie dzień, kiedy Danton zaczął myśleć z pożądaniem o kobietach marsjańskich; coś takiego nie udało się do tej pory żadnemu Ziemianinowi. Musiał jakoś położyć temu kres. Ale jak?

Nie miał jak wezwać pomocy, nie istniały możliwości ucieczki z Nowej Tahiti. Zajęty był właśnie ponurą kontemplacją swej sytuacji, kiedy wysoko nad morzem dostrzegł czarną kropkę.

Z zapartym tchem obserwował, jak rosła coraz bardziej, i modlił się cały czas w duchu, by nie okazała się jakimś ptakiem czy owadem. Kropka jednak rozrastała się w oczach i wkrótce już mógł dostrzec, strzelający z dyszy, błydy płomień zimnego ciągu.

Statek! Koniec samotności!

Statek lądował długo i bardzo ostrożnie. Danton przebrał się tymczasem w swoje najlepsze pareu, strój z Mórz Południowych, wręcz idealny dla kogoś mieszkającego w klimacie Nowej Tahiti. Wykapany, ze starannie przylizanymi włosami, obserwował podchodzącą do lądowania maszynę.

Był to jeden z gwiazdolotów jeszcze wyposażonych w archaiczny napęd Mikkelsena. Z tego, co Danton wiedział, wszystkie zostały już dawno wycofane ze służby. Ten jednak, co od razu rzuciło się w oczy, musiał być w drodze od bardzo już długiego czasu. Kadłub, o beznadziejnie archaicznym kształcie, pełen był rys i wgnieceń, a mimo to sprawiał wrażenie, że bez obawy można mu powierzyć życie. Na dziobie miał wymalowaną wielkimi literami nazwę: „Drużyna Huttera”.

Kiedy wraca się z długiej kosmicznej wyprawy, najbardziej jest się spragnionym świeżego jedzenia. Zanim „Drużyna Huttera” osiadła ciężko na plaży, Danton zebrał i przygotował dla jej pasażerów stos soczystych owoców.

W burcie statku otworzył się niewielki właz. Wyszło z niego dwóch uzbrojonych w karabiny,

ubranych od stóp do głów na czarno mężczyzn. Rozglądali się ostrożnie dookoła.

Danton rzucił się w ich kierunku.

— Halo, witamy na Nowej Tahiti! Rany, ludzie, fajnie, żeście przylecieli! Co tam słyhać...

— Ani kroku dalej! — krzyknął jeden z mężczyzn. Mógł mieć około pięćdziesiątki, był wysoki i wręcz nieprawdopodobnie chudy. Twarz miał nieprzyjemną, pokrytą siecią zmarszczek. Jego stalowoniebieskie oczy zdawały się przewiercać Dantona na wylot. Lufę karabinu wycelował prosto w jego pierś. Drugi mężczyzna miał szeroką twarz, był niewysoki, krępy i bardzo mocno zbudowany.

— Coś nie tak? — zapytał Danton zatrzymując się. — Jak się nazywasz?

— Edward Danton.

— Ja jestem Simeon Smith — powiedział mężczyzna o pomarszczonej twarzy — komendant wojskowy „Drużyny Huttera”, a to Jedekiah Franker, mój zastępca. Jakim cudem mówisz po angielsku?

— Zawsze mówiłem po angielsku — wyjaśnił Danton. Zrozum, ja...

— Gdzie reszta?

— Nie ma żadnej reszty, jestem tylko ja. — Wszystkie iluminatory statku wypełnione były twarzami mężczyzn i kobiet. — Zebrałem trochę tego dla was — powiedział Danton wskazując na stertę owoców. — Myślałem, że po tak długim locie będziecie mieli ochotę przekąsić coś świeżego.

We włązie pojawiła się śliczna dziewczyna o krótkich, rozczochranych włosach.

— Czy możemy już wyjść, ojcze?

— Nie! — odparł Simeon. — To niebezpieczne. Wracaj do środka, Anito.

— Popatrzę w takim razie stąd — powiedziała, utkwivszy w Dantonie zaciekawione spojrzenie.

Danton poczuł, jak przez jego ciało przebiega łagodny, nie znany mu do tej pory dreszcz.

— Przyjmujemy wasze dary — oznajmił Simeon — ale jeść tego nie będziemy.

— Dlaczego? — zapragnął wiedzieć Danton.

— Bo nie wiemy, jakimi truciznami chcecie nas załatwić.

— Truciznami? Chwileczkę, może tak byśmy sobie spokojnie porozmawiali?

— Co o tym sądzisz? — zapytał Jedekiah Simeona.

— Jest tak, jak się spodziewałem — odparł komendant. — Przymilny, płaszczący się, bez

wątpienia perfidny. Przyszedł sam, bez swoich ludzi. Założę się, że czają się w krzakach. Lekcja poglądowa byłaby tutaj jak najbardziej na miejscu.

— Słusznie, trzeba zaszczerpić im lęk przed cywilizacją powiedział uśmiechnięty Jedekiah i wycelował karabin.

— Hej! — krzyknął Danton, cofając się raptownie.

— Ależ, ojcie — wtrąciła się Anita — przecież on jeszcze nic nie zrobił.

— Otóż to. Jak się go zastrzeli, to wtedy już na pewno nic nie zrobi. Dobry tubylec to martwy tubylec.

— Dzięki temu — dodał Jedekiah — reszta będzie wiedziała, że mamy rzeczywiście poważne zamiary.

— Ale to nie fair! — zawołała z oburzeniem Anita. — Rada...

— ...nie ma teraz nic do gadania. Lądowanie na obcym terytorium stwarza sytuację zagrożenia, a wtedy o wszystkim decyduje wojsko. Zrobimy to, co uznamy za stosowne. Pamiętajcie chyba, co było na Lan II?

— Poczekajcie chwilę — odezwał się Danton. — Wszystko pomieszaliście. Nie ma tu nikogo oprócz mnie, po co więc...

Pocisk wzbił fontannę piasku tuż przy jego lewej stopie. Rzucił się do ucieczki, szukając schronienia w gęstwinie dżungli. Druga kula świsnęła w powietrzu, a trzecia, kiedy już dawał nura w gęste poszycie, ścięła tuż przy jego głowie małą gałązkę.

— Dobra! — usłyszał ryk Simeona. — To powinno ich czegoś nauczyć!

Danton zatrzymał się dopiero wtedy, kiedy między nim a statkiem było pół mili splątanej dżungli.

Spożywając lekki obiad złożony z miejscowej odmiany bananów i owoców drzewa chlebowego, próbował zrozumieć, o co właściwie chodziło „Drużynie Huttera”. Może byli szaleni? Widzieli przecież, że jest Ziemianinem — samotnym, nie uzbrojonym i o jak najbardziej pokojowych zamiarach. A mimo to w ramach jakiejś lekcji poglądowej o mało go nie zabili. Dla kogo była ta lekcja przeznaczona? Dla ohydnych tubylców, którym należało dać nauczkę...

Otóż to! Danton pokiwał głową z przekonaniem. Ci z „Drużyny Huttera” myśleli zapewne, że mają do czynienia z miejscowym dzikusiem i że cała horda jemu podobnych czeka w krzakach na pierwszą okazję, by dokonać masakry przybyszów. Szczerze mówiąc, trudno było im się dziwić. Znajdował się przecież na odległej planecie, bez statku i kiedy ujrzeli go parującego tylko w opaleniznie i skromnej przepasce na biodrach...

Musiał przedstawiać sobą widok pasujący jak ulał do ich wyobrażeń o zamieszkujących dziewicze planety dzikusach. Tylko gdzie, według nich, zdołał nauczyć się angielskiego? Cała ta historia była

beznadziejnie głupia. Ruszył z powrotem w kierunku statku, pewien, że w ciągu paru minut będzie w stanie wyjaśnić wszelkie nieporozumienia. Jednak po kilku metrach stanął.

Zbliżał się wieczór. Niebo za jego plecami pełne było białych i szarych chmur, od strony morza nadciągała gęsta mgła, dżungla pełna była różnorodnych odgłosów — całkowicie zresztą nieszkodliwych, jak się o tym już nieraz zdążył przekonać. Przybysze jednak mogli mieć na ten temat akurat odwrotne zdanie.

Jak go nauczyło niedawne doświadczenie, mechanizmy spustowe ich karabinów były bardzo dobrze naoliwione. Wyleźć teraz na plażę równało się pewnej kuli w łeb. Poruszał się z największą ostrożnością; ciemnoskóra postać ginąca w splątanym tle zielonobrazowej dżungli. Ostatni odcinek drogi przebył czolgając się przez gęste poszycie. Dotarł do skraju lasu i wyjrzał na schodzącą do morza plażę.

Przybysze zdecydowali się jednak na opuszczenie statku. Wśród kilkunastu kobiet i mężczyzn Danton dostrzegł także kilkoro dzieci. Wszyscy pocili się niemiłosiernie w ciężkich, dopasowanych, czarnych strojach. Przyniesione przez niego owoce leżały nie tknięte — na rozstawiony właśnie aluminiowy stół przynoszono potrawy z chłodni.

Na skraju zebranego na plaży niewielkiego tłumu Danton dostrzegł kilku mężczyzn objuczonych karabinami i pasami z zapasowymi ładunkami. Stali bez wątpienia na straży i obserwowali uważnie ścianę dżungli, zerkając od czasu do czasu z niepokojem na ciemniejące niebo.

Simeon uniósł w górę ręce i natychmiast zapadła cisza.

— Przyjaciele — zwrócił się do zebranych — znaleźliśmy nareszcie dom, którego tak długo przyszło nam szukać. Spójrzcie tylko — oto kraj mlekiem i miodem płynący, hojny i zasobny we wszelkie dary Natury. Warto chyba było tak długo czekać, tak usilnie szukać, narażać się na takie niebezpieczeństwa?

— Tak, bracie! — odpowiedział tłum.

Simeon ponownie uciszył ich gestem uniesionych rąk.

— Nikt jeszcze nie zaszczepił na tej ziemi cywilizacji. Przybyliśmy tu pierwsi i do nas ona należy. Czekają na nas jednak nie same tylko radości! Kto wie, na przykład, jakie potwory kryją się w gęstwinie tej dżungli?

— Największe są prawie tak duże jak wiewiórka mruknął pod nosem Danton. — Czemu mnie o to nie zapytają? Przecież bym im powiedział.

— Kto wie, co za bestie żyją w głębinach tego morza? — mówił dalej Simeon. — Tego nie wiemy, ale wiemy za to co innego: mieszkają tu tubylcy — nadzy, dzicy, z pewnością podstępni, bezlitośni i amoralni — słowem, tacy, jak wszyscy tubylcy. Musimy się ich strzec. Będziemy żyć z nimi w pokoju, o ile nam na to pozwolą. Obdarujemy ich owocami cywilizacji i kwiatami kultury. Być może będą sprawiać wrażenie przyjaźnie do nas nastawionych, ale pamiętajcie o jednym: nigdy

nie można być pewnym, co się dzieje w sercu dzikusa. Zasady moralne, jakimi się kierują, są diametralnie różne od naszych. Nie wolno im zaufać! Musimy być zawsze czujni! A w razie czego — strzelać jako pierwsi! Pamiętajcie przecież, co nas spotkało na Lan II.

Przemówienie zostało nagrodzone długotrwałymi oklaskami, po czym odśpiewano hymn i zabrano się do wieczornego posiłku. Wraz z nadejściem nocy na statku zapłonęły potężne światła, wypłaszając ciemność z zajętej przez przybyszów plaży. Przygarbieni strażnicy nerwowo chodzili tam i z powrotem z karabinami gotowymi do strzału.

Danton obserwował, jak osadnicy wyciągają z bagaży swoje śpiwory i udają się na spoczynek w cieniu ogromnego kadłuba. Nawet strach przed ewentualnym atakiem nie był w stanie zmusić ich do spędzenia jeszcze jednej nocy we wnętrzu statku, szczególnie kiedy alternatywę dla jego dusznego wnętrza stanowiło czyste, świeże powietrze, którym tak lekko i przyjemnie było oddychać.

Wielki pomarańczowy księżyc Nowej Tahiti skrył się do połowy za zawieszonymi gdzieś wysoko chmurami. Strażnicy klęli pod nosem i starali trzymać się jak najbliżej siebie. Wkrótce zaczęła się kanonada; rozstrzeliwali każdy podejrzany cień i odgłos.

Danton cofnął się nieco w głąb dżungli. Noc spędził za drzewem chroniącym go przed zbłąkanymi kulami. Po namyśle doszedł do wniosku, że chyba nie jest to najodpowiedniejsza pora dla wyjaśniania czegokolwiek. Ludzie z „Drużyny Huttera” byli jednak odrobinę zbyt popędliwi. Najlepiej będzie wytłumaczyć wszystko przy dziennym świetle — w sposób prosty, rozsądny i bezpośredni.

Kłopot polegał na tym, że przybyszów w żaden sposób nie można było nazwać rozsądnymi.

Rano wszystko jeszcze wyglądało obiecująco. Danton pozwolił „Drużynie Huttera” zjeść spokojnie śniadanie, a potem wyszedł spomiędzy drzew na plażę.

— Stój! — wrzasnęły strażę.

— Dzikus wrócił! — zawołał jeden z osadników.

— Mamuuusiu! — zapłakał jakiś chłopczyk. — Ja nie chcę, żeby mnie ten brzydki pan pożarł!

— Nie bój się, kochanie — uspokajała go matka — tatuś ma specjalną strzelbę na dzikusów.

Ze statku pośpiesznym krokiem wyszedł Simeon.

— Dobra, ty tam! Możesz podejść!

Danton, czując jak w skórę wbijają mu się drażniące igielki niepokoju, ruszył ostrożnie przez plażę. Zbliżył się do Simeona, cały czas trzymając na widoku swoje puste ręce.

— Jestem dowódcą tych ludzi — powoli i wyraźnie, jakby rozmawiał z dzieckiem, powiedział Simeon. — Ja wielki szef moje ludzic. Ty wielki szef twoje ludzic?

— Nie wiem, czemu pan w ten sposób do mnie mówi. Ledwo pana rozumiem — odparł Danton. — Wyjaśniłem panu już wczoraj, że oprócz mnie nikogo więcej tu nie ma.

Zawzięta twarz Simeona pobladła z gniewu.

— Mów lepiej prawdę, bo jak nie, to tego pożałujesz. No więc, gdzie jest twój szczep?

— Jestem Ziemianinem! — wrzasnął Danton. — Głuchy jesteś? Nie słyszysz, jak mówię?

Podszedł do nich Jedekiah, a wraz z nim niski, przygarbiony siwowłosy człowiek z wielkimi rogowymi okularami na nosie.

— Zdaje mi się — zwrócił się do Simeona — że nie miałem jeszcze przyjemności poznać naszego gościa.

— Profesorze Baker, ten dzikus utrzymuje, że jest Ziemianinem i że nazywa się Edward Danton.

Profesor jednym długim spojrzeniem obrzucił opaloną skórę, skąpy strój i bose stopy Dantona.

— Więc jesteś Ziemianinem? — zapytał go.

— Oczywiście.

— A kto wyrzeźbił te posągi na plaży?

— Ja — przyznał Danton — ale to była po prostu forma terapii.

— Otóż, widzi pan... Rzeźby te są ponad wszelką wątpliwość dziełem jakiegoś prymitywnego ludu. Ta stylizacja, charakterystyczna linia nosa...

— To pewnie przypadkiem. Niech pan posłucha: kilka miesięcy temu opuściłem Ziemię na statku...

— Jaki miał napęd? — przerwał mu profesor Baker.

— Podprzestrzenny konwerter pól siłowych systemu GM.

Baker skinął głową i Danton mówił dalej.

— No więc, zależało mi na czymś innym niż Koram czy Heil V. Hedonia też niezbyt mi odpowiadała, dałem sobie spokój z Planetami Górniczymi i Rolniczymi, aż wreszcie wylądowałem tutaj. Planeta jest zarejestrowana na moje nazwisko pod nazwą Nowa Tahiti. Zaczynało mi się tu jednak trochę nudzić, więc cieszę się, żeście przylecieli.

— I jak, profesorze? — zapytał Simeon. — Co pan o tym myśli?

— Zadziwiające — mruknął Baker — doprawdy zadziwiające. Poziom opanowania potocznej

odmiany angielskiego świadczy o stosunkowo wysokim poziomie inteligencji, co z kolei naprowadza nas na trop zjawiska często spotykanego w niedorozwiniętych społeczeństwach, a mianowicie nieprawdopodobnie zaawansowanej umiejętności kamuflażu. Nasz przyjaciel Danta (tak bowiem najprawdopodobniej brzmi jego prawdziwe imię) powinien stać się dla nas niewyczerpanym źródłem plemiennych legend, mitów, pieśni, tańców...

— Ale ja jestem Ziemianinem!

— Niestety, mój biedny przyjacielu — poprawił go delikatnie profesor — nie jesteś. Z pewnością natomiast musiałeś kiedyś spotkać jakiegoś Ziemianina, na przykład wędrownego kupca, który wylądował tu dla dokonania jakichś napraw.

— Odkryliśmy ślady świadczące o tym, że kiedyś zatrzymał się tu na krótko jakiś statek — powiedział Jedekiah. — No proszę — pokiwał głową profesor Baker. — Oto potwierdzenie mojej hipotezy.

— Właśnie tym statkiem tutaj przyleciałem — próbował wyjaśnić Danton.

— Na uwagę zasługuje również sposób — kontynuował mentorskim tonem profesor Baker — w jaki ta niemalże wiarygodna historia w wielu swoich kluczowych punktach przeradza się w najczystszej wody fantazję. Na przykład ów „podprzestrzenny konwerter pól siłowych systemu GM”, jakim miał być jakoby napędzany mityczny statek naszego przyjaciela, jest bezsensownym nowotworem leksykalnym, jako że jedynym używanym w badaniach dalekiego kosmosu napędem jest napęd Mikkelsena. Nasz przyjaciel twierdzi także, że jego podróż z Ziemi trwała kilka miesięcy, a wiemy przecież, że takiej prędkości nie jest w stanie, nawet teoretycznie, zapewnić statkowi żaden napęd. Tego rodzaju twierdzenia Dante są spowodowane tym, że jego niewykształcony i niedorozwinięty umysł nie jest po prostu w stanie wyobrazić sobie podróży trwającej całe lata.

— A może wynaleziono taki napęd już po waszym odlocie? — zapytał Danton. — Jak długo byliście w drodze?

— „Drużyna Huttera” opuściła Ziemię sto dwadzieścia lat temu — pobłażliwym tonem wyjaśnił Baker. — Obecna jej załoga to głównie czwarte i piąte pokolenie. Proszę zwrócić także uwagę — kontynuował już wyłącznie na użytek Simeona i Jedekiaha — na jego wysiłki zmierzające do podania nam brzmiących możliwie wiarygodnie nazw własnych; słowa takie jak „Koram”, „Heil”, „Hedonia” brzmią dla niego dobrze — prawdopodobnie są to jakieś onomatopeje. To, że takie miejsca nie istnieją, nie ma dla niego żadnego znaczenia.

— Właśnie że istnieją! — zaperzył się Danton.

— Gdzie? — zaatakował Jedekiah. — Podaj mi współrzędne!

— A skąd mam je niby znać? Nie jestem nawigatorem. Zdaje się, że Heil jest gdzieś koło Bootes, czy może Kasjopei... Nie, to na pewno było Bootes...

— Przykro mi, przyjacielu — powiedział Jedekiah ale może zainteresuje cię informacja, że jestem

nawigatorem tego statku. Mogę ci pokazać atlasy i mapy gwiazdowe. Nazw, które wymieniłeś, z pewnością na nich nie znajdziesz.

— Twoje mapy są o sto lat przestarzałe!

— Więc gwiazdy też — odparł Simeon. — A teraz, Danta, gdzie są twoi ludzie? Dlaczego się przed nami kryją? Co planują!

— To niedorzeczność — zaprotestował Danton. — Jak mam was przekonać? Jestem Ziemianinem, urodziłem się i wychowałem...

— Dosyć tego — przerwał mu Simeon. — Byle dzikus nie będzie nam tu pyskował. Dosyć tego, Danta. Gdzie są twoi ludzie?

— Nie ma nikogo oprócz mnie — upierał się Danton.

— Zawiązany języczek? — zazgrzytał zębami Jedekiah. — A może damy powąchać...

— Potem, potem — wtrącił się Simeon — przyjdą tu wkrótce po upominki. Wszyscy tubylcy tak robią. A tymczasem, Danta, możesz pomóc przy rozładunku.

— Dziękuję bardzo, ale wolę...

Pięść Jedekiaha strzeliła błyskawicznie, trafiając Dantona w bok szczęki. Zatoczył się, z trudem utrzymując się na nogach.

— Szef powiedział: nie pyskować! — ryknął Jedekiah. Czemu wszystkie dzikusy to takie śmierdzące lenie? Zapłacimy ci, jak tylko wyładujemy paciorki i perkal.

Dyskusja wyglądała na zakończoną. Danton, ogłupiały i otumaniony, podobnie jak przed nim miliony tubylców na tysiącach innych planet, dołączył do długiego ogonka kolonistów podających sobie wyciągane z ładowni towary.

Późnym popołudniem wyładunek został zakończony i można było nareszcie odpocząć. Danton siedział na uboczu, próbując wykombinować jakieś wyjście z tej sytuacji. Był głęboko w tych rozważaniach pogrążony, kiedy podeszła do niego Anita z menażką wody.

— Czy ty też myślisz, że jestem tubylcem? — zapytał. Usiadła przy nim i powiedziała:

— A czy możesz nim nie być? Każdy przecież wie, jak szybko może lecieć statek...

— Wiele się zmieniło od chwili, kiedy opuściliście Ziemię. Chyba nie lecieliście cały ten czas?

— Oczywiście, że nie. Najpierw wylądowaliśmy na H, gastro I, ale że ziemie nie były tam zbyt żyzne, następne pokolenie przeniosło się na Ktedi. Tam jednak zboże przeszło jakąś mutację, w wyniku której o mało nie doszło do zagłady wyprawy. Za następny cel obrano więc Lan II. Wszyscy mieli nadzieję, że będą to już ostatnie przenosiny.



— I co się stało?

— Tubylcy — westchnęła Anita. — Z początku nawet wydawało się, że są dosyć przyjaźnie nastawieni i wyglądało na to, że panujemy nad sytuacją. Aż tu nagle pewnego dnia znaleźliśmy się, ni stąd, ni zowąd, w stanie wojny z całą tubylczą ludnością. Mieli tylko maczugi i dzidy, ale było ich zbyt wielu, toteż odlecieliśmy i przybyliśmy tutaj.

— Hmm — mruknął Danton — teraz rozumiem, czemu tak nieufnie odnosicie się do tubylców.

— Właśnie. W razie najmniejszego nawet zagrożenia przechodzimy pod rozkazy wojskowych. To znaczy mego ojca i Jedekiaha. Kiedy niebezpieczeństwo mija, ster przejmują na powrót władze cywilne.

— To znaczy?

— Rada Starszych: naprawdę dobrzy ludzie, brzydzący się przemocą. Jeżeli tobie i twoim ludziom rzeczywiście zależy na pokoju...

— Nie ma żadnych ludzi — znużonym tonem zaprotestował Danton.

— ...to pod rządami Rady Starszych będziecie mogli wieść spokojne i szczęśliwe życie — dokończyła Anita. Siedzieli obok siebie obserwując zachód słońca. Danton widział, jak zwichrzone wiatrem włosy przytulały się miękko do jej czoła i jak odbłask tonącego w oceanie słońca zarysowuje i uwypukla linię jej warg i policzka. Wstrząsnął nim dreszcz, który wytłumaczył sobie wieczornym chłodem.

Anita, która cały czas opowiadała mu z ożywieniem o swoim dzieciństwie, zdawała się nagle mieć kłopoty z utrzymaniem wątku. Zdania rwały się coraz bardziej...

Ich dłonie nie musiały szukać się zbyt długo. Koniuszki palców zetknęły się delikatnie i tak już zostały. Przez długi czas nie padło ani jedno słowo. A potem lekko i jakby z ociąganiem pocałowali się.

— Co tu się dzieje, do cholery? — zażądał wyjaśnień jakiś donośny głos.

Danton zerknął w górę i ujrzał stojącego nad nim tęgiego mężczyznę, którego potężna głowa otoczona była aureolą pomarańczowego księżyca. Zaciśnięte w pięści dłonie miał wsparte na biodrach.

— Proszę cię, Jedekiah — odezwała się Anita — tylko nie rób sceny.

— Wstawaj — polecił Jedekiah Dantonowi złowieszczo spokojnym głosem. — Podnieś się na nogi.

Danton stanął, trzymając ręce w pogotowiu i czekał. — Jesteś hańbą dla „Drużyny Huttera” i dla całej swojej rasy — zwrócił się Jedekiah do Anity. — Czyś ty oszalała? Jak można mieć choć odrobinę szacunku dla swojej własnej osoby szlajając się z jakimś brudnym dzikusiem? A ty — to już

było przeznaczone dla Dantona słuchaj uważnie i lepiej, żebyś to sobie dobrze zapamiętał: wara dzikusom od kobiet z „Drużyny Huttera”! A teraz wbiję ci tę lekcję do głowy!

Nastąpiła krótka szarpanina i Jedekiah znalazł się na ziemi. — Na pomoc! — ryknął. — Tubylcy atakują!

Na statku rozdzwierał się alarmowy dzwonek i nocną ciszę przeszył jęk syren. Kobiety i dzieci, dobrze przygotowane na taką ewentualność, w karnych oddziałach zniknęły we wnętrzu statku. Mężczyźni, w których rękach momentalnie pojawiły się karabiny, pistolety maszynowe i granaty, ruszyli w kierunku Dantona.

— To był jeden na jednego! — zawołał Danton. Trochę się posprzecaliśmy, to wszystko. Nie ma żadnych tubylców, jestem tylko ja.

— Anita, cofnij się, szybko! — rozkazał najbardziej wysunięty z napastników.

— Nie widziałam żadnych tubylców — protestowała gorąco dziewczyna — a poza tym to nie była wina Danty...

— Cofnij się!

Odciągnięto ją na bok. Zanim odezwały się karabiny, Danton zdołał dać nura w krzaki. Pięćdziesiąt metrów przebył na czworakach, potem wstał i rzucił się do szaleńczej ucieczki.

Na szczęście nikt z „Drużyny Huttera” nie miał zamiaru go ścigać. Zainteresowani byli jedynie obroną statku i utrzymaniem małego przyczółka, składającego się ze skrawka plaży i przylegającego do niego wąskiego paska dżungli. W nocnej ciszy rozbrzmiewały strzały, wrzaski i dzikie okrzyki.

— Tam jest jeden!

— Prędko, obróć karabin! Okrążyli nas! — Tam! Tam! Mam jednego!

— Uciek! Tam ucieka!... Na drzewie, uważaj, na drzewie! — Strzelaj, człowieku, strzelaj!

Przez całą noc Danton przysłuchiwał się odgłosom walki „Drużyny Huttera” z wyimaginowanym przeciwnikiem. Nad ranem ogień ustał. Przez noc zdołano wystrzelić około tony ołowiu, raniono setki drzew, a całe hektary trawy wdeptano w błoto. Dżungla śmierdziała kordytem. Danton zapadł w niespokojną drzemkę.

Około południa obudził go trzask łamanych gałęzi i deptanych krzewów: ktoś przedzierał się przez dżunglę. Cofnął się głębiej w gęsty las i przyrzadził sobie obiad z miejscowej odmiany bananów i mango. Potem postanowił wszystko dokładnie przemyśleć.

Zupełnie jednak nie mógł się skupić. Umysł miał bez reszty zaprzątnięty Anitą i rozpaczą z powodu jej utraty.

Resztę dnia spędził na ponurym łożeniu bez celu i bez sensu. Późnym popołudniem znowu usłyszał,

jak ktoś przedziera się przez gęstwinię.

Zawrócił już, by skryć się w głębi wyspy, kiedy ten ktoś zawołał go po imieniu:

— Danta! Danta! Zaczekaj!

To był głos Anity. Danton zawahał się, nie wiedząc, co ma począć. Może porzuciła statek, by żyć z nim w głębi zielonej dżungli? Bardziej jednak prawdopodobne było to, że wysłano ją jako przynętę, i że w krzakach za nią czai się cały oddział z gotowymi do strzału karabinami. Skąd miał wiedzieć, czy może jej zaufać?

— Danta! Gdzie jesteś?

Uświadomił sobie, że przecież i tak nigdy nie będzie im wolno się połączyć. Ci, z którymi przybyła, pokazali już, co myślą o tubylcach. Nigdy mu nie zaufają, jego życie będzie zawsze wisiało na włosku...

— Danta, proszę!

Danton wzruszył ramionami i skierował się w stronę, z której dochodził jej głos.

Spotkali się na małej polance. Choć Anita miała włosy w nieładzie, a ubranie wisiało na niej w strzępach, to dla Dantona i tak była najpiękniejszym zjawiskiem na świecie. Przez moment uwierzył, że uciekła, by zacząć z nim nowe życie.

Potem pięćdziesiąt metrów za nią zobaczył uzbrojonych mężczyzn.

— Nie bój się — powiedziała Anita. — Nic ci nie zrobią. Są tu tylko po to, żeby mnie bronić.

— Bronić cię? Pewnie przede mną? — zaśmiał się ponuro Danton.

— Nie znają cię tak dobrze jak ja — odparła Anita. — Dzisiaj zebrała się Rada Starszych. Wszystko im powiedziałam.

— Wszystko?

— Oczywiście. Powiedziałam im, że to nie ty sprowokowałeś bójkę, i że walczyłeś w obronie własnej, i że Jedekiah kłamał. Nie było żadnej hordy tubylców, tylko ty jeden. Tak im powiedziałam.

— Dzielna dziewczyna! — zawołał z zapałem Danton. I co, uwierzyli ci?

— Chyba tak. Wy tłumaczyłam im, że atak tubylców nastąpił później.

Danton jęknął.

— O rany, jak mógł nastąpić jakiś atak, skoro nie ma żadnych tubylców?

— Ależ są — odparła Anita. — Słyszałam ich wrzaski. — Słyszałaś krzyki waszych ludzi.

Danton próbował intensywnie znaleźć jakiś sposób, żeby ją przekonać. Jeżeli nie uda mu się to z jedną dziewczyną, to jak niby ma sobie poradzić z całą „Drużyną Huttera”?

I wtedy nadeszło olśnienie. Pomysł sam w sobie był bardzo prosty, ale jego efekty musiały, po prostu musiały być olbrzymie.

— Jak rozumiem, jesteście przekonani, że byliście obiektem frontalnego ataku ze strony tubylców?

— Naturalnie.

— A ilu było tych tubylców?

— Słyszałam, że stosunek sił wynosił 10:1 na waszą korzyść.

— I byliśmy uzbrojeni?

— Oczywiście.

— Jak więc w takim razie wytłumaczysz fakt — z triumfem w głosie zapytał Danton — że ani jeden z waszych ludzi nie został ranny?

Spojrzała na niego rozszerzonymi ze zdziwienia oczyma.

— Ależ, Danta, mój drogi! Wielu naszych zostało rannych, niektórzy nawet ciężko. Dziwne, że nikt nie został zabity!

Danton poczuł, jak ziemia chwieje mu się pod nogami. Przez jedną straszliwą chwilę uwierzył we wszystko, co mówiła. Ci ludzie byli święcie przekonani, że to, co mówią, jest najszczerzą prawdą! Może rzeczywiście miał swoje plemię, może rzeczywiście w dżungli kryli się ciemnoskórzy, jak on, tubylcy, czyhający na pierwszą okazję, by...

— Ten kupiec, który nauczył cię angielskiego — mówiła dalej Anita — musiał być człowiekiem bez skrupułów. Prawo międzygwiazdne zabrania sprzedaży broni palnej mieszkańcom zacofanych planet. Mam nadzieję, że kiedyś go złapią i...

— Broni palnej?!

— Właśnie. Oczywiście nie potraficie jej zbyt dobrze używać, ale Simeon mówi, że sama siła ognia...

— Jak przypuszczam, wszyscy wasi poszkodowani mają rany postrzałowe?

— Tak. Nie pozwoliliśmy zbliżyć się wam na tyle, żebyście mogli użyć łuków i noży.

— Rozumiem — powiedział Danton. Cały jego wywód okazał się diabła wart, ale odczuwał

beźmierną ulgę, że jednak nie postradał zdrowych zmysłów. Mało doświadczeni osadnicy napytali siebie biedy uganiając się po dżungli i strzelając do wszystkiego, co się rusza — czyli do siebie nawzajem.

Było więcej niż dziwne, że nikt nie został zabity. To był po prostu cud.

— Wytlumaczyłam im jednak, że nie mogą was za to winić. Zostałeś zaatakowany i twoi ludzie mieli prawo przypuszczać, że jesteś w niebezpieczeństwie. Rada Starszych uznała taką wersję za bardzo prawdopodobną.

— To miło z ich strony — powiedział Danton.

— Starają się być rozsądni. A poza tym zdają sobie sprawę, że jesteście ludźmi tak samo jak i my.

— A czy ty też tak myślisz? — z odcieniem ironii w głosie zapytał Danton.

— Oczywiście. Rada Starszych zwołała następne walne zebranie na temat naszej polityki wobec tubylców i ustanowiła jej niepodważalne zasady. Przeznaczamy obszar o powierzchni tysiąca akrów na rezerwat dla ciebie i twoich ludzi. To spory szmat ziemi, prawda? Zaczęliśmy już ustawianie słupków granicznych. Będziecie żyć spokojnie w swoim rezerwacie, a my w naszej części wyspy.

— Co takiego?!

— Ażeby sprawę już definitywnie zakończyć, Rada Starszych prosi cię o przyjęcie tego oto dokumentu mówiąc to wręczyła mu swój pergamin.

— Co to jest?

— Traktat pokojowy, ogłaszający zakończenie wojny między „Drużyną Huttera” a Nową Tahiti i zobowiązujący nasze dwa narody do utrzymywania wiecznej przyjaźni.

Danton wziął bezmyślnie pergamin z rąk Anity. Oddział towarzyszący dziewczynie rozproszył się tymczasem i wesoło podśpiewując wbijał w ziemię czerwono–czarne słupki. Było się z czego cieszyć — przecież w prosty i szybki sposób udało się rozwiązać niełatwy problem tubylców.

— A czy nie sądzisz — zapytał Danton — że, powiedzmy, lepszym wyjściem z sytuacji byłaby asymilacja?

— Sama im to zasugerowałam — odparła, czerwieniąc się, Anita.

— Naprawdę? Czy zrobiłabyś to...

— Oczywiście, że bym zrobiła — powiedział nie patrząc na niego. — Uważam, że wymieszanie dwóch tak silnych ras byłoby wspaniałą i jak najbardziej odpowiednią rzeczą.

A jakie cudowne historie mógłbyś opowiadać naszym dzieciom!

— Nauczyłbym je polować i łowić ryby, pokazałbym, które rośliny nadają się do jedzenia...

— A te wasze upojne pieśni i tańce! — westchnęła Anita. — To by było naprawdę wspaniałe. Przykro mi, Danta.

— Ale coś chyba da się zrobić! Nie mógłbym porozmawiać z Radą Starszych? Czy rzeczywiście nic nie można poradzić?

— Nic — odpowiedziała Anita. — Uciekłabym z tobą, ale prędzej czy później i tak by nas znaleźli, choćby nie wiem, jak długo musieli nas szukać.

— Właśnie że nigdy by nas nie znaleźli — zapewnił ją Danton.

— Może tak, może nie. W każdym razie chciałabym to sprawdzić...

— Kochanie!

— ...ale nie mogę. Pomyśl o swoich ludziach, Danta! Nasi schwytaliby zakładników i zabiliby ich, gdybym nie wróciła.

— Ależ ja nie mam żadnych ludzi, do jasnej cholery!

— To miło z twojej strony, że tak mówisz — powiedziała łagodnie Anita — ale nie wolno nam, w imię naszej miłości, poświęcać czyjegoś życia. Musisz powiedzieć swoim ludziom, że jeżeli chcą żyć, to nie wolno im przekraczać granicy rezerwatu. A na razie do widzenia i pamiętaj, że najdalej można zejść krocząc ścieżką pokoju.

Uciekła do swoich. Danton, patrząc na nią, był wściekły na jej szlachetne sentymenty, które bez żadnej realnej przyczyny nie pozwalały im się połączyć, a jednocześnie kochał ją za miłość, jaką okazywała jego ludziom. To, że ci ludzie nie istnieli, nie miało żadnego znaczenia. Liczyły się intencje.

Wreszcie odwrócił się i poszedł w głąb dżungli. Zatrzymał się przy cichym, okolonym gigantycznymi drzewami i kwitnącymi paprociami, oczku czarnej wody i próbował ułożyć plany na resztę swego życia. Anita odeszła; wszelkie stosunki z ludźmi zerwane. Próbował sobie wmówić, że ani jej, ani ich nie potrzebuje. Miał przecież swój rezerwat. Mógł na nowo zająć się uprawą ogródka, wyrzeźbić parę nowych posągów, skomponować kilka sonat, zacząć wydawać kolejną gazetę...

— Do diabła z tym wszystkim! — wrzasnął na otaczające go drzewa. Dostyc miał już tych środków zastępczych. Pragnął Anity i chciał żyć razem z ludźmi. Samotność zbyt już mu dopiekała.

Ale co miał zrobić?

Możliwości miał doprawdy niewielkie. Oparł się o pień drzewa i zapatrzył w nieprawdopodobnie niebieskie nowotahitańskie niebo. Żeby tylko ci przybysze nie byli tacy przesądni, żeby nie mieli tego kompleksu tubylców, żeby...

I wtedy przyszedł mu do głowy plan — absurdalny, niebezpieczny...

— Ale warto spróbować — powiedział do siebie. Nawet gdyby mieli mnie zabić.

Ruszył kłusem w stronę granicy rezerwatu.

W pobliżu statku dostrzegł go strażnik i natychmiast skierował w jego stronę lufę karabinu. Danton uniósł obie ręce.

— Nie strzelać! Muszę pomówić z waszymi wodzami! — Wracaj lepiej do rezerwatu — ostrzegł go strażnik — bo będę strzelał!

— Muszę mówić z Simeonem — oświadczył Danton, nie ruszając się ani o milimetr.

— No cóż, rozkaz, to rozkaz — westchnął strażnik składając się do strzału.

— Chwileczkę! — ze statku wyszedł skrzywiony ponuro Simeon.

— O co chodzi?

— Wrócił ten dzikus — wyjaśnił strażnik. — Mogę go zdmuchnąć?

— Czego chcesz? — zapytał Simeon.

— Przyszedłem tutaj — ryknął pełnym głosem Danton — żeby wypowiedzieć wam wojnę!

Podziałało to jak kij włożony w mrowisko. Po kilku chwilach wokół statku zgromadził się pełny stan osobowy „Drużyny Huttera”. Nieco z boku stała Rada Starszych — grupka podeszłych wiekiem mężczyzn wyróżniających się siwymi brodami.

— Zaakceptowaliście przecież traktat pokojowy — zaprotestował Simeon.

— Skonsultowałem się z pozostałymi wodzami z tej wyspy — odparł postępując krok naprzód Danton. Według nas traktat jest nieuczciwy. Nowa Tahiti jest nasza. Należała do naszych ojców i do ojców naszych ojców. Tutaj wychowaliśmy nasze dzieci, zbieraliśmy z pól plony, zrywaliśmy owoce drzewa chlebowego. Nie możemy się zgodzić na zamknięcie nas w rezerwacie!

— Danta! — zawołała Anita pojawiając się we włazie. Prosiłam cię przecież, żebyś zaniósł pokój swemu ludowi!

— Lud nie chciał mnie słuchać — odparł Danton.

— Już gromadzą się plemiona całej wyspy. Nie tylko moje, Cynochi, ale i Drovati, Lorognasti, Retellsmbroichi, Vitelli. Oraz, rzecz jasna, zależne od nich szczepy i lennicy.

— Ilu was jest? — zapytał Simeon.

— Jakieś pięćdziesiąt do sześćdziesięciu tysięcy. Nie wszyscy, oczywiście, mamy strzelby. Większość z nas będzie musiała polegać na nieco bardziej tradycyjnej broni, jak na przykład zatrute strzały i dmuchawy.

Przez tłum przeszedł nerwowy pomruk.

— Wielu naszych zginie — mówił z niewzruszonym spokojem Danton — ale to nie ma znaczenia. Każdy Nowotahitańczyk będzie walczył jak lew. Na każdego z waszych przypada tysiąc naszych. Na sąsiedniej wyspie mieszkają nasi krewniacy, którzy z pewnością się do nas przyłączą. Bez względu na ofiarę z życia i cierpienia, jaką przyjdzie nam złożyć, zepchniemy was do morza. To wszystko, co mam do powiedzenia.

Odwrócił się na pięcie i powolnym, dostojnym krokiem ruszył w stronę dżungli.

— Mogę już go zdmuchnąć? — przypomniał o sobie strażnik.

— Odłóż ten karabin, idioto! — warknął Simeon. Danta, zaczekaj. Przecież możemy się dogadać. Nie ma sensu niepotrzebnie przelewać krwi.

— Zgadzam się z tym — ze śmiertelną powagą odparł Danton.

— Czego chcecie?

— Równych praw!

Rada Starszych niezwłocznie rozpoczęła obrady. Simeon przysłuchiwał im się jakiś czas, potem wrócił do Dantona.

— To się da zrobić. Coś jeszcze?

— Nic — odparł Danton. — Nic, oprócz potwierdzającego nasz układ przymierza między rodziną panującą „Drużyny Huttera” a rodziną panującą Nowotahitańczyków. Najlepsze byłoby jakieś małżeństwo.

Po kolejnej rundzie obrad Rada Starszych przekazała swe stanowisko Simeonowi. Komendant wydawał się czymś najwyraźniej wzburzony. Kark mu nabrzmiął, ale zdołał się jakoś opanować, kiwnął głową na znak zgody i podszedł do Dantona.

— Zostałem upoważniony przez Radę Starszych oświadczył — by zaproponować ci zawarcie przymierza krwi. Ty i ja, jako przedstawiciele rodzin panujących naszych narodów, zmieszamy naszą krew, a następnie podzielimy się chlebem i solą. Będzie to podniosła i mająca wielkie, symboliczne znaczenie uroczystość, która...

— Przykro mi — przerwał mu Danton — ale my, Nowotahitańczycy, nie uznajemy takich rzeczy. To musi być małżeństwo.

— Ależ, do cholery, człowieku...



— To moje ostatnie słowo.

— Nigdy się na to nie zgodzimy! Nigdy!

— A więc wojna! — oznajmił Danton i poszedł w las. Znajdował się akurat w odpowiednim nastroju do prowadzenia wojny, ale jak jeden tubylec miał poradzić sobie z całym statkiem uzbrojonych ludzi?

Rozwazał właśnie ponuro ten problem, kiedy spomiędzy drzew wyszli Simeon i Anita.

— W porządku — oświadczył wściekły Simeon. — Rada Starszych wyraziła zgodę. Dostyc już mamy tego latania od planety do planety. Mieliśmy już takie kłopoty wcześniej i podejrzewam, że mielibyśmy je wszędzie, gdziekolwiek byśmy się przenieśli. Zmęczyły nas te ciągłe problemy z tubylcami, więc sądzę — tu mężnie powstrzymał napływające mu do oczu łzy — że najlepiej będzie rozpocząć proces asymilacji. Tak w każdym razie uważa Rada Starszych. Ja osobiście wolałbym walczyć.

— Przegrałbyś — zapewnił go Danton i w tym momencie poczuł, że sam jeden potrafiłby dać radę całej „Drużynie Huttera”.

— Możliwe — przyznał Simeon. — W każdym razie podziękuj Anicie, bo tylko dzięki niej możemy zawrzeć ten układ.

— Dzięki niej? Jak to?

— O rany, bo jest jedyną dziewczyną, która chciałaby wyjść za gołego, brudnego, durnego dzikus!

I tak oto wzięli ślub, i Danta, nazywany teraz Przyjacielem Białych Ludzi, zaczął prowadzić osiadły tryb życia, pomagając „Drużynie Huttera” w podboju nowego kraju. W zamian za to zaznajomiono go z cudami cywilizacji. Nauczono go gry w dwunastoosobowego brydża i Tańców Masowych, a wkrótce potem „Drużyna Huttera” wybudowała sobie małe Metro — przecież cywilizowani ludzie muszą mieć jakieś możliwości dawania upustu swoim agresjom. Dancie, rzecz jasna, także wytłumaczono, na czym ta zabawa polega.

Próbował się jakoś zidentyfikować z praktykowanym na Ziemi sposobem spędzania wolnego czasu, ale okazało się to zadaniem przekraczającym możliwości jego barbarzyńskiej duszy.

Cywilizacja działała na niego przygnębiająco, toteż, wraz ze swoją żoną, przemierzał olbrzymie przestrzenie planety, zawsze w straży przedniej, zawsze jak najdalej od powabów cywilizowanego świata.

Często odwiedzali go antropolodzy. Rejestrowali pilnie wszystkie historie, jakie opowiadał swoim dzieciom prastare, cudowne nowotahitańskie legendy, pełne mitów o bogach przestworzy i demonach oceanów, o duchach ognia i nimfach z puszczy i lasów, opowieści o tym, jak to Katamandura musiał w ciągu trzech dni stworzyć świat z niczego i jaką otrzymał za to nagrodę, o tym, co Jevasi powiedział Hootmentaliemu, kiedy spotkali się w królestwie podziemi i o przedziwnych następstwach tego spotkania.

Antropolodzy dostrzegli pewne podobieństwo między tymi opowieściami a niektórymi z ziemskich mitów; dało to okazję do wysunięcia wielu ciekawych hipotez. Zainteresowanie naukowców wzbudziły także wielkie, wyrzeźbione w piaskowcu posągi z największej wyspy Nowej Tahiti. Te groźne, ponure postacie były z pewnością dziełem jakiejś prastarej, przed wiekami zaginionej rasy; kto je raz ujrzał, nie mógł już ich zapomnieć.

Jednak dla wszystkich najbardziej pasjonującym problemem była zagadka samych Nowotahitańczyków. Ci szczęśliwi, uśmiechnięci, miedzianoskórzy barbarzyńcy, wyżsi, silniejsi, przystojniejsi i zdrowsi od wszystkich znanych dotychczas ras, zniknęli wraz z przybyciem białego człowieka. Tylko nieliczni z najstarszych członków „Drużyny Huttera” widzieli ich w większej liczbie, a i tak wiarygodność ich opowieści była przez wielu kwestionowana.

— Moi ludzie? — mawiał Danta, gdy go o to pytano. Cóż, nie potrafili obronić się przed chorobami przyniesionymi przez białych ludzi, nie mogli znieść ich maszynowej cywilizacji, brutalnego i bezwzględnego stylu bycia. Teraz są wszyscy w szczęśliwej krainie Valhoola, skryci za błękitem nieba. Pewnego dnia i ja do nich dołączę.

A biali ludzie, słysząc te słowa, doświadczali dziwnego uczucia winy i podwajali swe wysiłki, by okazać serce Dancie, Ostatniemu Nowotahitańczykowi.

*przekład: Arkadiusz Nakoniecznik*

*The Luckiest Man in the World*

# Najszczęśliwszy człowiek na świecie

Naprawdę czuję się wyśmienicie tutaj na dole. Ale musicie państwo pamiętać, że jestem człowiekiem, któremu zawsze wiedzie się w życiu. Mój przysłowiowy łut szczęścia sprawił, że wysłano mnie do Patagonii. Proszę mnie źle nie zrozumieć — to nie sprawa protekcji czy zdolności. Wprawdzie jestem niezłym meteorologiem, ale z łatwością mogliby wysłać kogoś lepszego ode mnie. Po prostu miałem wyjątkowe szczęście być na właściwym miejscu we właściwym czasie.

Cała sprawa zaczyna przypominać bajkę, jeżeli weźmie się pod uwagę, że wojskowi wyposażyli moją stację meteorologiczną we wszystkie cuda techniki, jakie zna ludzkość. Oczywiście zrobili to niezupełnie dla mnie. Po prostu zamierzali zbudować tutaj bazę. Sprowadzili już całe wyposażenie, później zaś musieli porzucić ten projekt.

A mimo to wysyłałem im raporty o pogodzie tak długo, jak tego chcieli.

Cóż to za wspaniałe urządzenia! Nauka zawsze mnie zdumiewała. Przypuszczam, że sam jestem czymś w rodzaju naukowca, ale nie potrafię pracować twórczo i na tym polega cała różnica. Wystarczy powiedzieć naukowcowi z prawdziwego zdarzenia, że ma zrobić coś niemożliwego, a on zakasze rękawy i za każdym razem robi to, co mu polecono. To doprawdy przerażające.

Tak jak ja to widzę, jakiś generał musiał powiedzieć naukowcom: „Słuchajcie, chłopcy. Brak nam wielu specjalistów z różnych dziedzin i nie mamy skąd ich wziąć. Ich zadania musimy powierzyć ludziom, którzy często nie posiadają odpowiednich kwalifikacji. Brzmi to nieprawdopodobnie, ale czy możecie coś z tym zrobić?” A naukowcy zabrali się żywo do pracy nad tymi wszystkimi zdumiewającymi podręcznikami i urządzeniami.

Na przykład: w zeszłym tygodniu rozboleły mnie zęby. Początkowo myślałem, że to tylko przeziębienie, bo tutaj na dole nadal jest bardzo zimno, mimo iż czynne są te wszystkie wulkany. Ale bez wątplenia był to ból zęba. Więc wyjąłem z pudła aparat dentystyczny, złożyłem go i przeczytałem, co miałem do przeczytania. Przebadałem się sam, sklasyfikowałem chory ząb, rodzaj bólu i ubytek. Później zrobiłem sobie zastrzyk, oczyściłem ząb i założyłem plombę. A dentyści całymi latami uczą się na studiach tego, co ja sam zrobiłem z konieczności w ciągu pięciu godzin.

Weźmy chociażby sprawę wyżywienia. Byłem obrzydliwie tłusty, ponieważ poza wysyłaniem raportów o pogodzie nie miałem nic do roboty. Ale kiedy przestałem się tym zajmować, zacząłem przygotowywać takie posiłki, jakich mogliby mi pozazdrościć najlepsi na świecie szefowie kuchni. Gotowanie było zawsze sztuką, ale kiedy zabrali się za nie naukowcy, zrobili z niego ścisłą dyscyplinę naukową.

Mógłbym pisać o tym bez końca. Wiele z rzeczy, w które mnie wyposażono, nie jest mi już do niczego potrzebne, gdyż, zostałem zupełnie sam. Ale z podręcznikami, jakie tu mam, mógłbym zostać bardzo kompetentnym adwokatem. Owe podręczniki zostały napisane w taki sposób, że każdy przeciętnie inteligentny człowiek może znaleźć paragrafy potrzebne do skutecznej obrony danej

sprawy i zrozumieć, co one znaczą w potocznej angielszczyźnie.

Nikt nigdy nie próbował pozwać mnie do sądu, ponieważ zawsze miałem szczęście w życiu. Ale teraz chciałbym, żeby ktoś to zrobił, choćby po to, bym mógł wypróbować te podręczniki prawa.

Budownictwo to inna sprawa. Kiedy tu przybyłem, musiałem mieszkać w baraku z blachy falistej. Ale rozpakowałem kilka tych cudownych maszyn budowlanych i znalazłem materiały konstrukcyjne, z którymi każdy mógłby dać sobie radę. Zbudowałem sobie pięciopokojowy bomboodporny dom, z łazienką wykładaną kafelkami. Oczywiście nie są to autentyczne kafelki, ale wyglądają jak prawdziwe i bez trudu można je ułożyć. Równie łatwo przychodzi wykładanie ścian tapetami, wystarczy tylko o tym poczytać.

Rzeczą, która mnie najbardziej zaskoczyła, był montaż instalacji wodociągowych w moim domu. Zawsze uważałem inżynierię sanitarną za najbardziej skomplikowaną dziedzinę na świecie — trudniejszą nawet niż medycyna czy stomatologia. Nie miałem jednak z tym żadnych kłopotów. Może według profesjonalnych standardów wykonanie nie jest absolutnie doskonałe, ale wystarcza mi w zupełności. Serie filtrów, sterylizatorów, oczyszczaczy, wzmacniaczy i tak dalej zapewniają mi dopływ wody wolnej od najbardziej odpornych mikrobów. A przecież te filtry zainstalowałem ja sam, bez niczyjej pomocy.

Czasem czuję się tu bardzo samotny, lecz na to naukowcy niewiele mogą poradzić. Nic nie zastąpi towarzystwa drugiego człowieka. Może gdyby naukowcy z prawdziwego zdarzenia bardzo się postarali, wówczas mogliby wymyślić coś lepszego niż zupełna samotność dla facetów takich jak ja, odizolowanych od reszty świata.

Nie mam tu nawet jednego Patagończyka, z którym mógłbym pogadać. Nieliczni, którzy ocaleli, odeszli na północ, gdy cofnęły się fale przyływu. No i muzyka też niewiele mi pomaga — ale jestem przecież człowiekiem, któremu niezbyt przeszkadza samotność. Może właśnie dlatego mnie tutaj wysłali.

Bardzo mi jednak brakuje drzew.

Malarstwo! Nie wspomniałem o malarstwie! Każdy wie, jaka to skomplikowana dziedzina. Trzeba znać się na perspektywie, rysunku, kolorach i nie wiem, czym jeszcze. Praktycznie rzecz biorąc trzeba być geniuszem, zanim człowiekowi coś z tego wyjdzie.

No a ja, po prostu, wybieram pędzle, ustawiam sztalugi i mogę namalować, co mi się tylko spodoba. O wszystkim, co trzeba zrobić, napisano w podręczniku. Moje obrazy przedstawiające zachody słońca są bardzo efektowne. Nadają się do galerii malarstwa. Nigdy nie widzieliście państwo takich zachodów słońca. Jakie płomienne kolory, niewiarygodne kształty! To wszystko przez ten pył w powietrzu.

Z moimi uszami również jest lepiej. Czyż nie powiedziałem, że mam szczęście w życiu? Przy pierwszym wybuchu popękały mi bębenki w uszach, ale aparat słuchowy, który noszę, jest tak mały, że niemal niedostrzegalny i z jego pomocą słyszę lepiej niż kiedykolwiek.

To przywodzi mi na myśl medycynę, a przecież nigdzie indziej nauka nie zrobiła równie dobrej roboty. Podręcznik mówi mi, co należy robić we wszystkich przypadkach. Przeprowadziłem na sobie operację usunięcia wyrostka robaczkowego, którą jeszcze kilka lat temu uznano by za niemożliwą. Musiałem tylko odnaleźć objawy chorobowe, zastosować się do instrukcji i już było po wszystkim.

Wyleczyłem się z wielu różnorodnych schorzeń, ale oczywiście nie mogę nic poradzić na chorobę popromienną. To nie wina podręcznika. Po prostu nikt nie może się z tym uporać. Nawet gdybym miał tu najlepszych na świecie specjalistów, oni także nie mogliby mi pomóc.

Jeżeli pozostaliby jeszcze jacyś specjaliści. Ale oczywiście nie ma już żadnego.

Mimo wszystko nie jest ze mną aż tak źle. Wiem, co mam robić, żeby nie bolało. I nie znaczy to, że opuściło mnie szczęście czy coś podobnego. Po prostu szczęście opuściło wszystkich.

No cóż, kiedy przeglądam, co dotąd napisałem, nie wygląda mi to na wyznanie wiary, jakim miało być. Myślę, że dobrze będzie, jeżeli przestudiuję jeden z tych podręczników poprawnego pisania. Będę wtedy wiedział, jak opowiedzieć wszystko tak dobrze, jak to tylko możliwe. A chcę opowiedzieć dokładnie o uczuciach, jakie żywię wobec nauki i jaki jestem jej wdzięczny. Mam trzydzieści dziewięć lat. Żyłem dłużej niż ktokolwiek inny, nawet gdybym miał jutro umrzeć. A to dlatego, że miałem szczęście i zawsze byłem na właściwych miejscach, o właściwej porze.

Myślę jednak, że nie będę zawracać sobie głowy podręcznikiem poprawnego pisania, ponieważ nie ma nikogo, kto mógłby przeczytać choć jedno słowo z mojego rękopisu. A komu potrzebny jest pisarz bez czytelników?

Fotografowanie jest bardziej interesujące.

Poza tym muszę rozpakować część narzędzi do kopania grobów, zbudować mauzoleum i wyrzeźbić dla siebie nagrobek.

*przekład: Ewa Witecka*

*Protection*

# Ochrona

W przyszłym tygodniu samolot rozbije się w Birmie, ale nie powinno mi to zaszkodzić w Nowym Jorku. A figsy w żaden sposób nie mogą zrobić mi krzywdy. Nie mogą, bo drzwi od szafy są zamknięte. Jedyne prawdziwy problem stanowi lesnerowanie. Nie mogę lesnerować. W żadnym przypadku. Możecie sobie wyobrazić, jak mi to przeszkadza. A w dodatku wydaje mi się, że porządnie się przeziębilem.

Cała rzecz zaczęła się siódmego listopada wieczorem. Szedłem Broadwayem do baru Bakera. Zdałem tego dnia trudny egzamin z fizyki i byłem w dobrym humorze. W kieszeni brzęczało mi pięć monet, trzy klucze i pudełko zapalek. Żeby obraz był pełny, trzeba dodać, że wiał północno—zachodni wiatr z szybkością pięciu mil na godzinę, Wenus wschodziła, a Księżyc był niewątpliwie pełny. Z faktów tych możecie wyciągnąć swoje własne wnioski.

Doszedłem do rogu Dziewięćdziesiątej Ósmej Ulicy i zacząłem przechodzić przez jezdnię. Kiedy zszedłem z krawężnika, ktoś wrzasnął do mnie:

— Ciężarówka! Uważaj na ciężarówkę!

Odskokczyłem i rozejrzałem się szybko wokół. Nie było niczego widać w pobliżu. Po upływie całej sekundy ciężarówka ścięła róg na dwóch kołach i nie zważając na czerwone światło pomknęła w stronę Broadwayu.

Gdyby nie ostrzeżenie, uderzyłaby z pewnością we mnie. Słyszeliście już podobne historie, prawda? O dziwnym głosie, jaki ostrzegł ciocię Minnie, by nie wchodziła do windy, która po chwili rzeczywiście runęła w dół. Albo o takim, co powiedział wujkowi Joe, by nie płynął „Titanikiem”.

Na tym zwykle taka historia się kończy. Bardzo bym chciał, by z moją było podobnie.

— Dziękuję, przyjacielu — powiedziałem i rozejrzałem się powtórnie wokół. Oprócz mnie na ulicy nie było nikogo.

— Czy nadal mnie słyszysz? — zapytał głos.

— Jasne — obróciłem się i popatrzyłem podejrzliwie na zamknięte okna mieszkań u góry. — Ale gdzie, do diabła, jesteś?

— Gronish — odpowiedział głos. — Czy to odnośnik? Wskaźnik załamania się światła. Stworzenie niematerialne. Cień wie. Czy wybrałem właściwie?

— Jesteś niewidzialny? — zaryzykowałem.

— Właśnie.

— Ale k i m jesteś?

— Jestem dergiem waliduzjańskim.

— Czym?

— Jestem — otwórz usta trochę szerzej. — Teraz zastanówmy się. Jestem Duchem Przyszłych Świąt. Stworem z Czarnej Laguny. Narzeczoną Frankensteina. Jestem...

— Poczekaj — przerwałem — czy starasz się mi powiedzieć, że jesteś duchem lub stworzeniem z innej planety?

— Właśnie, właśnie — odpowiedział derg.

Oczywiście. Teraz wszystko było zupełnie jasne. Każdy dureń mógł zrozumieć, że głos należał do kogoś z innej planety. Był on niewidzialny na Ziemi, ale jego nadzwyczajne zmysły wyczuły niebezpieczeństwo i zdążyły mnie ostrzec.

Zwykle, codzienne, nadprzyrodzone zdarzenie.

Zacząłem iść bardzo szybko w dół Broadwayu.

— O co chodzi? — spytał niewidzialny derg.

— Absolutnie o nic — odpowiedziałem — poza tym, iż wydaje mi się, że stoję na środku ulicy i rozmawiam z niewidzialnym przybyszem z najodleglejszych części przestrzeni kosmicznej. Przypuszczam, że tylko ja mogę cię słyszeć?

— Tak, naturalnie.

— Świetnie. Czy wiesz, gdzie mogę się znaleźć przez takie zdarzenie?

— Pojęcie, jakie starasz się wyrazić, nie jest dla mnie całkowicie jasne.

— Na oddziale chorych umysłowo. W szpitalu dla obłąkanych. U czubków. Wśród wariatów. Tam kierują ludzi rozmawiających z niewidzialnymi stworami z innych planet. Dzięki za ostrzeżenie... Dobranoc.

Uspokojony, skręciłem na wschód z nadzieją, że mój niewidzialny przyjaciel będzie się dalej trzymał Broadwayu.

— Nie chcesz ze mną rozmawiać? — zapytał derg. Pokręciłem głową (niewinny gest, za który nie mogą cię zamknąć) i szedłem dalej.

— Ale przecież musisz — powiedział derg z pewną determinacją. — Prawdziwy kontakt głosowy jest niezmiernie rzadki i szalenie trudny do utrzymania. Czasem udaje mi się przekazać ostrzeżenie tuż przed momentem zagrożenia, ale później połączenie znika.

Tak więc uzyskaliśmy wyjaśnienie na przeczcucia cioci mojej. Niemniej jednak nadal nie chciałem mieć z tym nic wspólnego.

— Warunki mogą być niekorzystne przez następne sto lat — ubolewał derg.

Jakie warunki? Pięć monet i trzy klucze obijające się o siebie, w czasie gdy wschodziła Wenus? Być może jest to warte zbadania, ale nie przeze mnie.

Nigdy nie udowodnisz rzeczy ponadnaturalnych. Wystarczająco dużo ludzi wyplata koszyki lub odpoczywa w kaftanach bezpieczeństwa. I po co ja tam jeszcze?

— Zostaw mnie w spokoju — powiedziałem. Nadchodzący policjant dziwnie spojrział na mnie. Uśmiechnąłem się chłopięco i pospieszyłem dalej.

— Rozumiem twoją sytuację — namawiał derg — ale kontakt... jest w twoim najlepszym interesie. Pragnę ochraniać cię od niezliczonych niebezpieczeństw ludzkiej egzystencji.

Nie odpowiedziałem nawet.

— Cóż — rzekł derg — nie mogę cię zmuszać. Będę musiał zaoferować swoje usługi gdzie indziej. Do widzenia, przyjacielu.

Skinąłem grzecznie głową.

— Na koniec jeszcze jedno — powiedział. — Nie korzystaj jutro z metra między południem a 13.15. Do widzenia.

— Co? Dlaczego?

— Ktoś zginie na stacji Columbus Circle wepchnięty pod pociąg przez tłum. Ty, jeśli tam będziesz. Cześć.

— Ktoś zginie jutro? — zapytałem. — Jesteś pewien?

— Oczywiście.

— Czy będzie o tym w gazetach?

— Wydaje mi się, że tak.

— I wiesz z góry o wszystkich takich rzeczach?

— Potrafię przewidzieć wszystkie zagrożenia przemierzające się ku tobie w czasie. Jedynym moim pragnieniem jest ochronienie cię przed nimi.

Zatrzymałem się. Dwie nadchodzące dziewczyny zaczęły chichotać słysząc mnie mówiącego do siebie. Ruszyłem dalej.



— Posłuchaj — szepnąłem — czy możesz poczekać do jutrzejszego wieczora?

— I pozwolisz mi być swoim opiekunem? — zapytał derg ochoczo.

— Odpowiem jutro — odrzekłem. — Po przeczytaniu wieczornych gazet.

Notatka była, rzeczywiście. Przeczytałem ją w moim wynajętym pokoju na Sto Trzynastej Ulicy. Mężczyzna popchnięty przez tłum, stracił równowagę i spadł na tory prosto pod koła nadjeżdżającego pociągu. Dało mi to dużo do myślenia podczas oczekiwania na pojawienie się mojego niewidzialnego opiekuna.

Nie wiedziałem, co robić. Jego chęć do ochrania mnie wyglądała na dość szczerą. Ale nie mogłem się zdecydować, czy takiej opieki rzeczywiście pragnę. Kiedy godzinę później derg skontaktował się ze mną, cała sprawa podobała mi się jeszcze mniej i powiedziałem mu o tym.

— Czy mi nie ufasz? — spytał.

— Chcę tylko prowadzić normalne życie.

— Jeżeli będziesz miał w ogóle jakieś życie — przypomniał mi. — Ta ciężarówka ostatniego wieczora...

— To była rzecz wyjątkowa, zdarzająca się tylko raz w życiu.

— Właśnie raz w życiu się umiera — powiedział derg uroczyście. — Było też metro.

— To się nie liczy. Nie planowałem dzisiaj jazdy metrem.

— Ale nie było przyczyny, abyś tego nie zrobił. To jest istotne. Tak jak nie ma powodu, byś na przykład nie wziął prysznicu w ciągu następnej godziny.

— Dlaczego nie miałbym wziąć?

— Panna Flyun — rzekł derg — mieszkająca na końcu korytarza, właśnie skończyła się kąpać w łazience na tym piętrze i zostawiła roztopiający się kawałek różowego mydła na różowych kafłach posadzki. Poślizgnąłbyś się i skręcił nadgarstek.

— Nie byłby to wypadek śmiertelny, co?

— Nie. W żadnym razie nie można tego porównać na przykład z powiedzmy ciężką doniczką strąconą z dachu przez pewnego, niezbyt pewnie zachowującego równowagę, starszego dżentelmena.

— Kiedy to się wydarzy? — spytałem.

— Myślałem, że to cię nie interesuje.

— Ależ to jest bardzo interesujące. Kiedy? Gdzie?

— Czy pozwolisz mi na dalsze ochranianie siebie? — zapytał.

— Powiedz mi tylko jedną rzecz — rzekłem. — Co ty masz z tego?

— Zadowolenie — odpowiedział. — Dla derga waliduzjańskiego największą rozkoszą jest możliwość pomagania innym istotom w unikaniu niebezpieczeństwa.

— Ale czy nie chcesz za to czegoś więcej? Jakiegoś drobiazgu jak moja dusza czy władza nad światem?

— Niczego. Oczekiwanie zapłaty za ochronę zrujnowałoby moje emocjonalne przeżycie. Wszystko, czego oczekuję od życia — czego każdy derg pragnie — to ochranianie kogoś od zagrożeń, których ten ktoś nie dostrzega, a które ja widzę aż za dobrze. — Derg przerwał, po chwili dodał cicho: — Nie oczekujemy nawet wdzięczności.

Cóż, to przesądziło sprawę. W jaki sposób mogłem przewidzieć konsekwencje? Skąd mogłem wiedzieć, iż jego pomoc wmanewruje mnie w sytuację, w której nie będę mógł lesnerować?

— Co z tą doniczką? — spytałem.

— Spadnie ona na róg Dziesiątej Ulicy i Bulwaru McAdamsa jutro 08.30 rano.

— Dziesiątej i McAdamsa? Gdzie to jest?

— W Jersey City — odpowiedział natychmiast.

— Ale ja w życiu nie byłem w Jersey City. Po co uprzedzać mnie o tym?

— Nie wiem, dokąd pójdziesz lub nie pójdziesz — powiedział derg. — Ja tylko wyczuwam niebezpieczeństwa grożące ci, wszystko jedno, w którym miejscu mogące wystąpić.

— Co mam teraz robić?

— Co sobie życzysz — odpowiedział mi. — Po prostu żyj sobie tak jak zawsze.

Tak jak zawsze. Ha!

Zacząłem się całkiem dobrze. Chodziłem na wykłady na Uniwersytecie Columbia, do kina, na randki, uczyłem się w domu, grałem w ping—ponga i szachy, wszystko tak jak przedtem. Nigdy nie pokazałem po sobie, że jestem pod bezpośrednią ochroną derga waliduzjańskiego.

Derg zgłaszał się do mnie raz lub dwa razy dziennie. Mówił coś w rodzaju: „Obluzowane okratowanie na wlocie do kanału pomiędzy Sześćdziesiątą Szóstą i Sześćdziesiątą Siódmą Ulicą. Nie nastąp na nie”. I oczywiście nie następowałem. Ale ktoś inny, tak. Często widziałem takie notatki w gazetach.

Gdy przyzwyczałem się do mojej sytuacji, dała mi ona całkiem spore poczucie bezpieczeństwa.

Stworzenie z innej planety krzątało się przez dwadzieścia cztery godziny na dobę i wszystko, czego pragnęło od życia, to ochranianie mnie. Straż osobista nie z tego świata! Myśl ta dodawała bardzo pewności siebie.

Moje życie towarzyskie w tym okresie nie mogłoby rozwijać się lepiej.

Wkrótce jednak, w trosce o mnie, derg stał się zbyt gorliwy. Wynajdował coraz więcej i więcej zagrożeń, z których większość nie miała żadnego wpływu na moje życie w Nowym Jorku — rzeczy i miejsca, których powinienem unikać w Mexico City, Toronto i Omaha, Papeete...

Spytałem go w końcu, czy zamierza donosić mi o każdym potencjalnym niebezpieczeństwie na Ziemi.

— Uprzedzałem cię tylko o nielicznych, bardzo nielicznych, takich, które odnoszą się lub mogłyby odnieść się do ciebie — odpowiedział.

— W Mexico City? Lub w Papeete? Czemu nie ograniczysz się do wypadków lokalnych? Powiedzmy w Nowym Jorku i okolicy!

— „Lokalny” nic dla mnie nie znaczy — derg był uparty. — Moja percepcja jest czasowa, a nie przestrzenna. Muszę chronić cię przed wszystkim.

Na swój sposób było to wzruszające i nic nie mogłem na to poradzić. Musiałem tylko odrzucać z jego doniesień przeróżne niebezpieczeństwa w Hoboken, Tajlandii, Kansas City, Angkor Wat (upadający posąg), Paryżu i Sarasosie. W końcu dochodziliśmy do wydarzeń lokalnych. Ignorowałem na ogół zagrożenia oczekujące mnie w Queens, Bronksie, Staten Island i Brooklynie i koncentrowałem się na Manhattanie.

O niektórych z nich jednak warto było wiedzieć wcześniej. Derg ustrzegł mnie od kilku bardzo przykrych przeżyć takich, jak na przykład napad w parku, atak bandy nastolatków, pożar.

Ale jednocześnie zwiększał on stale tempo swych ostrzeżeń. Zaczęło się od jednego lub dwóch doniesień dziennie. Po miesiącu przestrzegał mnie już pięć i sześć razy w ciągu dnia. W końcu ostrzeżenia lokalne, krajowe i międzynarodowe płynęły nieprzerwanym strumieniem. Na mojej drodze zaczęły się piętrzyć niebezpieczeństwa ponad wszelki rachunek prawdopodobieństwa. Oto typowy dzień:

„Zepsuta żywność w restauracji Bakera. Nie jedz tam dziś wieczorem”.

„Autobus 312 ma niepewne hamulce. Nie jedź nim”.

„Pralnia chemiczna Mellena ma uszkodzoną instalację gazową. Może wybuchnąć. Lepiej oddaj odzież do czyszczenia gdzie indziej”.

„Wściekły pies krąży między ulicami Riverside Drive i Central Park West. Weź taksówkę”.

Wkrótce większość czasu poświęcałem na nierobienie wielu rzeczy i unikanie różnych miejsc.

Wyglądało na to, iż niebezpieczeństwo czyha na mnie na każdym kroku.

Podejrzałem derga, że przesadnie powiększa liczbę ostrzeżeń. Wydawało mi się to jedynym możliwym wytłumaczeniem. Ostatecznie, przed spotkaniem z dergiem, żyłem już dość długo i bez absolutnie żadnej nadprzyrodzonej pomocy szło mi całkiem nieźle. Dlaczego więc ryzyko codziennego bytowania miałoby się teraz tak wyraźnie zwiększyć? Zapytałem go o to pewnego wieczora.

— Wszystkie moje meldunki są całkowicie prawdziwe — odpowiedział, najwyraźniej nieco dotknięty. — Jeśli mi nie wierzysz, spróbuj jutro zapalić światło na wykładzie psychologii.

— Czemu?

— Uszkodzona instalacja.

— Nie wątpię w prawdziwość twoich ostrzeżeń — zapewniłem. — Wiem tylko, że moje życie nie było tak najeżone niebezpieczeństwami przed poznaniem z tobą.

— Oczywiście, że nie było. Z pewnością wiesz o tym, iż przyjmując ochronę, musisz jednocześnie pogodzić się z jej niedogodnościami.

— Jakimi niedogodnościami? — Derg zawahał się.

— Ochrona powoduje potrzebę dalszej ochrony. Jest to powszechna niezmienność rzeczy.

— Powtórz to — powiedziałem oszołomiony.

— Zanim mnie spotkałeś, byłeś przeciętnym człowiekiem i napotykałeś na swej drodze przeciętnie ryzykowne sytuacje. Ale gdy ja się pojawiłem, twoje bezpośrednie otoczenie zmieniło się. I twoja pozycja w tym otoczeniu zmieniła się również.

— Zmieniła się? Dlaczego?

— Ponieważ zawiera ona teraz mnie. Do pewnego stopnia istniejesz teraz w moim środowisku, podobnie jak ja w twoim. A, oczywiście, wiadomo jest powszechnie, że uniknięcie jednego zagrożenia otwiera drogę innym groźbom.

— Czy starasz mi się powiedzieć — powiedziałem powoli — że liczba niebezpieczeństw, na które jestem narażony, wzrosła z powodu twojej pomocy?

— Nie można było tego uniknąć — westchnął.

W tym momencie udusiłbym chętnie derga, gdyby nie był niewidzialny i nieuchwytny. Miałem paskudne uczucie, iż zostałem wykiwany przez pozaziemskiego oszusta.

— W porządku — powiedziałem, usiłując zachować kontrolę nad głosem — dziękuję za wszystko. Do zobaczenia na Marsie, czy też tam, gdzie zwykle się kręcisz.

— Nie chcesz dalszej ochrony?

— Dobrze zgadłeś. Nie trzaskaj drzwiami wychodząc.

— Ale dlaczego? — derg wydawał się szczerze zdziwiony. — Liczba niebezpieczeństw w twoim życiu zwiększyła się, to prawda, ale co z tego? Prawdziwą sławę i prawdziwy honor przynosi stawienie czoła zagrożeniom i wychodzenie z nich zwycięsko. Im większe niebezpieczeństwo, tym większa radość z jego uniknięcia.

Po raz pierwszy zrozumiałem, jak obcy w swej naturze był ten przybysz z zewnątrz.

— Nie dla mnie — odpowiedziałem. — Wynoś się.

— Ryzyko zwiększyło się — argumentował derg — ale moja zdolność do wykrywania go jest bardziej niż wystarczająca. Jestem szczęśliwy, starając się je zniwelować. Moja obecność przedstawia dla ciebie coraz większą wartość.

Pokręciłem głową.

— Wiem, co będzie dalej. Liczba zagrożeń w moim życiu będzie się stale zwiększać, nieprawdaż?

— Wcale nie. Jeżeli chodzi o tego rodzaju przypadki, osiągnąłeś już ilościowy limit.

— Co to właściwie ma oznaczać?

— Znaczy to, że w przyszłości nie będzie się już zwiększała liczba niebezpieczeństw, których musisz unikać.

— Świetnie. A teraz może będziesz tak uprzejmy i wyniesiesz się stąd do cholery.

— Ale przecież właśnie ci tłumaczę...

— Rozumiem. Bez dalszego zwiększania, tylko to, co było... Ale słuchaj, jeśli zostawisz mnie samego, moje pierwotne otoczenie powróci, prawda? I razem z nim moja poprzednia liczba zagrożeń.

— Stopniowo — zgodził się derg — jeżeli tego dożyjesz.

— Zaryzykuję.

Derg milczał przez chwilę. W końcu powiedział:

— Nie mogę pozwolić na oddalenie mnie. Jutro...

— Nie mów nic. Będę unikał tych wypadków na własną rękę.

— Nie myślałem o wypadkach.

— A o czym?

— Naprawdę nie wiem, jak ci to powiedzieć — jego głos był zmieszany. — Tłumaczyłem ci, że nie będzie ilościowej zamiany. Nie wspomniałem o zmianie jakościowej.

— O czym ty mówisz?! — krzyknąłem.

— Staram ci się wyjaśnić — odpowiedział derg — że gamper czyha na ciebie.

— Kto? Co to za kawały?

— Gamper jest tworem z mojego środowiska. Wydaje mi się, że przyciągnął go twój wzmożony, dzięki mnie, potencjał unikania niebezpieczeństw.

— Do diabła z gamperem i do diabła z tobą!

— Jeżeli się pojawi, staraj się przepędzić go używając jemioli. Żelazo jest również często skuteczne, jeżeli zetknie się z czymś miedzianym. Także...

Rzuciłem się na łóżko i schowałem głowę pod poduszkę. Derg zrozumiał. Po chwili mogłem wyczuć, że opuścił mnie.

Jakim idiotą byłem! My, mieszkańcy Ziemi, mamy jedną wadę: bierzemy to, co nam oferują, nie zważając na to, czy naprawdę tego potrzebujemy, czy też nie. W ten sposób można sobie przysporzyć masę kłopotów.

Tymczasem jednak derg odszedł i moje najgorsze zmartwienia się skończyły. Będę przez pewien czas ostrożny, pozwolę, by te sprawy same się jakoś ułożyły. Za parę tygodni, być może już...

Wydało mi się, że słyszę jakiś szum. Usiadłem na łóżku. W kącie pokoju było dziwnie ciemno, a jednocześnie poczułem na twarzy zimny podmuch. Szum stał się głośniejszy, nie szum właściwie, ale śmiech, cichy i monotony.

W takiej chwili nikt nie musiał mi wyjaśniać sytuacji.

— Derg! — krzyknąłem. — Wydostań mnie z tego.

Zjawił się.

— Jemioła. Machaj nią w kierunku gampera.

— Skąd, do cholery, wezmę jemiołę?

— Żelazo i miedź w takim razie!

Skoczyłem do biurka, złapałem miedziany przycisk do papierów i rozglądałem się rozpaczliwie za czymś żelaznym, by zetknąć to z miedzią. Przycisk wyrwano mi z rąk. Złapałem go, nim spadł na podłogę. Wtedy dojrzałem pióro wieczne i przytknąłem stalówkę do przycisku.

Ciemność rozproszyła się. Uczucie chłodu znikło. Zdaje się, że zemdlałem.

Godzinę później derg rzekł triumfalnie:

— Widzisz? Potrzebujesz mojej ochrony.

— Chyba tak — odparłem apatycznie.

— Będziesz potrzebował paru rzeczy — powiedział derg — tojad żółty, amarant, czosnek, ziemia cementarna.

— Ale przecież gamper zniknął?!

— Tak. Jednak grajlersy pozostały. Potrzebujesz też ochrony przed lipsami, figsami i melgerizerem.

Zrobiłem więc listę ziół, wyciągów i specyfików. Nie trudziłem się już, by spytać go o powiązanie rzeczy nadprzyrodzonych z botaniką. Moje dostosowanie się do sytuacji było już pełne i całkowite. Duchy i zjawy? Czy też istoty pozaziemskie? Jedno i to samo — powiedział — i zrozumiałem, co miał na myśli. Z zasady zostawiają one nas w spokoju. Jesteśmy na innych poziomach percepcji, a nawet istnienia. Do czasu, aż jakiś człowiek okaże się głupi na tyle, by zwrócić na siebie uwagę.

Teraz byłem dla nich zwierzyną, na którą się poluje. Niektóre z nich chciały mnie zniszczyć, inne ochronić, ale żaden nie dbał o mnie, nawet derg. Były zainteresowane wyłącznie moją wartością w tej grze, w tym polowaniu, jeżeli tak to można nazwać.

A sytuacja wynikała z mojej winy.

Przecież miałem do dyspozycji całą wiedzę rasy ludzkiej, tę straszliwą rasową nienawiść do czarownic i duchów, irracjonalny strach przed innym życiem. Bo przecież moja przygoda rozgrywała się już tysiące razy i historia wciąż się powtarza — o tym, jak człowiek zajmuje się dziwnymi sztukami i wywołuje demona. W ten sposób zwraca na siebie uwagę — a to najgorsza rzecz ze wszystkich.

Tak więc byłem nierozzerwalnie związany z dergiem, derg ze mną. To znaczy do wczoraj. Teraz bowiem jestem rowu zdany wyłącznie na siebie.

Przez parę tygodni panował spokój. Prosty sposób otwierania drzwi od szafy chronił mnie przed figsami. Fipsy były bardziej niebezpieczne, ale oko ropuchy powstrzymywało je, jak się wydaje, melgerizer zaś był groźny tylko podczas pełni księżyca.

— Jesteś w niebezpieczeństwie — powiedział wczoraj derg.

— Znowu? — spytałem ziewając.

— Trang nam zagraża.

— Nam?

— Tak, zarówno mnie, jak i tobie, bo nawet derg musi narażać się czasem na ryzyko i niebezpieczeństwo.

— Czy ten trąg jest bardzo groźny?

— Niezmiernie.

— Cóż, co mam więc zrobić? Skóra węża nad drzwiami? Pentagra?

— Nic z tych rzeczy — odpowiedział derg. — Trąga neutralizuje się na odwrót. Chodzi o unikanie pewnych czynności.

Musiałem już unikać tylu rzeczy, że jeszcze jedno ograniczenie nie wydawało się mieć znaczenia.

— Czego nie powinienem robić?

— Nie możesz lesnerować — odpowiedział derg.

— Lesnerować — skrzywiłem się. — Co to oznacza?

— Z pewnością wiesz. Jest to przecież zwykła, codzienna, ludzka czynność.

— Prawdopodobnie znam ją pod inną nazwą. Powiedz mi jaką.

— Dobra. Lesnerować to znaczy... — przerwał gwałtownie.

— Co?

— On jest tutaj. Trąg.

Cofnąłem się pod ścianę. Wydawało mi się, że wyczułem lekki powiew kurzu, ale mogły to być tylko napięte nerwy.

— Derg! — wrzasnąłem. — Gdzie jesteś? Co mam robić? Usłyszałem jęk i dźwięk przypominający zamykanie się szczęk.

Derg krzyknął nagle:

— Złapał mnie!

— Co mam robić? — wrzasnąłem znowu.

Nastąpił nieprzyjemny dźwięk rozgniatania. Potem ledwo słyszalny głos derga:

— Nie lesneruj!



I nastąpiła cisza.

Siedzę więc teraz twardo w mieszkaniu. W przyszłym tygodniu samolot rozbije się w Birmie, ale nie powinno mi to zaszkodzić w Nowym Jorku. A figsy w żaden sposób nie mogą zrobić mi krzywdy. Nie mogą, jeżeli drzwi od szafy będą zamknięte.

Jedyny prawdziwy problem stanowi lesnerowanie. Nie mogę lesnerować. W żadnym razie. Jeśli powstrzymam się od lesnerowania, wszystko skończy się i nagonka ruszy w innym kierunku. Musi! Wszystko, co trzeba zrobić, to tylko ich przetrzymać.

Kłopot w tym, że nie mam zielonego pojęcia, co oznaczać może lesnerowanie. Derg nazwał je „zwykłą, codzienną, ludzką czynnością”. A więc przez jakiś czas będę się starał nie wykonywać tak wielu czynności, jak to możliwe.

Odespałem trochę poprzednie zaległości i nic się nie wydarzyło, tak więc nie jest to lesnerowanie. Wszedłem z domu, kupiłem coś do jedzenia, zapłaciłem, przygotowałem sobie posiłek i zjadłem go. To też nie było lesnerowanie.

Napisałem tę relację. Także to nie było lesnerowaniem.

Jeszcze wyjdę z tego!

W tej chwili zamierzam uciąć sobie drzemkę. Chyba się przeziębilem. Teraz muszę kich...

*przekład: Jacek Kwieciński*

*Paradise II*

# Raj II

Stacja kosmiczna krążyła wokół swojej planety i czekała. Prawdę mówiąc, była to stacja pozbawiona inteligencji, gdyż ta nie była jej niezbędna. Miała jednak świadomość, pewne odruchy, skłonności i reakcje.

Potrafiła sobie radzić. Jej zadania wpisane zostały w strukturę mechanizmów, zapamiętane w obwodach i sieciach rurociągów. Być może w maszynerii pozostało nieco emocji towarzyszących jej budowie — szalonych nadziei, obaw, gwałtownego wyścigu z czasem.

Ale nadzieje szczyły, wyścig został przegrany i w przestrzeni pozostała wielka machina, nie dokończona i bezużyteczna. Miała jednak świadomość, pewne odruchy, skłonności i reakcje. Potrafiła sobie radzić. Wiedziała, co jest jej potrzebne. Krążyła więc w przestrzeni, czekając na brakujące komponenty.

W rejonie Bootes dotarli do małego ciemnoczerwonego słońca i kiedy statek się obrócił, Fleming spostrzegł, że jedna z planet ma rzadko spotykaną błękitnozieloną barwę Ziemi.

— Spójrz na nią! — krzyknął, odwracając się od tablicy przyrządów, a jego głos aż rwał się z podniecenia. Ziemiopodobna! Howard, ona jest ziemiopodobna! Zbijemy na niej majątek!

Howard wolno wyszedł z kuchni, gryząc owoc avocado. Był mały, łysy i z godnością nosił wydatny brzusek rozmiarów sporego arbuza. Nie ukrywał irytacji, gdyż oderwano go od obiadu. Howard uwielbiał gotowanie i gdyby nie został biznesmenem, byłby z pewnością kuchmistrem. W czasie wyprawy jadal doskonałe, gdyż Howard świetnie sobie radził z pieczonymi kurczakami, serwował pieczeń w sosie własnego pomysłu, szczególną biegłość zaś wykazywał w przygotowaniu sałatki a la Howard.

— Być może i jest ziemiopodobna — rzekł, obojętnie spoglądając na błękitnozieloną planetę.

— Oczywiście, że jest — odparł Fleming.

Fleming był młody i zbyt, jak na człowieka zajmującego się podrózkami kosmicznymi, przepełniony entuzjazmem. Pomimo wysiłków Howarda był wychudzony, a jego marchewkowe włosy w nieładzie opadały na czoło. Howard tolerował go nie tylko dlatego, że Fleming świetnie sobie radził ze statkami kosmicznymi i ich napędami, ale przede wszystkim dlatego, że Fleming miał głowę do interesów. Głowa do interesów zaś stanowiła najważniejszą rzecz w przestrzeni kosmicznej, gdyż tutaj już zwykle zbudowanie statku kosztowało małą fortunę.

— Żeby tylko nie była zamieszкана. — Fleming wypowiadał słowa swej entuzjastyczno—handlowej modlitwy. — Żeby cała należała do nas. Do nas, Howard! Ziemiopodobna planeta! Boże,

za samą powierzchnię możemy dostać majątek, nie mówiąc już o prawach eksploatacji minerałów, prawach budowy stacji paliwowych i tylu innych rzeczach.

Howard przełknął ostatni kawałek avocado. Ten młody Fleming wiele się jeszcze musi nauczyć. Odkrywanie planet i handel nimi było biznesem, takim samym jak uprawa i handel pomarańczami. Z małą różnicą, oczywiście: pomarańcze nie są niebezpieczne, a planety bywają. A jednak pomarańcze nie przynoszą takich dochodów, jakie można uzyskać z planet.

— Wylądujemy zaraz? — spytał Howard. — Tylko ta stacja kosmiczna przed nami nasuwa mi wniosek, że mieszkańcy mogą uważać, iż to ich planeta.

Fleming spojrział. Rzeczywiście, stacja kosmiczna, poprzednio przysłonięta przez planetę, kołysała się przed ich oczami.

— Do licha — powiedział Fleming, a jego wąska, piegowata twarz wykrzywiła się w grymasie. — Jest więc zamieszkana. Czy sądzisz, że moglibyśmy...

Nie dokończył zdania, ale rzucił okiem na celownik wyrzutni.

— Hm... — Howard spojrział na stację, szacując jej poziom techniczny, a potem popatrzył na planetę. Z żalem potrząsnął głową. — Nie, nie tym razem.

— No, dobrze — odparł Fleming. — Mamy przynajmniej pierwszeństwo w koncesjach handlowych. — Wyjrzał ponownie przez luk i złapał Howarda za ramię: — Spójrz... na stację!

W poprzek starej metalicznej powierzchni kuli mrugały jasne światła.

— Co to może znaczyć? — spytał Fleming.

— Nie mam pojęcia — odpowiedział mu Howard i z kosmosu nigdy się tego nie dowiemy. Dobrze byłoby wylądować na planecie, jeśli nikt nas nie spróbuje powstrzymać.

Fleming przytaknął i przełączył napęd na sterowanie ręczne. Przez kilka chwil Howard go obserwował.

Tablica przyrządów roiała się od zegarów, przełączników i wskaźników; metalowych, plastikowych i kwarcowych.

Fleming zbudowany był z krwi i kości. Wydawało się więc niemożliwe, by istniał jakiś bliższy związek między tymi różnymi substancjami. A jednak Fleming zdawał się wcielać w tablicę przyrządów. Jego oczy przebiegały tarcze zegarów z precyzją automatu, jego palce stawały się przedłużeniem przełączników. Metal miękł w jego dłoniach i poddawał się jego woli. Kwarcowe wskaźniki błyskały czerwienią i oczy Fleminga również płonęły czerwono, przy czym nie było to wyłącznie odbicie światła wskaźników.

W końcu weszli na orbitę hamowania. Howard usadowił się wygodnie w kuchni. Obliczył zużycie paliwa, żywności i amortyzację statku. Do otrzymanej sumy dodał na wszelki wypadek jedną trzecią i

zanotował w księgach. Może później przydać się przy płaceniu podatku dochodowego.

Wylądowali na peryferiach miasta i czekali na miejscowych celników. Nikt nie przybył. Wykonali standardowe pomiary składu atmosfery i testy mikrobiologiczne i nadal czekali. Wciąż nikt nie nadchodził. Kiedy minęło pół dnia, Fleming odblokował luk i ruszyli w stronę miasta.

Pierwsze szkielety, rozrzucone wzdłuż zrytej bombami, betonowej drogi, wprawiły ich w osłupienie — wyglądało to tak niechlujnie. Jakiż cywilizowany naród zostawia szkielety na drogach? Dlaczego nikt tego nie uprzątnął?

Miasto było wyłącznie zamieszkane przez szkielety; tysiące i miliony stłoczone w rozsypujących się teatrach, leżące w drzwiach zaśmieconych sklepów, porzucane wzdłuż poszarpanych pociskami ulic.

— Musiała tu być wojna — inteligentnie stwierdził Fleming.

W centrum miasta znaleźli plac defilad, na którym szereg za szeregiem leżały na trawie umundurowane szkielety. Trybuna wypełniona była szkieletami oficjeli, szkieletami generałów, szkieletami ich żon i rodziców. Za trybuną zebrały się szkielety dzieci chcących obejrzeć defiladę.

— Zgadza się, wojna — rzekł stanowczo Fleming i pokiwał głową. — Oni przegrali.

— To jasne — stwierdził Howard. — Ale kto wygrał?

— Co?

— Gdzie są zwycięzcy?

W tym momencie stacja przeleciała nad nimi i cień przemknął po milczących szeregach szkieletów. Obaj mężczyźni niepewnie popatrzyli w górę.

— Myślisz, że wszyscy nie żyją? — spytał Fleming z nadzieją w głosie.

— Myślę, że powinniśmy to sprawdzić.

Zawrócili do statku. Fleming zaczął pogwizdywać dla dodania sobie otuchy i kopnął kupkę pokrytych plamami kości, które stanęły mu na drodze.

— Trafiliśmy na żyłę złota — rzekł, szczerząc się do Howarda.

— Jeszcze nie — odparł Howard ostrożnie. — Ktoś mógł przetrwać... — dostrzegł spojrzenie Fleminga i roześmiał się mimo woli. — To jednak wygląda na udaną wyprawę.

Zwiedzali planetę bardzo krótko. Ten błękitnozielony świat był jednym wielkim cmentarzyskiem poranym bombami. Na każdym kontynencie miasteczka zamieszkane były przez tysiące szkieletów, a wielkie metropolie — przez miliony. Na równinach i w górach leżały szkielety, szkielety były w jeziorach, w lasach, w dżunglach.

— Ależ tłumy — rzekł w końcu Fleming, gdy krążyli nad powierzchnią planety. — Ile, według ciebie, było tu mieszkańców?

— Ocenilibym to na jakieś dziewięć miliardów — odrzekł Howard.

— Co tu się mogło zdarzyć? — Howard uśmiechnął się z wyższością.

— Są trzy klasyczne metody zagłady. Pierwsza to zniszczenie atmosfery trującym gazem. Podobnie działają substancje radioaktywne, ale one niszczą również życie roślinne. Wreszcie istnieją zarazki sztucznie wyhodowane właśnie w celu atakowania całych populacji. Jeśli wymkną się spod kontroli, mogą zetrzeć wszystkich z powierzchni planety.

— Myślisz, że to właśnie zdarzyło się tutaj? — spytał Fleming z zainteresowaniem.

— Tak uważam — powiedział Howard wycierając jabłko o rękaw i gryząc je. — Nie jestem patologiem, ale te plamy na kościach...

— Zarazki — rzekł Fleming. Zakaszłał mimo woli. — Nie sądzisz, że...

— Już byś nie żył, gdyby nadal były aktywne. To wszystko musiało się wydarzyć kilkaset lat temu, sądząc po tych zwietrzałych szkieletach. Zarazki wymarły z braku ludzkich nosicieli.

Fleming pokiwał głową.

— Wszystko jak na zamówienie. No, przykro mi z powodu tych ludzi. Wojna i te wszystkie nieszczęścia. Ale planeta jest naprawdę nasza!

Spojrzał przez iluminator na leżące w dole urodzajne, zielone pola.

— Jak ją nazwiemy, Howard?

Howard popatrzył na pola, na dziczące pastwiska przylegające do betonowych dróg.

— Moglibyśmy nazwać Raj II — rzekł. — To miejsce powinno stać się prawdziwym rajem dla rolników.

— Raj II! Bardzo ładnie — powiedział Fleming. Chyba będziemy musieli wynająć ekipę, żeby usunęła te szkielety. Wyglądają zbyt niesamowicie.

Howard przytaknął. Było mnóstwo szczegółów, którymi musieli się zająć.

— Zrobimy to, kiedy już...

Stacja kosmiczna przeleciała nad nimi.

— Światła! — krzyknął nagle Howard.

— Światła? — Fleming spojrział na oddalającą się kulę. — Były, kiedy przylecieliśmy. Pamiętasz? Tamte błyskające światła?

— Słusznie — rzekł Fleming. — Myślisz, że ktoś w niej siedzi?

— Zaraz to sprawdzimy — ponuro odparł Howard.

Zjadł resztę jabłka, a tymczasem Fleming skierował statek w stronę stacji.

Gdy do niej dotarli, zobaczyli inny statek kosmiczny przyczepiony do gładkiej, metalowej powierzchni stacji niczym pająk dla dzieci. Statek był mały, ledwie jedna trzecia ich pojazdu, i miał uchylony jeden luk.

Obaj mężczyźni, w skafandrach i hełmach, zatrzymali się obok luku. Fleming otworzył go. Ostrożnie oświetlili wnętrze latarkami, zajrzeli i gwałtownie odskoczyli.

Potem Howard poruszył się niecierpliwie i Fleming zaczął wchodzić.

Wewnątrz było ciało ludzkie, na wpół wychylone z fotela pilota i na zawsze zamrożone w tej niestabilnej pozycji. Na twarzy zachowały się ślady przedśmiernej agonii, a skóra miejscami była aż do kości przeżarta przez jakąś chorobę.

Tylna część statku wypełniona była dziesiątkami drewnianych skrzynek. Fleming otworzył jedną i skierował strumień światła do środka.

— Żywność — stwierdził Howard.

— Pewnie próbował ukryć się w stacji — rzekł Fleming.

— Na to wygląda. Ale nie dotarł tam nigdy.

Szybko opuścili statek z uczuciem lekkiego obrzydzenia.

Szkielety były do przyjęcia. Stanowiły jakoś samą w sobie. Te zwłoki zaś zbyt wymownie przypominały o śmierci.

— Więc kto włączył światła? — spytał Fleming na powierzchni stacji.

— Może są tam automatyczne przekaźniki — niepewnie powiedział Howard. — Tu nikt nie mógł przeżyć.

Przeszli się po powierzchni stacji i znaleźli wejście.

— Wejdziemy? — spytał Fleming.

— Po co zawracać sobie głowę? — szybko odparł Howard. — Mieszkańcy wyginęli. Możemy wracać i ogłosić nasze prawa do planety.

— Jeśli choć jedna osoba tu przetrwała — przypomniał mu Fleming — zgodnie z prawem planeta należy do niej. — Howard niechętnie się zgodził. Byłoby fatalnie, gdyby odbyli długą, kosztowną podróż na Ziemię, wrócili z ekipą badawczą i zastali kogoś gospodarującego sobie w stacji kosmicznej. Co innego, jeśli mieszkańcy przetrwaliby gdzieś w ukryciu na powierzchni planety. Ale człowiek w stacji, której nie chciało się im zbadać...

— Myślę, że musimy... — powiedział Howard i otworzył luk.

Wewnątrz panowały zupełne ciemności. Howard skierował światło swej latarki na Fleminga. W jej żółtym blasku twarz Fleminga straciła wszelki wyraz, była jak maska wyrzeźbiona przez jakieś prymitywne plemię. Howard zamrugał, lekko przerażony tym widokiem, gdyż na chwilę twarz Fleminga pozbawiona była cech ludzkich.

— Powietrze nadaje się do oddychania — rzekł Fleming i natychmiast odzyskał swą osobowość.

Howard odrzucił do tyłu hełm i skierował światło w inną stronę. Wydało mu się, że pionowe ściany stacji chcą go zmiażdżyć. Sięgnął do kieszeni, znalazł rzodkiewkę i dla podniesienia morale włożył ją sobie do ust.

Ruszyli naprzód.

Przez pół godziny szli wąskim, krętym korytarzem, a światła ich latarek rozpraszały ciemność przed nimi. Metalowa podłoga, która wydawała się tak solidna, zaczęła skrzypieć i jęczeć od jakichś ukrytych naprężeń, doprowadzając Howarda do kresu wytrzymałości nerwowej. Na Flemingu nie robiło to jednak wrażenia.

— To musiała być stacja do bombardowania planety — zauważył po chwili.

— Też tak myślę.

— Po prostu tony metalu — rzekł spokojnie Fleming, opukując jedną ze ścian. — Myślę, że sprzedamy ją całą na złom, chyba że zdołamy zdemontować część urządzeń.

— Cena złomu... — zaczął Howard. W tej samej jednak chwili segment podłogi otworzył się wprost pod stopami Fleminga. Fleming zniknął z pola widzenia tak szybko, że nie zdołał nawet krzyknąć, a segment podłogi zatrzasnął się z powrotem.

Howard zatoczył się, jakby otrzymał mocne uderzenie. Światło latarki na chwilę rozbłysło szaleńczo, po czym przygasło ponownie.

Howard stał w milczeniu, z podniesionymi rękami, a jego umysł stracił poczucie czasu. Szok powoli mijał, pozostawiając Howardowi ciężki, uporczywy ból głowy.

— ...nie jest teraz najwyższa — bezmyślnie dokończył zdanie, jakby mając nadzieję, że nic się nie stało.

Podszedł do segmentu podłogi i zawołał:

— Fleming!

Nie było żadnej odpowiedzi. Wstrząsnął nim dreszcz. Pochylił się nad szczelnie zamkniętą podłogą i na całe gardło wrzasnął:

— Fleming!

Wyprostował się, w głowie mu łomotało. Głęboko zaczerpnął powietrza, odwrócił się i pokłusował w stronę wyjścia. Nie chciał o niczym myśleć.

Wejście jednak było zamknięte, a jego zespawane krawędzie jeszcze parzyły. Howard sprawdzał drzwi na wszelkie sposoby. Popychał je, ostukiwał, kopał. W końcu przypomniał sobie o napierającej na niego ciemności. Zakręcił się w kółko, pot ściekał mu po twarzy.

— Kto tu jest?! — krzyknął w stronę korytarza. — Fleming! Słyszysz mnie?!

Nie było żadnej odpowiedzi. Krzyknął znowu:

— Kto to zrobił?! Dlaczego zapaliłeś światło stacji? Co zrobiłeś z Flemingiem?

Nasłuchiwał przez chwilę i znowu zaczął krzyczeć, I szlochając co chwilę:

— Otwórz wejście! Odejdę i nikomu nic nie powiem! — Czekał, oświetlając latarką korytarz i zastanawiając się, co czai się w ciemnościach. W końcu wrzasnął:

— Pode mną też otwórz pułapkę!

Oparł się o ścianę, ciężko dysząc. Żadna pułapka nie otworzyła się. Pomyślał, że może nigdy się nie otworzy. Myśl ta na chwilę dodała mu odwagi. Twardo powiedział sobie, że na pewno istnieje jakieś inne wejście. Znowu ruszył korytarzem.

Godzinę później nadal maszerował. Przed nim światło latarki rozpraszało ciemność, ale z tyłu ciemność wpełzała mu na kark. Znowu zaczął logicznie myśleć.

Światła mogły być zapalone przez automatyczne bezpieczniki. Pułapka zadziałała także automatycznie. Zamykające się zaś wejście mogło być środkiem ostrożności na wypadek wojny, żeby żaden wróg nie wdarł się do stacji. Wiedział, że jego rozumowanie nie bardzo trzyma się kupy, ale nic lepszego nie potrafił wymyślić. Cała ta sytuacja była bardzo niejasna. Zwłoki w statku kosmicznym, stacja, martwa planeta — wszystko to musiało mieć ze sobą związek. Żeby tylko odkryć jaki.

— Howard — rozległ się głos.

Howard podskoczył konwulsyjnie, jakby dotknął przewodu pod napięciem. Natychmiast powrócił ból głowy.

— To ja — rzekł głos — Fleming.



Howard rozpaczliwie szperał latarką we wszystkich kierunkach.

— Gdzie? Gdzie jesteś?

— Około dwustu stóp w dole, o ile dobrze to oceniam — powiedział Fleming, a jego głos chrapliwie płynął wzdłuż korytarza. — Retransmisja głosu nie jest najlepsza, ale nic więcej nie mogę zrobić.

Howard usiadł, gdyż nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Czuł się jednak lepiej. To, że Fleming był dwieście stóp niżej, brzmiało rozsądnie, zrozumiała też wydała mu się jakoś retransmisji.

— Możesz się wydostać? Jak mogę ci pomóc?

— Nie możesz — odparł Fleming, a po chwili pojawiły się trzaski, które w uszach Howarda zabrzmiały jak chichot. — Zdaje się, że niewiele pozostało z mojego ciała.

— Ale gdzie jest twoje ciało? — spytał poważnie Howard.

— Zmiażdżone przy upadku. Zostało ze mnie tylko to, co udało się podłączyć do obwodów.

— Rozumiem — rzekł Howard, czując dziwną lekkość w głosie. — Jesteś po prostu mózgiem, czystym intelektem.

— O, moim zdaniem czymś więcej — powiedział Fleming. — Jestem dokładnie tym, czego potrzebuje maszyna. — Howard zaczął chichotać nerwowo, gdyż wyobraził sobie szary mózg Fleminga pływający w naczyniu pełnym krystalicznej wody. Opanował się jednak i spytał:

— Maszyna? Jaka maszyna?

— Stada kosmiczna. Wydaje mi się, że jest to najbardziej skomplikowany mechanizm, jaki kiedykolwiek zbudowano. To ona błyskała światłami i otworzyła drzwi.

— Ale po co?

— Mam nadzieję to odkryć — rzekł Fleming. — Jestem teraz jej częścią. Albo ona jest częścią mnie. Tak czy inaczej ona mnie potrzebuje, gdyż nie ma prawdziwej inteligencji. Korzysta więc z mojej.

— Twojej? Przecież maszyna nie wiedziała, że przybędziesz!

— Nie chodziło konkretnie o mnie. Prawdziwym operatorem był pewnie ten człowiek w statku. Ale ja też mogę. Dokończymy plan konstruktorów.

Howard z trudem się uspokoił. Nie mógł już o niczym myśleć. Chciał tylko uciec z tej stacji i wrócić na swój statek. Potrzebował jednak pomocy Fleminga, ale tego nowego, nieznanego Fleminga. Rozmawiał on wprawdzie dość normalnie, ale czy nadal był człowiekiem?

— Fleming — spróbował Howard.

— Tak, stary?

Brzmiało to zachęcająco.

— Czy możesz mnie stąd wydostać?

— Myślę, że tak — rzekł głos Fleminga. — Spróbuję.

— Wrócę z neurochirurgami — zapewnił go Howard. Wszystko będzie z tobą w porządku.

— Nie martw się o mnie — powiedział Fleming. — Już teraz wszystko jest w porządku.

Howard stracił rachubę godzin, w czasie których wędrował. Wąskie korytarze następowały jeden po drugim i rozgałęziały się na kilka następnych. Zmęczenie narastało, a nogi zaczęły mu sztywnieć. Podczas marszu jadł. W plecaku miał kanapki i teraz żuł je mechanicznie, dla pokrzepienia.

— Fleming! — zawołał w końcu, zatrzymując się na odpoczynek.

Po długiej chwili usłyszał ledwie zrozumiały głos, brzmiący jak zgrzyt metalu o metal.

— Jak długo jeszcze?

— Niedługo — odparł zgrzytliwy, metaliczny głos. — Zmęczony?

— Tak.

— Zrobię, co będę mógł.

Głos Fleminga był przerażający, ale cisza była jeszcze bardziej przerażająca. Howard posłyszał dochodzący z głębi stacji odgłos silnika rozpoczynającego pracę.

— Fleming?

— Tak?

— Co to takiego? Czy to stacja bombardująca?

— Nie. Wciąż jeszcze nie znam przeznaczenia tej maszyny. Nie całkiem się z nią zintegrowałem.

— Ale ona ma jakieś przeznaczenie?

— Tak! — Metaliczny głos zgrzytnął tak głośno, że Howard drgnął. — Dysponuję wspaniałą aparaturą wykonawczą. Na przykład w zakresie sterowania temperaturą mogę w ciągu mikrosekundy zmienić wartość o setki stopni, nie mówiąc już o reaktorach chemicznych, o źródłach zasilania i o całej reszcie. I oczywiście o moim zadaniu.

Howardowi nie spodobała się ta odpowiedź. Odsiło się wrażenie, że Fleming identyfikował się z maszyną, jednoczył swą osobowość z osobowością stacji kosmicznej. Howard zmusił się do następnego pytania:

— Dlaczego nie wiesz, do czego ona służy?

— Brakuje newralgicznego komponentu — rzekł Fleming po chwili milczenia. — Niezbędnej matrycy. A poza tym nie mam jeszcze pełnej kontroli nad nią.

Więcej silników zaczęło tętnić życiem, a ściany drżały i brzęczały. Howard poczuł, że podłoga trzęsie się pod nim. Stacja zdawała się budzić, nabierać siły, gromadzić wiedzę. Miał wrażenie, że jest w brzuchu jakiegoś gigantycznego potwora morskiego.

Wędrował kilka następnych godzin i zostawiał za sobą ślad znaczony ogryzkami, skórkami pomarańczy, tłustymi kawałkami mięsa, pustymi puszkami, kawałkami papieru śniadaniowego. Jadł teraz bez przerwy, czuł się zmuszony do jedzenia. Kiedy jadł, był bezpieczny, gdyż jedzenie jednoczyło go ze statkiem, z Ziemią.

Jeden segment ściany odsunął się nagle. Howard cofnął się.

— Wejdz — głos, który uznał za głos Fleminga, zaprosił go.

— Po co? Co to jest? — skierował latarkę w stronę otworu i zobaczył wstęgę ruchomego chodnika znikającą w ciemności.

— Jesteś zmęczony — rzekł głos. — Tędy jest szybciej.

Howard chciał uciec, ale nie miał dokąd. Musiał wierzyć Flemingowi albo stawić czoło ciemności otaczającej ze wszystkich stron światło jego latarki.

— Wejdz.

Howard posłusznie wspiął się i usiadł na ruchomym chodniku. Przed sobą widział tylko ciemność. Położył się na plecach.

— Czy już wiesz, do czego służy ta stacja? — rzucił pytanie w ciemność.

— Już wkrótce — odpowiedział głos. — Nie zawiedziemy ich.

Howard nie śmiał pytać, kogóż to Fleming nie zawiedzie. Zamknął oczy i pozwolił ciemności otoczyć się ze wszystkich stron.

Jazda trwała dłuższy czas. Howard trzymał latarkę pod pachą i jej pionowo skierowana smuga światła odbijała się od błyszczącego, metalowego stropu. Machinalnie gryzł kawałek biszkoptu, prawie nie zdając sobie sprawy, że ma coś w ustach.

Dokoła niego maszyna jakby zaczęła rozmawiać w jakimś niezrozumiałym języku. Słyszał zgrzyt

trących o siebie części protestujących przeciw takim kontaktom. Potem następował zastrzyk oleju i pogodne części poruszały się cicho, miarowo. Silniki piszczały i nie chciały ruszać. Wahały się, kaszlały, a w końcu zaczynały pracować z radosnym pomrukiem. Stopniowo wśród innych dźwięków pojawiły się trzaski w obwodach elektrycznych, które modyfikowały się, adaptowały, testowały.

Co to znaczyło? Howard leżący na plecach, z zamkniętymi oczami nie wiedział tego. Jedynym realnym doznaniem było przeżuwanie biszkopta, a kiedy go zabrakło, pozostały tylko majaki.

Widział szkielety maszerujące po planecie, miliardy idące w równych szeregach przez opustoszałe miasta, przez żyzne, czarne pola i wychodzące w przestrzeń. Przedefilowały przed martwym pilotem w małym stateczku, a jego zwłoki patrzyły na nie z zazdrością. Pozwólcie mi iść z wami, prosił pilot, ale szkielety bezlitośnie potrząsały głowami, gdyż pilot wciąż miał ciało. Kiedy odpadnie ciało, będę wolny od tego ciężaru? — pytały zwłoki, ale szkielety tylko potrząsały głowami. Kiedy? Gdy maszyna będzie już gotowa, kiedy zrozumie swoje zadanie. Wtedy miliardy szkieletów będą odkupione, a szkielet pilota uwolniony z ciała. Zwłoki błagały przegniłymi wargami, by je zabrać już teraz. Ale szkielety dostrzegały tylko ciało, a ciało nie może opuścić żywności zgromadzonej w statku. Ze smutkiem maszerowały dalej, a pilot czekał.

— Tak!

Howard obudził się natychmiast i rozejrzał dokoła. Żadnych szkieletów, żadnych zwłok. Tylko ściany maszyny, tuż obok niego. Poszperał w kieszeniach, ale jedzenie się skończyło. Wygrzebał kilka okruchów i położył je na języku.

— Tak!

Usłyszał więc głos!

— O co chodzi? — spytał.

— Poznałem — rzekł głos triumfalnie.

— Poznałeś? Co poznałeś?

— Moje zadanie!

Howard skoczył na równe nogi, świecąc dokoła latarką. Metaliczny pogłos przetoczył się wokół i napełnił go nieokreślonym lękiem. Nagle wydało mu się straszne, że maszyna poznała swoje zadanie.

— Jakie więc jest twoje zadanie? — spytał bardzo cichym głosem.

W odpowiedzi rozbłysło jasne światło, tłamsząc słaby promień jego latarki. Howard zmrużył oczy i cofnął się, prawie się przewracając.

Taśma była nieruchoma. Howard otworzył oczy i ujrzał wielką, olśniewająco jasną salę. Rozglądając się dokoła zobaczył, że jest ona wyłożona lustrami.

Setka Howardów patrzyła na niego, a on na nich. Obrócił się dokoła. W sali nie było żadnego wyjścia. Ale odbici w lustrach Howardowie nie obrócili się razem z nim. Stali w milczeniu.

Howard podniósł prawą rękę. Howardowie trzymali ręce przy ciele. To nie były lustra.

Setka Howardów zaczęła iść naprzód, w stronę środka sali. Chwiali się na nogach, a w ich tępych oczach nie było żadnego przebłysku inteligencji. Oryginalny Howard fuknął i rzucił w nich latarkę. Z brzękim spadła na podłogę.

Momentalnie zrozumiał wszystko. To właśnie było zadanie maszyny. Jej konstruktorzy przewidzieli zagładę swego gatunku. Zbudowali więc w przestrzeni maszynę. Jej zadanie to stworzenie ludzi i zaludnienie planety. Potrzebowała operatora, a prawdziwy operator nigdy do niej nie dotarł. I potrzebowała matrycy...

Ale tym prototypowym Howardom najwyraźniej brakowało inteligencji. Dreptali wokół sali, poruszali się jak automaty, z trudem panowali nad własnymi członkami.

Oryginalny Howard zaś prawie w tej samej chwili stwierdził, że się straszliwie pomylił.

Strop się otworzył. Obniżyły się olbrzymie haki, a połyskujące noże energicznie zjeżdżały na dół. Otworzyły się ściany i ukazały gigantyczne koła i przekładnie, buchające piece, a także białe ściany zamrażarek. Wciąż nowi i nowi Howardowie wchodzili do sali, a wielkie noże i haki wbijały się w nich, wlokąc braci Howarda w stronę otwartych ścian.

Żaden z nich, poza oryginalnym Howardem, nie krzyczał.

— Fleming! — darł się. — Nie mnie! Nie mnie! Fleming! — Teraz wszystko się wyjaśniło: stacja zbudowana została w czasie wojny dziesiątkującej planetę; operator, który dotarł do stacji tylko po to, by umrzeć, nim zdołał wejść, i ten ładunek żywności... której on, operator, nigdy nie miał jeść.

Oczywiście! Planetę zamieszkiwało dziewięć czy dziesięć miliardów. Głód popchnął ich do tej ostatecznej wojny. Przez cały ten czas budowniczy maszyny walczyli z czasem i chorobami, próbując uratować swój gatunek...

Ale czy Fleming nie wiedział, że on — Howard — jest złą matrycą?

Fleming jednak był maszyną, a Howard spełniał wszystkie warunki. Ostatnią rzeczą, którą Howard zobaczył, była sterylnie czysta powierzchnia zbliżającego się noża.

A Fleming—maszyna przetwarzał rozdrobionych Howardów, ciął ich i siekał, zamrażał i schludnie pakował, tworząc stopy pieczonego Howarda, smażonego Howarda, Howarda w śmietanie, Howarda w sosie cebulowym, Howarda duszonego w krótkim sosie, Howarda z fasolą, Howarda z ryżem, a zwłaszcza sałatki z Howarda.

Proces powielania żywności się powiódł! Wojna mogła się zakończyć, gdyż dla każdego było teraz dość jedzenia. Żywność! Żywność! Żywność dla głodujących miliardów Raju II.

*przekład: Andrzej Śluzek*

*The Odor of Thought*

# Zapach myśli

Prawdziwy kłopot Leroya Cleevy'ego rozpoczął się wtedy, gdy przelatywał Pocztovcem nr 243 przez nie skolonizowany Rój Seergona. Dotąd trapiły go codzienne problemy gwiazdnego listonosza: stary statek, porysowane dysze, wadliwie działający nawigator. Teraz, gdy odczytał wskazanie kursu, zauważył, że w jego kabinie zrobiło się nieprzyjemnie gorąco.

Westchnął ciężko, włączył klimatyzację i połączył się z naczelnikiem w Bazie. Znajdował się na granicy kontaktu radiowego, głos naczelnika zanikał w morzu zakłóceń.

— Jakiś kłopot, Cleevy? — zapytał złowieszczym głosem człowiek, który rozpisuje harmonogramy i sam w nie wierzy.

— Nie wiem — pogodnie odparł Cleevy — wszystko jest w porządku; poza dyszami, automatycznym nawigatorem i instalacją elektryczną, nawalają tylko izolacje i chłodzenie.

— To już, cholera, skandal — powiedział naczelnik, po czym dodał z nagłym współczuciem: — Wiem, co czujesz. Cleevy włączył chłodzenie na pełną moc, startł pot z czoła i stwierdził, iż naczelnikowi w y d a j e się tylko, że wie, co on czuje.

— Czyż nie proszę się bezustannie Rządu o przydział nowych statków? — naczelnik zaśmiał się ponuro. — Im się chyba wydaje, że pocztę można przewozić byle starym pudłem.

W tym czasie Cleevy'ego przestały interesować wynurzenia naczelnika. Pomimo że chłodzenie przełączone było na pełną moc, statek grzał się dalej.

— Przerwę na chwilę — powiedział. Poszedł na rufę, skąd zdawało się emanować ciepło. Tam stwierdził, że trzy zbiorniki zamiast paliwa zawierały rozpaloną do białości bulgocącą szlakę.

W czwartym gwałtownie zachodziła podobna przemiana. Cleevy przyglądał się temu przez chwilę, odwrócił się i pędem pobiegł do radiostacji.

— Nie mam paliwa — rzekł — zaszła chyba reakcja katalityczna. Mówiłem ci, że potrzebne są nowe zbiorniki. Siadam na pierwszej planecie z tlenem, jaką spotkam.

Włączył ręczne sterowanie awaryjne i spojrzał na Rój Seergona.

W tym skupisku nie było kolonii, lecz skartografowano planety tlenowe z myślą o ich przyszłym wykorzystaniu. Co było na nich poza tlenem — nikt nie wiedział. Cleevy miał nadzieję to wyjaśnić, jeśli tylko jego statek wystarczająco długo będzie się trzymał kupy.

— Spróbuję na 3-M-22! — zawołał, przekrzykując narastające zakłócenia.

— Uważaj na pocztę! — zawył w odpowiedzi naczelnik. — Natychmiast wysyłam statek!

Cleevy odkrzyknął mu, co myśli zrobić z tymi dwudziestoma funtami poczty, lecz naczelnik wcześniej się wyłączył. Cleevy wykonał świetne lądowanie na 3–M–22, nadzwyczaj świetne, zważywszy fakt, iż przyrządy były zbyt gorące, by je dotknąć, dysze powyginane od żaru, a worek z pocztą, przytroczony do grzbietu, krępował jego ruchy. Pocztowiec nr 243 nadleciał jak łabędź. Dwadzieścia stóp nad powierzchnią nie wytrzymał i runął w dół jak kamień.

Cleevy odzyskał przytomność, lecz nie był pewien, czy po tym upadku choć jedna jego kostka pozostała cała.

Rozzarzone do czerwoności burty statku matowiały. Potykając się dotarł do luku awaryjnego, worek z pocztą ciasno przylegał do pleców.

Z zamkniętymi oczyma, zataczając się, odszedł ze sto jardów. Wtem statek eksplodował, podmuch rzucił Cleevy'ego płasko, twarzą do ziemi. Powstał, wykonał dwa następne kroki, po czym padł zemdlny.

Gdy odzyskał świadomość, leżał na zboczu małego pagórka, twarzą w wysokiej trawie. Znajdował się w stanie cudownego oszołomienia. Czuł się oderwany od własnego ciała, był jakby nieskażonym umysłem falującym w powietrzu. Wszystkie zmartwienia, odczucia, obawy pozostały z ciałem — był wolny.

Rozejrzał się wokół i zauważył przebiegające obok małe zwierzątko. Było wielkości wiewiórki, lecz futro miało matowozielone.

Gdy się zbliżyło, stwierdził, że nie ma oczu ani uszu. Wcale go to nie zdziwiło. Wręcz przeciwnie, wydało mu się zjawiskiem zupełnie normalnym. Czemuż, u diabła, musi mieć koniecznie oczy i uszy? Lepiej, że nie widzą męki i bólu świata, nie słyszą pełnego skargi krzyku.

Zbliżyło się inne zwierzę — to przypominało wielkością i kształtem szarego wilka, lecz również miało zieloną maść. Równoległa ewolucja? W gruncie rzeczy nie miało to znaczenia, zdecydował. Ten osobnik także był pozbawiony oczu i uszu, posiadał natomiast rząd wspaniałych kłów. Cleevy przyglądał się im z nikłym zainteresowaniem. Cóż obchodzą nieskażony umysł jakieś wilki i wiewiórki, bez oczu lub jeszcze czegoś innego? Zauważył, że wiewiórka, znalazłszy się niecałe pięć stóp od wilka, nagle zamarła. Ten wolno się zbliżał. Wtem, niecałe trzy stopy od niej, jakby stracił trop. Potrząsnął głową i zrobił małe kółko. Gdy znów ruszył, posuwał się w złym kierunku.

Gonił ślepy ślepego, powiedział do siebie Cleevy, co wydało mu się prawdą głęboką i nieśmiertelną. Gdy patrzył, wiewiórka nagle drgnęła; wilk obrócił się i pożarł ją trzema kłapięciami. Ależ wielkie kły mają wilki, pomyślał Cleevy. Bawiła go myśl, że będzie pierwszym człowiekiem zjedzonym na tej planecie.

Cleevy czuł tuż przy samej twarzy oddech wilka, gdy znów zemdlał.

Był już wieczór, kiedy odzyskał przytomność. Długie cienie kładły się po ziemi, a słońce wisiało nisko nad horyzontem. Cleevy usiadł, spróbował zgiąć ramiona i nogi. Nie wyczuł żadnego bólu ani żadnych złamań.



Uklęknął na jedno kolano, czuł się otumaniony, lecz w pełni władał swymi zmysłami. Co się stało? Wspomnienie o katastrofie zdawało się odległe o tysiące lat. Statek spłonął, on oddalił się i zemdłał. Później spotkał wilka i wiewiórkę.

Dźwignął się niecierpliwie i rozejrzał wokół. Ten ostatni epizod musiał mu się przyśnić. Jeśli wilk istniał naprawdę, on nie powinien już żyć.

Spojrzał w dół — u swych stóp zauważył zielony ogon wiewiórki, nieco dalej leżała jej głowa.

Gorączkowo usiłował się skupić. Więc wilk jednak tutaj był, i to głodny. Jeśli chce przetrwać do przybycia statku ratunkowego, musi znaleźć odpowiedź, co się tu wydarzyło i dlaczego.

Te zwierzęta nie miały oczu ani uszu. W jaki więc sposób wyczuwały swą obecność? Po zapachu? Jeśli tak, zatem dlaczego wilk miał tyle kłopotów ze znalezieniem wiewiórki?

Odwrócił się, gdy usłyszał basowy pomruk. W oddali, niecałe pięćdziesiąt stóp od niego, zauważył coś, co wyglądem przypominało lamparta. Żółtobrazowego, bezokiego i pozbawionego uszu lamparta.

Cholerna menażeria, pomyślał Cleevy i przykucnął w wysokiej trawie. Ta planeta zbyt szybko brała go w swoje obroty. Potrzebował czasu do namysłu. Czym kierują się te zwierzęta? Czyżby zamiast wzroku posiadały zmysł lokacji? Lampart zaczął się oddalać.

Cleevy odetchnął z większą swobodą. Być może, gdy znajdował się poza zasięgiem wzroku zwierzęcia, lampart... Gdy tylko pomyślał słowo „lampart”, bestia obróciła się w jego kierunku.

Cóż ja takiego zrobiłem? — zadał sobie pytanie Cleevy, zakopując się głębiej w trawie. Nie czuje mnie, nie słyszy ani nie widzi. Pomyślał jedynie, że lepiej się trzymać z daleka od...

Z głową uniesioną wysoko ku górze lampart zaczął kroczyć w jego kierunku.

To było to. Bez oczu i uszu istniał tylko jeden sposób, aby bestia wykryła jego obecność. To musi być telepatia! Aby zbadać swą teorię, pomyślał słowo „lampart”, indentyfikując je odruchowo ze zbliżającym się do niego zwierzęciem. Lampart ryknął dziko i skrócił dzielący ich dystans.

W ułamku sekundy Cleevy zrozumiał mnóstwo rzeczy. Wilk tropił wiewiórkę za pomocą telepatii. Wiewiórka znieruchomiła — być może nawet przestała myśleć! I wilk zgubił ślad — do czasu, gdy wiewiórka nie mogła się już dłużej powstrzymać od myślenia.

W takim razie, dlaczego wilk nie zaatakował jego, gdy był nieprzytomny? Być może dlatego, że przestał myśleć lub przestał myśleć na długości fali odbieranej przez wilka.

To ostatnie było bardziej prawdopodobne.

Teraz jednak problem stanowił Lampart.

Bestia znów ryknęła. Była już tylko trzydzieści stóp od niego i odległość malała gwałtownie.

Jedyne wyjście, stwierdził Cleevy, to nie myśleć o nim — myśleć o czymś innym. W ten sposób, być może, zgubi ślad. Zaczął przypominać sobie wszystkie dziewczyny, jakie znał, z najmniejszymi detalami.

Lampart zatrzymał się i zaczął niezdecydowanie skrobać łapą ziemię. Cleevy myślał dalej: o dziewczynach, statkach, planetach, znów o dziewczynach i statkach, o wszystkim, byle nie o lamparcie...

Lampart zbliżył się o następne pięć stóp.

Niech to cholera, stwierdził, jak można nie myśleć o czymś? Myśleć wściekle o kamieniach, skałach, ludziach, miejscach i rzeczach, lecz twój umysł ciągle wraca do — ty jednak ignorujesz to i skupiasz się na swej świętobliwej babce, zapijaczonym starym ojcu, siniakach na prawej nodze. (Policz je. Osiem. Policz jeszcze raz. Wciąż osiem.)

A teraz spójrz wyżej, obojętnie, widzisz, lecz naprawdę nie rozpoznajesz — mimo to wciąż się zbliża.

Cleevy stwierdził, że nie myśleć, to jakby zatrzymać gołymi rękami lawinę. Uzmysłowił sobie, że rozum ludzki nie da się świadomie i tak sobie — ot, zatrzymać. Trzeba na to czasu i ćwiczeń. Stracił około piętnastu stóp z dzielącego ich dystansu, usiłując zgłębić to, jak nie myśleć o...

Cóż, można jeszcze pomyśleć o grach karcianych, o przyjęciach, o psach, kotach, koniach, myszach, owcach, wilkach (a sio), o siniakach, pancernikach, jaskiniach, kryjówkach, legowiskach, kociakach (uwaga!), 1... limitach, równoznacznikach, łazikach, krawężnikach, robotnikach, szczegółikach (takich na osiem stóp), posiłkach, żywności, ogniu, lisie, sierści, kotach, workach, łodziach i 1... 1... 1...

Lampart znajdował się teraz około pięciu stóp od niego, szykował się do skoku. Cleevy już nie mógł dłużej utrzymać myśli na wodzy. Wtem, w przypiływie nagłego olśnienia, pomyślał:

Lamparcica! Lampart, wciąż jeszcze przyczajony, uniósł podejrzliwie głowę.

Cleevy skoncentrował myśli na lamparcicy. To o nią był, cóż sobie wyobraża ten lampart, strasząc ją w ten sposób? Jego (jej, szlag by to trafił) myśli wracały do małych kociaków, ciepłej jaskini, rozkoszy polowania na wiewiórki...

Lampart powoli zbliżył się i otarł o jego bok. Cleevy myślał rozpaczliwie. Ładną pogodę dzisiaj mamy, i dalej; z tego lamparta całkiem przystojny facet, taki duży i silny, a jakie ma potężne kły.

Lampart się najeżył!

Cleevy położył się, zawinął wokół siebie wyimaginowany ogon i stwierdził, że pora udać się spać. Lampart przystanął obok niezdecydowany. Miał przeczucie, że coś tu jest nie tak. Wydobył z gardła, z samej głębi, pojedynczy pomruk, po czym odwrócił się i oddalił susami.

Słońce właśnie zaszło, cała okolica tonęła w głębokim granacie. Cleevy uzmysłowił sobie, że

trzęsie się od niepohamowanego, niemal histerycznego śmiechu. Gdyby lampart pozostał chwilę dłużej...

Z trudem zapanował nad sobą. Najwyższy czas pomyśleć poważnie. Zapewne każde zwierzę posiada swój charakterystyczny zapach myśli. Wiewiórka emitowała swój. Inny wilk, a jeszcze inny człowiek. Zasadnicze pytanie brzmiało: czy mógł być wyśledzony, gdy myślał o jakimś zwierzęciu? Czy też jego jaźń, jak zapach, była wyczuwalna, nawet gdy o niczym konkretnym nie myślał?

Jasne, że lampart wytropił go w chwili, gdy myślał wyłącznie o nim. Mogło to jednak nastąpić w wyniku dezorientacji. Jego obcy zapach myśli mógł zmylić lamparta — tym razem.

Pozostało mu jedynie bierne wyczekiwanie. Lampart zapewne nie jest głodny. Po raz pierwszy splatano mu takiego figla. A każdy figiel udaje się tylko raz.

Cleevy położył się na plecach i patrzył w niebo. Był zbyt zmęczony, by się poruszać, bolało go posiniaczone ciało. Co może się wydarzyć teraz, w nocy? Czy bestie dalej polują? Czy może zapanuje coś w rodzaju zawieszenia broni? Stłamsił w sobie przekleństwo.

Do diabła z wiewiórkami, wilkami, lampartami, lwami, tygrysami i reniferami.

Usnął. Następnego ranka nie mógł się nadziwić, że wciąż jeszcze żyje. Oby tak dalej. Poza tym dzień zapowiadał się pięknie. Pokrzepiony tym udał się w stronę statku.

Wszystko, co pozostało z Pocztownca nr 243, to kupa powyginanego żelastwa rozsianego na wypalanej ziemi. Cleevy wyszukał metalowy łom, zważył go w dłoni, po czym wsunął za pas, poniżej worka z pocztą. Nie była to zbyt pewna broń, lecz dodawała mu nieco pewności siebie.

Statek uległ kompletnej zagładzie. Oddalił się więc w poszukiwaniu żywności. W okolicy rośło kilkanaście krzewów z owocami. Ostrożnie spróbował jednego z nich i stwierdził, że smak mają cierpki, lecz przyjemny. Pospiesznie przełykał owoce — popijając wodą z pobliskiego strumienia.

Jak dotąd nie dostrzegł żadnych zwierząt. Mogły one oczywiście — wiedział to już z doświadczenia — zbliżyć się właśnie teraz.

Skasował tę myśl i rozpoczął poszukiwania kryjówki. Najlepiej trzymać się od nich z dala do czasu nadejścia statku ratunkowego. Wędrował wśród wdzięcznie pofalowanych pagórków w poszukiwaniu czubka drzewa lub jaskini. Jednak ten sielski krajobraz nie ofiarował mu nic większego poza sześcioramiowym krzewem.

Minęło południe, a zmęczony i rozdrażniony Cleevy wciąż przepatrywał niespokojnie nieboskłon. Dlaczego nie ma statku? Szybkiemu statkowi ratownicznemu podróż do niego powinna zająć nie więcej niż jeden lub dwa dni — obliczył. Jeśli naczelnik szuka właściwej planety!

Coś poruszyło się na niebie. Uniósł głowę, serce łomotało mu gwałtownie. Tam coś jest!

To był ptak. Szybował wolno nad nim, bez wysiłku kołysząc potężnymi skrzydłami. Raz tylko zanurkował, później odleciał. Ptak zadziwiająco przypominał sępa.

Cleevy kontynuował wędrówkę. W następnej chwili znalazł się twarzą w twarz z czterema ślepymi wilkami. Załatwiło to jedno pytanie. Mógł być wytropiony po swym charakterystycznym zapachu myśli. Bestie z tej planety wyraźnie zdecydowały, iż nie jest na tyle obcy, by go nie można było zjeść.

Wilki ostrożnie zbliżały się do niego. Cleevy spróbował sztuczki, której użył wczorajszego dnia. Wysuwając zza pasa metalowy łom, wyobraził sobie, że jest wilczycą poszukującą swoich szceniąt. Czy któryś z panów pomoże mi je znaleźć? Jeszcze przed chwilą tu były. Jedno było zielone, drugie cętkowane, pozostałe...

Te wilki chyba nie mają cętkowanych szceniąt. Jeden z nich skoczył. Cleevy wyrznął go łomem, gdy był w pół drogi. Wilk chwiejnie się wycofał.

Idąc ramię w ramię, zbliżyła się cała czwórka.

Cleevy gorączkowo usiłował wyobrazić sobie, że nie żyje. Nic z tego. Wilki wciąż się zbliżały.

Cleevy pomyślał o lamparcie. On nim był, wielką bestią, no i nadarza się okazja schwytania wilka.

To je powstrzymało. Nerwowo śmigwały ogonami, lecz nie ustąpiły. Cleevy warknął, rozorał łapą ziemię i chyłkiem ruszył naprzód. Wilki wycofały się, lecz jeden z nich wymknął się, by zająć go od tyłu.

Cleevy poruszał się zakosami, aby uniemożliwić okrążenie. Wyglądało na to, że one naprawdę mu nie dowierzają. Chyba niezbyt dobrze udawał lamparta. Przestały się wycofywać. Jednego miał z tyłu, reszta stała nieugięcie, z jęzorami wywieszonymi z mokrych, rozwartych pysków. Cleevy warknął dziko i wywinął maczugą. Wilk odskoczył, lecz ten z tyłu odbił się, wylądował na worku z pocztą; cios zwałił Cleevy'ego z nóg.

W trakcie kotłowania Cleevy'emu nasunął się inny pomysł. Wyobraził sobie, że jest bardzo zimnym, jadowitym węzem, jego kły zawierały truciznę zdolną w jednej chwili uśmiercić wilka.

Wilki natychmiast odpadły od niego. Cleevy syczał i wyginał swój giętki grzbiet. Wilki zawyły, lecz nie wykazywały ochoty do ataku.

Wtedy Cleevy popełnił błąd. Chociaż wiedział, że powinien twardo stawić im czoło i nadrabiać bezczelnością, jednak jego ciałem rządziły inne siły.

Wbrew woli odwrócił się i zaczął pędem uciekać.

Wilki susami pognały za nim. Cleevy spojrział w górę, zauważył sępy, zlatujące się w nadziei na resztki. Zapanował nad sobą i spróbował ponownie zamienić się w węża, jednak wilki nie zrezygnowały z pogoni. Krążące nad głową sępy nasunęły mu pewien pomysł. Jako pilot wiedział, jak wygląda ziemia z wysokości. Cleevy postanowił zamienić się w ptaka. W wyobraźni wzbił się ponad ziemię, lekko żeglował na unoszącej go ku górze fali powietrza, spoglądał z góry na pokryty zielenią, pofałdowany teren.

Wilki straciły orientację, biegały w kółko, podskakiwały w górę. Cleevy w dalszym ciągu się wzbijał, coraz wyżej, wyżej, równocześnie powoli się wycofując.

W końcu znikły mu z oczu i nastał wieczór. Był wyczerpany. Przeżył jeszcze jeden dzień. Stwierdził jednak, że jego posunięcia obronne udają się tylko raz. Co wymyśli jutro, jeśli nie nadejdzie statek ratunkowy?

Po nastaniu ciemności długo leżał bezsennie, wpatrując się w niebo. Widać było tylko gwiazdy. Raz po raz dochodziło do niego wycie wilka i ryk lamparta śniącego o śniadaniu.

Wkrótce nadszedł ranek. Cleevy przebudził się, był zmęczony i niewypoczęty. Położył się na wznak i czekał na dalszy rozwój wydarzeń. Gdzie jest statek ratunkowy? Mieli mnóstwo czasu, argumentował sobie. Dlaczego ich nie ma? Jeśli będą się zbyt długo ociążać, wtedy lampart...

Nie powinien był o tym myśleć. W odpowiedzi usłyszał z prawej strony ryk.

Powstał i oddalił się w kierunku odwrotnym do źródła dźwięku. Pomyślał, że z dwojga złego woli spotkanie z wilkami...

Tej myśli powinien także uniknąć, bowiem do ryku lamparta dołączył się teraz zew wilczej zgrai.

Cleevy napotkał zwierzęta równocześnie. Z boku rozróżniał sylwetki kilkunastu wilków. Przez moment przemknęła mu myśl, że mogłyby się o niego pobić. Gdyby wilki obskoczyły lamparta, on mógłby w tym czasie uciec...

Ich zainteresowanie skupiło się jednak na nim. Po cóż bić się między sobą, uzmysłowił sobie, jeśli mają jego, emitującego wszem i wobec swoją bezradność i trwogę?

Lampart zbliżył się w jego kierunku. Wilki pozostały w tyle, wyraźnie skłonne zadowolić się resztkami. Cleevy spróbował starej sztuczki z ptakiem, lecz lampart, po chwili wahania, nieugięcie się zbliżał.

Cleevy wycofał się w stronę wilków, marzył o czymś, na co mógłby się wspiąć. Wstarczyłaby skała lub chociaż rozłożyste drzewo...

Tam są przecież krzaki! W przypiływie inwencji zrodzonej z rozpaczyny Cleevy zamienił się w sześciostopowy krzak.

Nie miał najmniejszego pojęcia, co czuje krzak, lecz z wszystkich sił wysiłał fantazję.

Teraz właśnie kwitnął. A jeden z jego korzeni trzymał nieco niepewnie — wynik ostatniej burzy. Zważywszy jednak wszystko, był sobie całkiem zgrabnym krzakiem.

Spoza gałęzi zauważył, że wilki znieruchomiały. Lampart okrążył go, powąchał i w osłupieniu przechylił łeb na bok.

Prawdę powiedziawszy, pomyślał Cleevy, któż by chciał gryźć krzak? Może się tobie zdawało, że

jestem czymś innym, lecz obecnie jestem tylko i wyłącznie krzakiem. Nie masz chyba ochoty na łyk liści, nieprawda? Możesz przypadkiem wyłamać sobie ząb na moich konarach. Kto słyszał o lampartach jedzących liście? A ja jestem krzakiem. Spytaj mojej matki. Ona też była krzakiem. Wszyscy byliśmy krzakami, począwszy od okresu karbońskiego.

Lampart nie wykazywał ochoty do ataku. Z drugiej zaś strony, nic nie wskazywało, że zamierza odejść. Cleevy zastanawiał się, czy wytrzyma. O czym z kolei powinien myśleć? O urokach wiosny? O gnieździe drozdów w jego koronie?

Niewielki ptaszek wylądował na jego ramieniu.

Czy to nie urocze, zastanawiał się Cleevy. On także myśli, że jestem krzakiem. Uwij sobie gniazdo wśród moich gałęzi. To naprawdę cudowne. Wszystkie inne krzaki będą mi zazdrościć. Ptaszek delikatnie dziobnął Cleevy'ego w szyję.

Uspokój się, myślał Cleevy. Nie chcesz chyba zniszczyć swego żywiciela...

Ptaszek znów dziobnął dla próby, po czym mocno zapał się błoniastymi palcami i zaczął stukać w szyję Cleevy'ego z częstotliwością pneumatycznego młota.

Przeklęty dzieciół, pomyślał Cleevy, usiłując zachować pozycję krzewu. Zauważył nagły niepokój lamparta. Gdy ptak po raz piętnasty nakłuł jego szyję, Cleevy nie wytrzymał. Pochwycił ptaszysko i cisnął nim w lamparta.

Bestia kłapnęła zębami, lecz zbyt późno. Rozwścieczony ptak badawczo okrążył głowę Cleevy'ego. Później pomknął w poszukiwaniu bardziej spokojnych krzaków.

W jednej chwili Cleevy znów był krzakiem, ale zabawa się skończyła. Lampart zaczął go tarosić. Cleevy usiłował zbiec, lecz potknął się o wilka i upadł.

Słyszając warczenie lamparta tuż przy samej twarzy, uświadomił sobie, że jest już trupem.

Lampart zawahał się.

Cleevy zmienił się, aż po rozpływające się koniuszki palców, w trupa. Nie żył już od wielu dni, tygodni. Jego krew dawno wyciekła. Ciało cuchnęło. Pozostała jedynie rozpadająca się zgnilizna. Żadne zwierzę przy zdrowych zmysłach nie tknęłoby go, bez względu na stopień głodu.

Lampart jakby podzielał jego zdanie. Wycofał się. Wilki zawyły krwiożerczo, lecz także się oddaliły.

Cleevy przyspieszył swój rozkład o dalsze kilka dni. Myśli skoncentrował na tym, jak bardzo był niejadalny, jak niekłamane niesmaczny. W głębi jednak zakradło się podejrzenie. Nie wierzył szczerze w swą niejadalność.

Lampart wciąż się oddalał, za nim podążały wilki. Był uratowany! Jeśli będzie trzeba, do końca życia pozostanie trupem. Wtem poczuł koło siebie woń prawdziwej padliny. Gdy się obejrzał,

zauważył, że tuż obok wylądowało ogromne ptaszysko.

Na Ziemi nazywałoby się sępem.

W tym momencie Cleevy miał ochotę zapłakać. Czy już nic nie skutkuje? Sęp kołyszącym się chodem zbliżył się w jego kierunku. Cleevy poderwał się na równe nogi i przegonił go kopniakiem. Jeśli ma być pożarty, niech to przynajmniej nie będzie sęp.

Lampart powrócił lotem błyskawicy, na jego puszystym, ślepym pysku malowały się złość i frustracja. Cleevy uniósł metalowy łom, marząc o drzewie, na które mógłby się wspiąć, o strzelbie, by z niej wypalić, lub chociaż o pochodni, by się nią oganiać...

Pochodnia! Natychmiast zrozumiał, że znalazł odpowiedź. Buchnął płomieniem prosto w lamparci pysk, zwierzę odskoczyło ze skowytym. Cleevy zaczął palić wszystko wokół. Ogień ogarnął wysuszoną trawę, przeniósł się na krzaki.

Lampart i wilki rzuciły się do ucieczki.

Teraz przyszła kolej na niego. Powinien był pamiętać, że zwierzęta posiadają głęboko zakorzeniony, instynktowny strach przed ogniem. Rany boskie, robi największą pożogę, jaka kiedykolwiek nawiedziła to miejsce!

Zerwał się lekki wietrzyk, który przeniósł jego ogień na pofałdowaną okolicę. Z poszycia czmychały wiewiórki, ratując się ucieczką, stada ptaków podrywały się do lotu, pierś w pierś biegły lamparty, wilki i inne zwierzęta, nikt nie myślał o jedzeniu, jedynym ich pragnieniem była ucieczka przed ogniem — ucieczka przed nim!

Cleevy niejasno uzmysłowił sobie, że stał się teraz prawdziwym telepatą. Zamknąwszy oczy widział i wyczuwał, co się wokół dzieje. Parł naprzód jako huczący pożar, paląc wszystko wokół. Czuł w sobie trwogę pożerającą dusze cwałującej przed nim gromady.

Tak powinno być. Czyż człowiek nie był zawsze panem, dzięki swej zdolności adaptacyjnej i wyższej inteligencji? To samo osiągnął także tutaj. Pełen dumy przeskoczył wąski strumyk trzy mile dalej, podpalił kępę krzewów, buchał płomieniami, tryskał ogniem.

Wtem poczuł pierwszą kroplę deszczu.

Opalił ją, wnet jednak z jednej zrobiło się pięć, później piętnaście, a za chwilę było już ich pięćset. Przemókł, a jego paliwo — trawa i krzaki — wkrótce ociekały wodą.

Zgaszono go.

To nie fair, pomyślał Cleevy. Według wszelkich reguł powinien wygrać. Walczył zgodnie z narzuconymi mu przez tę planetę warunkami i zwyciężyłby — gdyby wszystkiego nie zrujnowało zwykłe zjawisko przyrody.

Ostrożnie zaczęły powracać zwierzęta.

Deszcz lunął na dobre. Zgasł ostatni z płomieni. Cleevy westchnął i zemdlął.

— ...cholernie dobrą robotę. Nie zostawiłeś poczty, a to wskazuje, że jesteś świetnym listonoszem. Może uda się nam załatwić jakiś model.

Cleevy otworzył oczy. Nad nim stał promieniejący dumą naczelnik. Leżał na koi, nad sobą widział krzywiznę metalowych burt. Był na statku ratowniczym.

— Co się stało? — wykrztusił chrapliwie.

— Znaleźliśmy cię w ostatniej chwili — odparł naczelnik. — Lepiej jeszcze nie wstawaj. Jeszcze chwila, a pomoc okazałaby się zbędna.

Cleevy poczuł przyspieszenie podrywające statek i zrozumiał, że opuszczają powierzchnię planety 3-M-22. Staniając się dotarł do okienka i spojrzał na ścielący się poniżej, pokryty zielenią krajobraz.

— Ogień był blisko — rzekł naczelnik, który przystanął obok i spoglądał wraz z nim w dół. — W samą porę uruchomiliśmy pokładowy system działek wodnych. Znajdowałeś się w samym centrum najpaskudniejszego pożaru stepu, jaki kiedykolwiek widziałem.

Spoglądając na nie zablźnioną zielen, naczelnik jakby przez moment się zawahał. Spojrzał niepewnie, wyraz jego twarzy przypominał Cleevy'emu wyprowadzonego w pole lamparta.

— Słuchaj no — jakim cudem ty żeś się nie spalił?

*przekład: Janusz Wójciak*

*Human Man's Burden*



# Żona model Ultra Deluxe

Edward Flaswell kupił swoją planetoidę na ślepo w Międzyplanetarnym Biurze Sprzedaży Nieruchomości na Ziemi. Wybrał ją na podstawie fotografii, na której poza malowniczym pasmem górskim niewiele było widać. Ale Flaswell kochał góry i widocznie pokładał w nich pewne nadzieje, skoro zwrócił się do sekretarza z zapytaniem:

— W tych tam, górach, może być złoto, co, kolego?

— Na pewno, bracie, na pewno — odparł sekretarz, zastanawiając się, czy jakiś człowiek o zdrowych zmysłach oddaliłby się dobrowolnie na odległość kilkunastu lat świetlnych od najbliższej znajdującej się kobiety. Uznawszy, że żaden normalny człowiek nie zrobiłby tego, sekretarz obrzucił Flaswella badawczym spojrzeniem.

Flaswell był jednak całkowicie normalny. Po prostu nie przyszło mu to do głowy.

Wpłacił niewielką sumę na poczet należności i przyrzekł co roku podnosić wydajność swojej ziemi. Zaledwie atrament wysechł na spisanej umowie, Flaswell zakupił miejsce na zdalnie sterowanym transportowcu II klasy, załadował nań różnoraki sprzęt zakupiony z drugiej ręki i wyruszył ku swoim posiadłościom.

Wielu pionierów—nowicjuszy przekonuje się na miejscu, że kupili bryłę gołej skały. Ale Flaswell miał szczęście. Planetoida, nazwana przez niego Losem Szczęścia, miała sztucznie wytworzoną atmosferę, którą mógł doprowadzić do stanu umożliwiającego oddychanie. Za pomocą sprzętu do wiercenia studzien — przy dwudziestej trzeciej próbie wykrył wodę.

W tych swoich górach Flaswell nie znalazł, co prawda, złota, ale były tam złoża toru nadającego się na eksport. A co najważniejsze, duże przestrzenie ziemi nadawały się na uprawę dyrów, ilg, kisów i innych luksusowych owoców.

Flaswell ciągle powtarzał swemu robotowi—nadzorcy:

— Ta planetoida przyniesie mi bogactwo!

— Z pewnością, szefie, z pewnością — niezmiennie odpowiadał robot.

Planetoida bezsprzecznie kryła w sobie wiele bogactw. Praca nad jej rozwojem była zamierzeniem przekraczającym siły jednego człowieka, ale Flaswell miał dwadzieścia siedem lat, był mocno zbudowany i odznaczał się silnym charakterem.

Dzięki jego wysiłkom planetoida rozkwitała. Miesiące mijały, a Flaswell obsiewał pola, wydobywał tor ze swoich malowniczych gór i wysyłał towary zdalnie sterowanym transportowcem, który od czasu do czasu kursował tą trasą.

Pewnego dnia robot—nadzorca zwrócił się do Flaswella:

— Panie szefie, Człowieku, pan nie wygląda zbyt dobrze, szanowny panie Flaswell.

Flaswell zmarszczył się, słysząc te słowa. Producent, od którego kupił roboty, był zaciekleym wyznawcą teorii wyższości rasy ludzkiej, toteż ułożył ich odpowiedzi zgodnie ze swymi pojęciami o szacunku należnym Człowiekowi. Denerwowało to Flaswella, ale nie stać go było na kupno nowych taśm z odpowiedziami. A gdzież indziej dostałby roboty po tak niskiej cenie?

— Nic mi nie jest, Gunga-Sam — odparł Flaswell.

— Przepraszam bardzo, ale ośmielam się mieć inne zdanie, panie Flaswell, szefie. Pan mówił do siebie będąc na polu, proszę mi wybaczyć, że o tym wspominam.

— E tam, to nic takiego.

— Ale pan ma początki tiku w lewym oku, sahibie. I ręce się panu trzęsą. I pije pan za dużo. I...

— Dosyć, Gunga-Sam! Robot winien znać swoje miejsce — skarcił go Flaswell. Zauważył jednak, że robot jest urażony, co w jakiś swoisty sposób odbiło się na jego metalowej twarzy. Westchnąwszy dodał: — Oczywiście, masz rację. Ty zawsze masz rację, stary przyjacielu. Powiedz, co mi jest.

— Dźwiga pan na sobie zbyt wielkie brzemie Człowieka — Istoty Ludzkiej.

— Wiem o tym aż za dobrze! — Flaswell przesunął rękę po swojej czarnej, rozwichrzonej czuprynie. — Czasem zazdrozczę wam, robotom. Zawsze roześmiani, beztroscy, szczęśliwi...

— To dlatego, że nie mamy duszy.

— Niestety, ja ją posiadam. Co mi radzisz?

— Niech pan weźmie urlop, panie Flaswell, szefie — doradził Gunga-Sam i kierując się rozsądkiem odszedł, aby jego pan mógł się nad tym zastanowić.

Flaswell doceniał życzliwą radę swego sługi, ale wyjazd na urlop napotykał wiele trudności. Planetoida Los Szczęścia znajdowała się w trocyjskim układzie gwiazdowym, w owych czasach jednym z najbardziej odosobnionych. Co prawda zaledwie piętnastodniowy lot dzielił Flaswella od niewybrednych rozrywek Cytery III, a niewiele dłuższy od Nagondikonu, gdzie ludzie o mocnych żołądkach mogli się dobrze zabawić. Ale odległość to pieniądze, a przecież właśnie nic innego jak pieniądze starał się zdobyć Flaswell na Losie Szczęścia.

Toteż Flaswell w dalszym ciągu powiększał swoje plantacje, wydobywał więcej toru i zapuszczał brodę. Niektóre z prostych, wiejskich robotów wpadały w popłoch, gdy Flaswell mijał je, zataczały się i wznosiły modły do boga spalinowego, którego kult od dawna był zakazany. Jednakże wierny Gunga-Sam wkrótce położył kres tym niebezpiecznym praktykom.

— Co z was za ciemne mechaniczne stwory — pouczał nadzorca robotów. — Szef, Człowiek jest w porządku. On silny, on dobry! Wierzcie mi, bracia, że mówię prawdę.

Ale roboty nie przestawały szemrać, gdyż ich zdaniem Istoty Ludzkie powinny świecić przykładem. Sytuacji zapewne nie zdołano by opanować, gdyby Flaswell nie otrzymał wraz z następnym ładunkiem żywności nowego błyszczącego katalogu firmy Roebuck.

Flaswell pieczołowicie rozłożył katalog na prymitywnym plastikowym stole i przy świetle zwykłej zimnoświełnej żarówki pogрузił się w lekturze. Co za cuda tam były dla samotnego pioniera! Domowe destylatornie i wytwórnie księżyców, i przenośne solidowizje, i...

Flaswell odwrócił stronę, przeczytał, przełknął ślinę i przeczytał po raz drugi. Oto co tam było wydrukowane:

### *ŻONY ZA ZAMÓWIENIEM POCZTOWYM!*

*Pionierzy, po co macie znosić mękę samotności? Po co macie dźwigać samotnie brzemię Istoty Ludzkiej? Firma Roebuck oferuje obecnie po raz pierwszy ograniczony wybór żon dla Ludzi żyjących samotnie na rubieżach cywilizacji!*

*Model żony pioniera z firmy Roebuck jest starannie wyselekcjonowany pod względem wytrzymałości, umiejętności przystosowania się, zręczności, wytrzymałości, kwalifikacji pionierskich i oczywiście pewnej dozy urody. Dziewczęta nadają się na wszystkie planety, ponieważ mają stosunkowo nisko umieszczony środek ciężkości, skórę o odpowiednim pigmentcie na wszelkie klimaty oraz krótkie silne palce i paznokcie. Są dobrze zbudowane, choć kształty ich nie są zbyt pociągające. Cechę tę ciężko pracujący pionier powinien docenić.*

*Model pionierski firmy Roebuck dostarczany jest w trzech wymiarach według specyfikacji (patrz niżej), w zależności od wymagań. Po otrzymaniu zamówienia firma Roebuck zamrozi w sposób szybki wybrany model i wyśle go zdalnie sterowanym transportowcem III klasy. W ten sposób obniżamy koszty przesyłki ekspresowej do absolutnego minimum.*

*Dlaczego nie miałby pan zamówić modelu żony pioniera jeszcze DZISIAJ?*

Flaswell zawołał Gunga-Sama i pokazał mu ogłoszenie. Robot przeczytał w milczeniu, a potem spojrział swemu panu prosto w oczy.

— Tego nam właśnie potrzeba, effendi — powiedział.

— Tak myślisz? — Flaswell wstał z krzesła i zaczął krążyć nerwowo po pokoju. — Ale ja nie miałem zamiaru żenić się już teraz. Czyż można w ten sposób się żenić? Skąd ja mogę wiedzieć, czy ona mi się spodoba?

— Jest rzeczą właściwą, aby Człowiek Mężczyzna miał Człowieka Kobieta.

— Tak, ale...

— Zresztą, czy oni zamrażają w ten sam sposób duchownego i wysyłają go również?

Zastanawiając się nad wnikliwym pytaniem robota, Flaswell uśmiechnął się.

— Gunga-Sam, jak zwykle trafiłeś w sedno sprawy. Mam wrażenie, że ceremonia ślubna nie jest przewidziana, dopóki mężczyzna się na nią nie zdecyduje. Zamrożenie duchownego jest zbyt kosztowne. A swoją drogą przyjemnie byłoby przebywać w towarzystwie dziewczyny, która krzątałaby się przy swoich zajęciach.

Gunga-Samowi udało się przywołać tajemniczy uśmiech na metalowe oblicze.

Flaswell usiadł i wypisał zamówienie na model pionierski, żądając małego wymiaru, który i tak, jego zdaniem, sprawi mu wiele kłopotu. Następnie polecił Gunga-Samowi przekazać zamówienie drogą radiową.

Kilka następnych tygodni Flaswell przeżył w podnieceniu, wpatrując się niecierpliwie w niebo. Nastrój oczekiwania udzielił się także robotom. Ich beztrioskie śpiewy i tańce wieczorne przeplatane były szeptami i cichym chichotem. Roboty bezustannie zamęczały Gunga-Sama pytaniami:

— Hej, nadzorco! Ta nowa Człowiek Kobieta, jak ona będzie wyglądać?

— To nie wasza rzecz — odpowiadał Gunga-Sam. — To sprawa Człowieka Mężczyzny, a wam, robotom, nic do tego!

Wreszcie jednak on również zaczął obserwować niebo z takim samym przejęciem jak i inni.

W ciągu tych tygodni Flaswell medytował nad zaletami Kobiety Pionierki. Im dłużej się nad tym zastanawiał, tym bardziej podobała mu się ta myśl. Nie dla niego jakaś ładna, bezużyteczna, niezaradna, wymalowana kobietka! Jakby to było przyjemnie mieć u swego boku pogodną, rozsądną, praktyczną dziewczynę, która umiałaby gotować, pracować, ozdabiać mieszkanie, pilnować domowych robotów, szyc suknie, robić galaretki owocowe...

Tak oto marzył, zabijając czas i obgryzając paznokcie aż do krwi.

Wreszcie zdalnie sterowany transportowiec błyskawicznie przeciął horyzont, wylądował, wyrzucił za burtę dużą pakę i pomknął dalej w kierunku Amyry IV.

Roboty przyniosły przesyłkę Flaswellowi.

— Oto narzeczona, panie! — zawołały tryumfalnie, podrzucając w górę oliwiarki.

Flaswell natychmiast ogłosił pół dnia wolnego od pracy i wkrótce znalazł się w saloniku sam na sam z dużą zimną skrzynią opatrzoną napisem: „Ostrożnie! Kobieta wewnątrz!”

Nacisnął guziki odmrażające, odczekał przepisaną godzinę i otworzył skrzynię. Wewnątrz znajdowało się jeszcze jedno pudło, które należało odmrażać przez dalsze dwie godziny. Czekał niecierpliwie, chodząc tam i z powrotem po pokoju i gryząc resztki paznokci.

W końcu nadszedł upragniony moment. Drżącymi rękami Flaswell otworzył pokrywę i ujrzał...

— Hej, co to?! — krzyknął zaskoczony.

Dziewczyna leżąca w skrzyni mrugnęła powiekami, ziewnęła jak kotek, otworzyła oczy i usiadła. Wpatrywali się w siebie w zdumieniu, aż wreszcie Flaswell zrozumiał, że zaszła jakaś straszliwa pomyłka.

Dziewczyna miała na sobie piękną, ale niepraktyczną białą suknię, na której imię Sheila wyhaftowane było złotą nicią. Po chwili uwagę Flaswella zwróciła jej smukła postać, co bynajmniej nie świadczyło o jej przydatności do ciężkiej pracy w warunkach panujących na odległych planetach. Skórę miała mlecznej białości, która na pewno pokryje się pęcherzami pod ostrymi promieniami letniego słońca planetoidy. Palce u rąk miała długie, wypielęgnowane, paznokcie czerwone — czyli wszystko całkowicie sprzeczne z tym, co obiecywała firma Roebuck. Natomiast nogi i inne części ciała byłyby, zdaniem Flaswella, mile widziane na Ziemi, ale nie tu, gdzie mężczyzna nie może odrywać się od swojej pracy.

Nawet nie można by o tej dziewczynie powiedzieć, że ma nisko umieszczony środek ciężkości. Wprost przeciwnie. Flaswell uznał więc, nie bez podstaw, że go oszukano, wystrychnięto na dudka.

Sheila wyszła ze skrzyni, zbliżyła się do okna i ogarnęła wzrokiem kwitnące zielone pola Flaswella oraz malownicze pasmo górskie widniejące w oddali.

— Ale gdzie są palmy? — spytała.

— Palmy?

— No tak. Mówiono mi, że na Trinigarze V są palmy.

— To nie jest Trinigar V — odparł Flaswell.

— Czyż nie jest pan paszą na Trae? — wyjąkała Sheila.

— Skądże! Jestem pionierem. A czy pani jest modelem żony pioniera?

— Czy ja wyglądam na model żony pioniera? — rzuciła Sheila, a oczy jej zabłysły gniewem.

— Jestem modelem Ultra Deluxe i miałam się udać na subtropikalną planetę Trinigar V.

— Zostaliśmy oboje oszukani. W dziale ekspedycji musiała zajść pomyłka — ponuro stwierdził Flaswell. Dziewczyna rozejrzała się po surowo urządzonego pokoju i grymas niezadowolenia ukazał się na jej ładnej twarzyczce.

— No cóż, przypuszczam, że pan może załatwić dla mnie transport na Trinigar V.

— Nie mogę sobie pozwolić na przelot na Nagondikon — odpowiedział Flaswell. — Zawiadomię firmę Roebuck o pomyłce. Na pewno załatwią przewiezienie pani wtedy, gdy wyślą mi model żony pioniera.

Sheila wzruszyła ramionami i powiedziała:

— Podróże kształcą.

Flaswell skinął głową, rozmyślając intensywnie. Dziewczyna nie posiadała żadnych kwalifikacji pionierskich, to było oczywiste, odznaczała się za to niezwykłą urodą. Doszedł więc do wniosku, że pobyt jej mógłby okazać się przyjemny dla nich obojga.

— Ze względu na okoliczności — odezwał się z przymilnym uśmiechem — powinniśmy zawrzeć przyjaźń.

— Ze względu na jakie okoliczności?

— Jesteśmy jedynymi Istotami Ludzkimi na tej planecie. — Flaswell lekko dotknął ręką jej ramienia. — Napijmy się czegoś. Proszę mi opowiedzieć wszystko o sobie. Czy pani...

W tym momencie usłyszał jakiś głośny stukot za swoimi plecami. Odwrócił się i ujrzał małego, przysadzistego robota wyłazącego z ciasnej przegródki skrzyni, w której przybyła Sheila.

— Czego chcesz? — zapytał Flaswell.

— Jestem robotem udzielającym ślubów — oznajmił mechanicznie przybysz — uprawnionym przez rząd do legalizowania związków małżeńskich zawieranych w przestrzeni kosmicznej. Ponadto firma Roebuck wyznaczyła mnie, abym działał jako opiekun i przyzwoitka młodej damy, póki nie nadejdzie czas spełnienia mej zasadniczej funkcji, czas dokonania ceremonii ślubnej.

— Przeklęty waśniak! — mruknął Flaswell.

— Czego się pan spodziewał? — spytała Sheila. Zamrożonego duchownego Człowieka?

— Pewno, że nie. Ale robot–przyzwoitka...

— Najlepszego gatunku — zapewniła Sheila. — Zdziwiłoby pana zachowanie niektórych mężczyzn, z chwilą gdy znajdą się w odległości kilku lat świetlnych od Ziemi.

— Czyżby? — wyraził powątpiewanie głęboko rozczarowany Flaswell.

— Tak mi mówiono — odpowiedziała Sheila, wstydliwie odwracając wzrok. — A zresztą przyszła żona paszy na Trae powinna mieć jakiegoś opiekuna.

— Najmilsi bracia — zaintonował robot — zebraliśmy się tutaj, aby połączyć...

— Nie teraz — przerwała mu wyniośle Sheila — to nie o niego chodzi.

— Każę robotom przygotować pokój dla pani — burknął Flaswell i wyszedł z pokoju mamrocząc o brzemieniu Człowieka — Istoty Ludzkiej.

Po chwili nawiązał łączność radiową z firmą Roebuck i dowiedział się, że właściwy model żony zostanie natychmiast wysłany, a intruz przetransportowany będzie gdzie indziej. Po czym powrócił do zajęć gospodarskich, powziąwszy mocne postanowienie ignorowania Sheili i jej robota— przyzwoitki.

Prace na Losie Szczęścia ruszyły dawnym trybem. Tor czekał na wydobywanie, nowe studnie na wykopanie. Zbliżała się pora żniw i roboty pracowały przez długie godziny na kwitnących, zielonych polach, a ich uczciwe metalowe twarze lśniły smarem. Powietrze nasycone było zapachem kwitnących dyrów.

Obecność Sheili na planetoidzie dawała się na każdym kroku odczuć. Wkrótce pojawiły się plastikowe abażury na zimnoświecących żarówkach, kotary na oknach i dywaniki na podłodze. Nastąpiło również wiele innych zmian w domu, które Flaswell raczej wyczuł niż zauważył.

Jedzenie także się zmieniło. Taśma pamięciowa robota—kucharza wytarła się już w tak wielu miejscach, że biedny mechaniczny stwór pamiętał tylko, jak się robi „Boeuf Strogonoff”, mizerię, budyń ryżowy i kakao.

Flaswell wykazywał dużo samozaparciu, jedząc te dania od chwili przyjazdu na Los Szczęścia i tylko urozmaicając je od czasu do czasu żelaznymi racjami.

Sheila wzięła w obroty robota—kucharza. Cierpliwie nagrywała na jego taśmę pamięciową przepisy na duszoną wołowinę, przyprawianą sałatę, szarlotkę i wiele innych przysmaków. Sytuacja jedzeniowa na Losie Szczęścia wyraźnie zaczęła się poprawiać.

Ale gdy Sheila zrobiła galaretkę z kisów i włożyła ją do słoików, Flaswella zaczęły ogarniać poważne wątpliwości. Mimo wszystko była to nadzwyczaj praktyczna młoda kobieta, wbrew swemu luksusowemu wyglądowi. Umiała robić to wszystko, co powinna umieć żona pioniera. Miała też i inne zalety. Po co mu potrzebny przepisowy model żony pioniera firmy Roebuck?

Po dłuższym zastanowieniu Flaswell wyznał swemu nadzorcy:

— Gunga—Sam, jestem w rozterce.

— Słucham? — powiedział robot, a jego metalowa twarz pozostała obojętna.

— Myślę, że intuicja robota może mi pomóc. Ona sobie doskonale daje radę, prawda, Gunga—Sam?

— Człowiek Kobieta pomaga dźwigać brzemień Osobie Ludzkiej.

— Z całą pewnością. Ale czy to tak może trwać? Ona robi tyle, co zrobiłaby żona pioniera. Gotuje,

robi konserwy...

— Robotnicy kochają ją — powiedział Gunga-Sam z godnością. — Pan nie wiedział o tym, panie szefie, ale gdy w ubiegłym tygodniu wybuchła ta epidemia rdzy, Człowiek Kobieta pracowała niestrudzenie dzień i noc, przynosząc ulgę chorym i pocieszając przestraszone młode roboty.

— Ona to wszystko robiła? — wykrztusił przejęty Flaswell. — Dziewczyna z takiego otoczenia, model luksusowy...

— To nie ma znaczenia. Model Ultra Deluxe jest Człowiekiem, posiada więc siłę i szlachetność, aby wziąć na swoje barki brzemię Istoty Ludzkiej.

— Wiesz — powoli zaczął Flaswell — to mnie przekonało. Uważam, że da sobie radę. To nie jej wina, że nie jest modelem pionierskim. Jest to kwestia selekcji i przystosowania do warunków, a tego nie da się zmienić. Powiem jej, że może pozostać. A potem odwołam to drugie zamówienie.

W oczach robota pojawił się dziwny wyraz, był to niemal wyraz rozbawienia. Ukłonił się nisko i powiedział:

— Będzie tak, jak sobie mój pan życzy.

Flaswell pośpiesznie ruszył na poszukiwanie Sheili. Sheila przebywała w izbie chorych przerobionej ze starego składu na narzędzia. Przy pomocy robota naprawiała uszkodzenia, jakie przytrafiają się stworom o metalowej powłoce.

— Sheila — powiedział Flaswell — chcę z tobą pomówić.

— Dobrze — odparła z roztargnieniem — jak tylko przykręcę tę śrubę.

Zręcznie przykręciła ją i poklepała robota kluczem.

— W porządku, Pedro — powiedziała — spróbuj stanąć teraz na tej nodze.

Robot wstał ostrożnie, przeniósł ciężar ciała na naprawioną nogę i przekonał się, że jest dobrze przymocowana. W śmiesznych podskokach zaczął biegać dokoła Człowieka Kobiety mówiąc:

— Jak świetnie mnie pani naprawiła, szefowo! Gracias, jaśnie pani.

Flaswell i Sheila przyglądali się robotowi ubawieni, podczas gdy on podążył tanecznym krokiem na zalane słońcem podwórze.

— Zachowują się jak dzieci — zauważył Flaswell.

— Nie można ich nie kochać — powiedziała Sheila. — Są tacy szczęśliwi, beztroscy...

— Ale nie mają duszy — przypomniał jej Flaswell.



— Rzeczywiście — potwierdziła Sheila. — Co miałeś mi do powiedzenia?

— Chciałem ci powiedzieć... — Flaswell przerwał rozglądając się dookoła. Izba chorych była pomieszczeniem antyseptycznym, wypełnionym kluczami, śrubokrętami, piłami do metali, młotami i innymi medycznymi narzędziami. Nie tworzyło to właściwej atmosfery do zamierzonych oświadczeń.

— Chodź ze mną — powiedział.

Opuścili szpitalik i szli przez kwitnące zielone pola, aż znaleźli się u stóp malowniczych gór. W cieniu urwistych skał kryło się mroczne jezioro, nad którym splotły się konary olbrzymich drzew wyhodowanych przez Flaswella. Tu się zatrzymali.

— Chciałem ci powiedzieć — zaczął Flaswell — żeś mnie całkowicie zaskoczyła, Sheilo. Myślałem, że będziesz pasożytem, bezużyteczną osobą. Twoje pochodzenie, twoje wychowanie, twój wygląd, wszystko to potwierdzało moje przypuszczenia. Ale byłem w błędzie. Stawiłaś czoło pionierskiemu otoczeniu, podbiłaś je i zdobyłaś serca wszystkich.

— Wszystkich? — cicho spytała Sheila.

— Sądzę, że mogę mówić za wszystkie roboty na tej planetoidzie. One cię ubóstwiają. Myślę, że twoje miejsce jest tutaj, Sheilo.

Dziewczyna przez dłuższy czas milczała, a wiatr szumiał wśród gałęzi olbrzymich drzew i marszczył czarną taflę jeziora.

Wreszcie odezwała się:

— Sądysz, że moje miejsce jest tutaj?

Flaswell poczuł, że oszałamia go jej niezwykła uroda, że gubi się w topazowych toniach jej oczu. Oddech jego stał się przyspieszony, dotknął ręki Sheili, a jej dłoń odwzajemniła uścisk.

— Sheila...

— Tak, Edwardzie...

— Najmilsi bracia — rozległ się nagle piskliwy głos — zebraliśmy się tutaj...

— Nie teraz, ty idioto! — krzyknęła Sheila.

Robot udzielający ślubów zbliżył się i powiedział obrażonym tonem:

— Chociaż bardzo nie lubię wtrącać się do spraw Istot Ludzkich, nagrane na taśmie instrukcje zmuszają mnie do tego. W moim pojęciu kontakt fizyczny nie ma żadnego znaczenia. Kiedyś, tytułem próby, chwyciłem w objęcia robota—szwaczkę. Jedyнным doznaniem, jakie z tego wyniosłem, było uszkodzenie ciała. Pewnego razu wydawało mi się, że odczuwam coś, jakby elektryczny prąd, który przeszywa mnie na wskroś i każe myśleć o powoli zmieniających się geometrycznych figurach. Ale

po zbadaniu siebie zobaczyłem, że rozizolował się jeden z ośrodków dyspozycyjnych. Dlatego też emocja ta była nieistotna.

— Przeklęty waźniak — mruknął Flaswell.

— Proszę wybaczyć, że nasunęło mi się takie przypuszczenie. Staralem się jedynie wytłumaczyć, że dla mnie instrukcje te są niezrozumiałe, gdyż każą mi zapobiegać wszelkim kontaktom fizycznym, dopóki nie odbędzie się ceremonia ślubna. Ale tak się to przedstawia i takie są moje rozkazy. Czy mogę teraz rozpocząć ceremonię?

— Nie — powiedziała Sheila.

Robot wzruszył ramionami dając za wygraną i skrył się w zaroślach.

— Nie znoszę robotów, które sobie za wiele pozwalają odezwał się Flaswell. — Ale zgadzam się.

— Na co?

— Tak — stanowczo powiedział Flaswell. — Nie ustępujesz w niczym modelowi pionierskiemu, a jesteś o wiele ładniejsza. Sheila, czy wyjdiesz za mnie?

Robot, który kręcił się w pobliskich zaroślach, żwawo ruszył w stronę rozmawiającej pary.

— Nie — odpowiedziała Sheila.

— Nie? — powtórzył niedowierzająco Flaswell.

— Słyszałeś! Nie! Stanowczo nie!

— Ale dlaczego? Pasujesz tu doskonale, Sheilo. Roboty cię ubóstwiają. Nigdy tak dobrze nie pracowały...

— Twoje roboty nic mnie nie obchodzą — odparła prostując się. Włosy miała zwichrzone, oczy miały błyskawice. — Twoja planetoida też nic mnie nie obchodzi. I ty mnie nic nie obchodzisz. Polecę na Trinigar V, gdzie będę rozpieszczaną żoną paszy na Trae!

Wpatrywali się w siebie, Sheila blada z gniewu, Flaswell czerwony ze wstydu.

— Czy mogę rozpocząć ceremonię? — nagle odezwał się robot. — Najmilsi bracia...

Sheila odwróciła się na pięcie i pobiegła w stronę domu.

— Nic nie rozumiem — żałośnie powiedział robot. — To wszystko jest takie zadziwiające. Kiedy wreszcie odbędzie się ceremonia?

— Wcale — odparł Flaswell i ruszył ku domowi kipiąc ze wściekłości.

Po chwili wahania robot westchnął metalicznie i pośpieszył za modelem żony Ultra Deluxe.

Całą noc Flaswell przesiedział w swoim pokoju, pijąc na umór i mamrocząc do siebie. O brzasku wierny Gunga–Sam zastukał do drzwi i wśliznął się do pokoju.

— Kobiety! — warknął Flaswell.

— Słucham? — powiedział Gunga–Sam.

— Nigdy ich nie zrozumieć. Ona mnie zwodziła. Myślałem, że chce tu zostać. Myślałem...

— Umysł Człowieka Mężczyzny jest mroczny i tajemniczy — orzekł Gunga–Sam — ale w porównaniu z umysłem Człowieka Kobiety jest przejrzysty jak kryształ.

— Skąd to wzięłeś?

— To stare przysłowie robotów.

— Ach, wy roboty! Czasami zastanawiam się, czy wy aby nie macie duszy?

— O nie, panie Flaswell, szefie. Na naszych schematach konstrukcyjnych wyraźnie jest zaznaczone, że roboty mają być zmontowane bez duszy, aby oszczędzić nam udreki.

— Bardzo mądra klauzula — powiedział Flaswell. — Należałoby ją rozszerzyć również i na Istoty Ludzkie. Trudno, niech Sheilę diabli wezmą! Czego chcesz?

— Przyszedłem powiedzieć, że ląduje transportowiec.

Flaswell zbladł.

— Tak prędko! A więc przywozi mi moją nową żonę.

— Niewątpliwie.

— I zabierze Sheilę na Trinigar V?

Flaswell jęknął i chwycił się za głowę. Po chwili wyprostował się i rzekł:

— Dobrze, dobrze. Zobaczę, czy jest gotowa.

Znalazł Sheilę w saloniku przyglądającą się spiralnemu lotowi transportowca.

— Życzę ci dużo szczęścia, Edwardzie — odezwała się. — Mam nadzieję, że twoja nowa żona spełni wszystkie twoje oczekiwania.

Transportowiec wylądował. Roboty zaczęły wyladowywać wielką skrzynię.

— Już muszę iść — powiedziała Sheila. — Oni nie będą czekać.

Wyciągnęła rękę na pożegnanie.

Flaswell ujął jej dłoń, uścisnął, a po chwili już trzymał Sheilę za ramię. Dziewczyna nie stawiała oporu ani też robot udzielający ślubów nie wtargnął do pokoju. Nagle Sheila znalazła się w objęciach Flaswella. Pocałował ją i poczuł się podobnie, jak jakieś małe słońce przechodzące przez fazę gwiazdy Nowa.

— Ha! — powiedziała wreszcie Sheila niezbyt pewnym głosem.

Flaswell chrząknął dwukrotnie.

— Kocham cię, Sheilo. Nie mogę ci ofiarować tu luksusowego życia, ale gdybyś zechciała zostać...

— Najwyższy czas, abyś przekonał się, że mnie kochasz, głuptasie! Oczywiście, że zostaję!

Kilka następnych minut minęło w oszalamiającym upojeniu. Nastrój ten zakłóciły w końcu głośne okrzyki robotów rozlegające się na podwórzu. Nagle otworzyły się drzwi i do pokoju wpadł robot udzielający ślubów, a za nim Gunga-Sam i dwóch mechanicznych parobków.

— Doprawdy! — powiedział robot udzielający ślubów. — To nie do wiary! Że też dożyłem dnia, w którym robot powstał przeciwko robotowi!

— Co się stało? — zapytał Flaswell.

— Ten pański nadzorca siedział na mnie — powiedział oburzony robot — podczas gdy jego kumple trzymali mnie za ręce i nogi. Ja tylko chciałem wejść do tego pokoju i spełnić mój obowiązek zlecony mi przez rząd i firmę Roebuck.

— Ależ, Gunga-Sam! — powiedział, uśmiechając się, Flaswell.

Robot udzielający ślubów podszedł do Sheili i zapytał: — Czy pani aby nie jest uszkodzona? Jakies wręby? Jakies krótkie spięcia?

— Nie wydaje mi się — odparła zadyszana Sheila.

— To wyłącznie moja wina, panie szefie — odezwał się Gunga-Sam. — Ale wszyscy wiedzą, że Człowiek Mężczyzna i Człowiek Kobieta potrzebują samotności w czasie zalotów. Zrobiłem jedynie to, co uważałem za swój obowiązek wobec Rasy Ludzkiej w tym względzie, panie Flaswell, szefie, sahibie.

— Doskonale się spisałeś, Gunga-Sam — powiedział Flaswell. — Jestem ci bardzo wdzięczny i... o Boże!

— O co chodzi? — spytała zaniepokojona Sheila. Flaswell wpatrywał się w okno. Roboty-parobki niosły wielką skrzynię w stronę domu.

— Model pionierski! — powiedział Flaswell. — Co my zrobimy, kochanie? Odwołałem ciebie, a zamówiłem tę drugą. Czy sądzisz, że możemy zerwać kontrakt?

Sheila roześmiała się.

— Nie martw się. W tej skrzyni nie ma modelu pionierskiego. Twoje zamówienie zostało unieważnione zaraz po nadejściu.

— Unieważnione?

— Tak. — Sheila spuściła oczy zawstydzona. — Znienawidzisz mnie za to...

— Na pewno nie — przyrzekł Flaswell. — Co to wszystko znaczy?

— Więc słuchaj, w rejestrze firmy Roebuck znajdują się fotografie pionierów i kandydatki na żony mogą zobaczyć, kogo dostają za męża. Dziewczęta mają prawo wyboru, a ja tak długo obijałam się w tej firmie nie mogąc uzyskać obniżenia mojej Ultra Deluxe kategorii, że... że zawarłam porozumienie z kierownikiem działu zamówień. I zostałam tu przysłana — szybko wyrzuciła z siebie.

— A pasza na Trae?

— Zmyśliłam go.

— Ale dlaczego? — zapytał zdziwiony Flaswell. — Jesteś taka ładna...

— ...że każdy uważa mnie za zabawkę dla jakiegoś zepsutego, opasłego głupca — dokończyła wzburzona. — Ja nie chcę być zabawką. Chcę być żoną! Jestem równie dobrą gospodynią jak jakaś krępa, brzydka baba.

— O wiele lepszą.

— Umiem gotować i leczyć roboty i jestem praktyczna, prawda? Czyż tego nie dowiodłam?

— Oczywiście, moja droga. — Sheila zaczęła płakać.

— Ale nikt w to nie wierzył, więc musiałam podstępnie pozostać tu tak długo... dopóki mnie nie pokochałeś.

— I tak się właśnie stało — powiedział Flaswell ocierając jej łzy. — Wszystko ułożyło się jak najlepiej. To był szczęśliwy przypadek.

Metalowa twarz Gunga-Sama pokryła się czymś podobnym do rumieńca.

— Czyż to nie był przypadek?! — wykrzyknął Flaswell.

— Efendi, panie szefie, przecież wiadomo, że Człowiek Mężczyzna potrzebuje ładnej Człowieka Kobiety. Model pionierski opisany był dość surowo, a memsahib Sheila jest córką przyjaciela mego

poprzedniego pana. Więc pozwoliłem sobie przesłać zamówienie wprost do niej. Memsahib poprosiła swego znajomego w dziale zamówień, aby pokazał jej pańską fotografię, a potem wysłał tutaj. Mam nadzieję, że pan nie gniewa się na pokornego sługę za nieposłuszeństwo.

— No niech mnie diabli wezmą — wreszcie zdołał wydobyć głos Flaswell. — Zawsze mówiłem, że wy, roboty, lepiej rozumiecie Istoty Ludzkie niż ktokolwiek inny. Ale co zawiera ta skrzynia?

— Moje suknie, klejnoty, pantofle, kosmetyki, przyrząd do układania włosów...

— Ależ...

— Chyba zależy ci na tym, abym ładnie wyglądała, kiedy będziemy jeździć w gości — powiedziała Sheila. — Przecież Cytera III znajduje się zaledwie w odległości piętnastu dni. Sprawdziłam to, zanim tu przyjechałam.

Flaswell skinął głową zrezygnowany. Należało się czegoś podobnego spodziewać po modelu Ultra Deluxe.

— Zaczynaj — zwróciła się Sheila do robota udzielającego ślubów.

Robot milczał.

— Jazda! — krzyknął Flaswell.

— Czy aby na pewno? — zapytał robot obrażonym tonem.

— Tak. Zaczynaj!

— Nic nie rozumiem. Dlaczego teraz? Dlaczego nie w ubiegłym tygodniu? Czy ja jestem jedyną normalną istotą tutaj? Mniejsza o to. Najmilsi bracia...

I ceremonia ślubna wreszcie się odbyła. Flaswell ogłosił trzy dni wolne od pracy, a roboty śpiewały, tańczyły i świętowały na swój beztroski sposób.

Od tej pory życie zmieniło się na Losie Szczęścia. Flaswellowie nawiązali stosunki towarzyskie, jeździli z wizytami i przyjmowali u siebie inne pary małżeńskie mieszkające w odległości piętnastu czy dwudziestu dni na Cyterze III, Thamie i Randiko I. Ale przez pozostały czas Sheila spełniała bez zarzutu obowiązki żony pioniera, ubóstwiana przez męża i kochana przez roboty. Zgodnie ze swymi instrukcjami robot udzielający ślubów pozostał u nich w charakterze rachmistrza i księgowego, do których to zajęć miał wyjątkowo nadającą się umysłowość. Często mawiał, że tylko dzięki niemu na Losie Szczęścia nie panował bałagan.

A roboty nadal wydobywały tor z ziemi. Dyry, ilgi i kisy kwitły zapowiadając bogaty plon owoców. Flaswell i Sheila wspólnie dźwigali na swoich barkach brzemię Człowieka Istoty Ludzkiej.

Flaswell zawsze głośno wychwalał korzyści kupowania w firmie Roebuck, ale Sheila zdawała sobie sprawę, że prawdziwą korzyścią było posiadanie takiego nadzorcy jak wierny, pozbawiony

duszy Gunga–Sam.

*przekład: Eleonora Romanowicz*

*The Leeh*

# Pijawka

Frank Connors wyszedł na werandę i dwa razy cicho kaszlnął.

— Proszę wybaczyć, profesorze — powiedział. Długonogi mężczyzna, leżący na składanym łożku, nawet nie poruszył się i chrapał dalej.

— Nie chciałbym pana niepokoić. — Connors ze wzruszenia przesunął wyświechtaną czapkę na tył głowy. — Ja wiem, że jest to tydzień pana odpoczynku, ale tam w rowie leży jakieś świństwo...

Jedna brew śpiącego z lekka się uniosła.

Frank Connors jeszcze raz kaszlnął. Na jego ręce ściskającej uchwyt łopaty wystąpiły starcze żyły.

— Słyszysz pan, profesorze?

— Oczywiście, wszystko słyszę — wymamrotał Mikehill nie otwierając oczu. — Znalazłeś elfa?

— Co? — zapytał Connors, z wysiłkiem marszcząc czoło.

— Małeńki ludzik w czerwonym serdaczku. Daj mu mleka, Connors.

— Nie, proszę pana. To jakiś kamień. Profesor otworzył jedno oko.

— Proszę mi wybaczyć, nie chciałem pana niepokoić — usprawiedliwiał się Connors.

— No więc?

— Nie odważyłbym się niepokoić pana głupstwami, ale ten diabelski kamień stopił mi łopatę...

Profesor od razu otworzył oczy. Connors pokazał mu łopatę. Jej metalowa część była równiutko przecięta. Mikehill rażno opuścił nogi z łożka i wsunął je w przydeptane mokasyny.

— Idziemy — powiedział wstając. — Zobaczymy, co to za cudo.

„Cudo” leżało w przydrożnym rowie oddzielającym łączkę koło domu od autostrady biegnącej do Nowego Jorku. Zwykły kamień grubości trzech cali. Na ciemnoszarej powierzchni miał mnóstwo splątanych, drobnych żyłek.

— Proszę nie dotykać — uprzedził Connors.

— Nie mam zamiaru. Daj mi łopatę. — Mikehill wziął łopatę i dotknął nią zagadkowego przedmiotu. Był rzeczywiście twardy jak kamień. Przez pewien czas profesor trzymał łopatę przytkniętą do jego powierzchni, ale kiedy odjął ją, jeszcze jeden cal metalu zniknął.



Mikehill nachmurzył się, poprawił okulary. Potem znowu jedną ręką przytknął łopatę do „kamienia”, a drugą rękę przybliżył do metalowej powierzchni. Ostrze topiło się na jego oczach.

— Jakby się grzało — powiedział zwracając się do Connersa. — A jak było za pierwszym razem? Nie zauważyłeś, czy szło od kamienia ciepło?

Conners przecząco pokręcił głową.

Mikehill wziął garść błota i rzucił je na kamień. Grudka natychmiast stopiła się nie zostawiając nawet śladu na ciemnoszarej powierzchni. W ślad za grudką poszedł duży kamień, który również zniknął w ten sam sposób.

— Widział pan coś podobnego, profesorze? — zapytał Conners.

— Nie. — Mikehill wyprostował się. — Nie widziałem. Jeszcze raz wziął łopatę i z całej siły uderzył nią w kamień... I omal jej nie upuścił. Oczekując odbicia, zbyt mocno ścisnął rękojeść. Ale odbicia nie było. Łopata uderzyła i stanęła jak przyklejona. Kiedy podniósł ją, stwierdził, że na ciemnoszarej powierzchni nie został żaden ślad od uderzenia.

— To jednak nie kamień — powiedział Mikehill odstępując. — Pijawki wysysają krew, a ta sztuka, jak mi się wydaje, ssie błoto i łopaty. Spróbuję zadzwonić do college'u. Poproszę, aby przyjechał któryś z fizyków lub biologów — dodał. — Dobrze byłoby zabrać stąd to świństwo, dopóki nie zniszczy mi klombu.

Ruszył w kierunku domu.

Wszystko dokoła było dla niej pożywieniem. Wiatr oddawał jej swoją energię. Nadszedł deszcz i uderzenie każdej kropli dodawało jej sił. Pochłaniała wodę całą swą powierzchnią. Słoneczne promienie, piach, błoto, kamienie — wszystko przyswajała swymi komórkami.

I rosła.

Na drugi dzień pijawka liczyła już osiem stóp długości. Jednym końcem sięgała szosy, drugim klombu. W ciągu następnego dnia jej średnica wzrosła do osiemnastu stóp. Pokrywała teraz całą drogę.

Mikehill chodził dokoła pijawki i zadawał sobie ciągle pytanie: Jaka rzecz może zachowywać się w ten sposób? Odpowiedź była prosta — żadna ze znanych mu rzeczy.

W dali dał się słyszeć szum kolumny samochodów wojskowych. Przewodnik jadący w jeepie na przedzie podniósł rękę i cała kolumna się zatrzymała. Z jeepa wysiadł oficer. Po liczbie gwiazdek na ramionach Mikehill poznał, że ma przed sobą generała.

— Zabierzcie to i oczyśćcie przejazd — powiedział generał do żołnierzy.

Był wysoki i szczupły. W ogorzalej twarzy chłodno błyszcząły oczy.

— Nie możemy tego usunąć. — Mikehill opowiedział o wydarzeniach z poprzednich dni.

— Ale to koniecznie trzeba usunąć — generał podszedł bliżej i z uwagą przyglądał się pijawce.

— Mówi pan, że łomem nie da się jej zepchnąć? I ogień też się jej nie ima?

— Fakt. — Mikehill uśmiechnął się lekko.

— Szofer! — rzucił generał przez ramię — proszę przejechać po tym.

Mikehill chciał się wmieszać, ale dał spokój, generalskie mózgi to delikatna sprawa.

Jeep wyrwał do przodu podskakując na dziesięciocentymetrowej krawędzi pijawki. W środku samochód zatrzymał się nagle.

— Nie rozkazałem hamować! — huknął generał.

— Nie hamowałem — zaprotestował szofer. Jeep jeszcze drgnął w miejscu i stanął na dobre.

— Przepraszam — powiedział Mikehill — ale topią się opony.

Generał spojrzął i jego ręka automatycznie sięgnęła po pistolet. Potem ryknął:

— Uciekaj! Wyskakuj! Nie dotykaj tego świństwa! — Twarz szofera zbieleła. Szybko wspiął się na samochód i szczęśliwie zeskoczył na ziemię.

W zupełnej ciszy wszyscy patrzyli na jeepa. Najpierw stopiły się opony, potem błotniki, karoseria...

Na końcu powoli zniknęła antena. Generał cicho zaklął i rozkazał szoferowi:

— Idź do kolumny i wracaj z granatami i dynamitem.

Teraz jakby się zbudziła. Całe ciało domagało się pożywienia, coraz więcej i więcej. Rosła. Każdy przedmiot, który pojawiał się na jej powierzchni, stawał się jej zdobyczą.

Wybuch energii przy samej powierzchni, potem drugi i jeszcze jeden, i jeszcze... Chciwie, z wdzięcznością pochłonęła te nowe siły i przemieniła je w masę. Małeńkie metalowe odłamki uderzyły powierzchnię, a ona wessała ich energię kinetyczną zmieniając ją w masę. Jeszcze kilka wybuchów... Jej komórki krzyczały z głodu. Z niepokojem i nadzieją czekała na dalsze wybuchy.

Potem znów wzięła się za ziemię i światło słoneczne. Jadła, rosła i rozpełzała się we wszystkie strony.

Z wierzchołka niewysokiego wzgórza Mikehill przyglądał się, jak runął jego własny dom. Pijawka, o średnicy już kilkuset metrów, pochłaniała właśnie dach.

„Żegnaj, mój domku” — pomyślał wspominając dziesięć letnich sezonów tu spędzonych.

Teraz pijawka przypominała ogromne pole zastygłej lawy. Szare, mroczne piętno na zielonej trawie.

— Przepraszam pana — z tyłu, tuż za nim, stał żołnierz — generał O'Donnell chce pana widzieć.

— Proszę bardzo. — Mikehill rzucił ostatnie spojrzenie w stronę domu i poszedł za żołnierzem przejściem wytyczonym dokoła pijawki. Na całej jego długości stali żołnierze, nie dopuszczając reporterów i ciekawskich.

W namiocie przy małym stoliku siedział generał O'Donnell. Gestem poprosił Mikehilla, by usiadł.

— Polecono mi uwolnić nas od tej pijawki — powiedział. Mikehill w milczeniu skinął głową. Kiedy sprawy naukowe powierza się wojsku, komentarze stają się zbyteczne.

— Jest pan profesorem, czy tak?

— Antropologii.

— Wspaniale. Chciałbym, aby pan tu został w charakterze konsultanta. Bardzo sobie cenię pana spostrzeżenia dotyczące... — uśmiechnął się — wroga.

— Chętnie zostanę — powiedział profesor Mikehill — ale wam bardziej potrzebny jest fizyk lub biochemik.

— Nie mam zamiaru urządzać tu wojny między naukowcami — generał O'Donnell nachmurzył się patrząc na koniec papierosa. — Proszę mnie źle nie zrozumieć. Z dużym szacunkiem odnoszę się do nauki. Sam jestem, jeśli można się tak wyrazić, uczonym żołnierzem. Obecnie nie można wygrać wojny bez nauki. Ale nie chcę, aby tłum długowłosych kręcił się tu miesiącami i powstrzymywał nas od działania. Moim obowiązkiem jest zniszczyć ją. Jakimkolwiek sposobem i jak najszybciej.

— Myślę, że to nie będzie takie proste — rzekł Mikehill.

— Właśnie dlatego potrzebuję pana. Niech mi pan wyjaśni, dlaczego to nie jest proste, a już ja wymyślę, jak się z nią uporać.

— O ile wiem, pijawka jest ograniczoną przetwornicą energii w masę. To przeobrażenie jest nadzwyczaj efektywne. Daje się zauważyć dwa cykle działania. Najpierw masa przekształca się w energię, a potem energia w masę własnego już ciała. Ale ta przetwornica potrafi też od razu przekształcać energię w masę ciała. Natomiast jak to się dzieje, nie mam pojęcia.

— Krótko mówiąc, musimy użyć przeciw niej czegoś mocnego — przerwał O'Donnell. —

Świetnie. Już my coś znajdziemy.

— Myślę, że źle mnie pan zrozumiał — powiedział profesor. — Pijawka odżywia się również energią. Przyswaja sobie i wykorzystuje siłę każdej broni.

— A co się stanie — spytał O'Donnell — jeśli ona ciągle będzie jeść?

— Nie wiem, do jakich rozmiarów może się rozrosnąć — odrzekł Mikehill. — Jej wzrost prawdopodobnie może być ograniczony tylko przez niedostatek pożywienia.

— Chce pan powiedzieć, że ona może tak rosnąć w nieskończoność.

— Tak, może rozrastać się dotąd, dopóki będzie miała czym się odżywiać.

— No cóż, to prawdziwy pojedynek — powiedział O'Donnell. — A nie można rozprawić się z nią siłą?

— Okazuje się, że nie. Najlepiej będzie zaprosić tu fizyków i biologów. Oni z pewnością znajdą jakąś radę. — Generał wyjął z ust papierosa:

— Profesorze, ja nie mogę tracić czasu na spory uczonych. Postępuję według własnej maksymy. Mogę ją panu wyłożyć — zrobił wieloznaczną pauzę. — Nic nie może oprzeć się sile! Użyjmy dostatecznej siły, a wszystko przed nią ustąpi! Wszystko! Myśli pan, że pijawka oprze się bombie atomowej?

— Niewykluczone, że można ją zniszczyć energią — ze zwątpieniem w głosie rzekł Mikehill. W tej chwili zrozumiał, dlaczego jego osoba odpowiadała generałowi.

Po długiej przerwie znów miała mnóstwo pożywienia. Wibracja, wybuch, jakaż cudowna różnorodność! Wszystko pochłaniała. Ale strawa przychodziła zbyt wolno. Głodne, dopiero narodzone komórki żądały jeszcze i jeszcze... Szybciej! — domagało się wiecznie głodne ciało.

Teraz, kiedy urosła, jej zmysły się wyostrzyły. Wyczuła, że niedaleko stąd, w jednym miejscu zgromadzono ogromne ilości pożywienia. Pijawka lekko wzniosła się do góry, przeleciała kawałek drogi i runęła na łakomy kąsek.

— Idioci! — generał O'Donnell był wściekły. — Po diabła ulegli panice?

Drżącymi krokami przemierzał ziemię obok nowego namiotu, oddalonego o trzy mile od miejsca, na którym stał stary.

Pijawka urosła do dwóch mil średnicy. Trzeba było ewakuować trzy farmy.

Profesor Mikehill mimo wszystko nie mógł uwolnić się od koszmarnego obrazu. Ta kreatura przyjęła zmasowane uderzenie wszelkiego rodzaju broni, a potem jej ciało nieoczekiwanie uniosło się w powietrze. Na chwilę przesłoniło słońce, zawisło nad North Hill, a potem runęło w dół. Żołnierze w North Hill mogli się uratować, ale przecież nie ruszyli się nawet z miejsca. Utraciwszy w operacji „Pijawka” siedemdziesięciu żołnierzy, generał O’Donnell poprosił o pozwolenie użycia bomby atomowej. Z Waszyngtonu przyjechała grupa uczonych, aby zorientować się w sytuacji.

— Ci eksperci ciągle jeszcze nie podjęli decyzji? — O’Donnell rozdrażniony zatrzymał się przed namiotem. — Trochę za długo się naradzają.

— Trudno jest podjąć decyzję — powiedział Mikehill. — Fizycy uważają, że jest to żywe ciało, a biologowie znowu są zdania, że na wszystkie pytania powinni odpowiedzieć chemicy. Nikt nie jest specjalistą w tej materii.

— To jest problem wojskowy — zduszonym głosem rzekł generał. — Mnie nie interesuje, co to jest. Ja chcę wiedzieć, jak to można zniszczyć. Najlepiej, aby pozwolili użyć bomby atomowej.

Profesor Mikehill robił jakieś obliczenia. Obliczając szybkość, z jaką pijawka pochłaniała energię — masę, jej rozmiary i możliwości rozrastania się, doszedł do wniosku, że bomba atomowa mogłaby ją pokonać. Ale musiałyby to nastąpić jak najszybciej.

Pijawka rozrastała się w postępie geometrycznym. W ciągu paru miesięcy byłaby w stanie pokryć powierzchnię Stanów Zjednoczonych.

— Przez cały tydzień starałem się o pozwolenie — huczał O’Donnell. — I dostanę je, ale muszę czekać, aż te osły dogadają się między sobą. — Zatrzymał się i zwrócił do Mikehilla. — Zniszczę tę pijawkę. Rozniosę ją w drobny mak. Tu już nie tylko chodzi o bezpieczeństwo. To dotyczy mnie osobiście.

Z namiotu wyszła grupa zmęczonych ludzi. Na przedzie szedł biolog Alenson.

— Więc — powiedział generał — wyjaśniliście, co to takiego?

— Jeszcze moment — ze złością odpowiedział Alenson. — No, a wymyśliliście jakąś naukową metodę zniszczenia jej?

— O to nietrudno — sucho stwierdził Moriarty. I praktycznie pokrywa się ona z pańską. Pijawka najprawdopodobniej jest pochodzenia kosmicznego. W każdym razie możemy się cieszyć, że nie wpadła do oceanu. Ziemia pod nami zostałaby pożarta wcześniej, niż połapalibyśmy się, w czym rzecz...

Wnioski komisji złożonej z kilku uczonych zostały przedłożone komisji złożonej z innych uczonych. Trwało to kilka dni. Następnie Waszyngton chciał się upewnić, czy nie ma innego wyjścia. I czy konieczne jest użycie bomb atomowych w centrum Nowego Jorku. Potem trzeba było ewakuować ludzi. Na to też stracono sporo czasu.

W końcu tęponosa rakieta ukazała się nad miastem. Ciemnoszara narośl przypominająca jątrzącą

się ranę pokryła już dolinę i końcami sięgnęła wierzchołków najbliższych gór.

Pierwsza bomba poleciała w dół.

Oszalaniający wybuch!

Wszystko dokoła napełniło się pozywieniem, ale pojawiło się niebezpieczeństwo przesytu. Energia płynęła nieprzerwanym potokiem, przenikając na wskroś pijawkę, która niesamowicie rosła.

Następne porcje były nadzwyczaj smakowite i z nimi dała sobie radę.

Pijawka rosła, jadła i znowu rosła.

Nowy obóz rozbito o dziesięć mil od południowego krańca pijawki, w opustoszałym miasteczku. Obecnie jej średnica wynosiła sześćdziesiąt mil. Ciągle rosła.

Dwustumilowa strefa wokół pijawki została ewakuowana. Generałowi O'Donnellowi pozwolono użyć bomby wodorowej. Za zgodą uczonych.

— Dlaczego tak zwlekają — kipiał generał. — Pijawkę trzeba natychmiast roznieść na kawałki. Nad czym oni radzą?

— Obawiają się reakcji łańcuchowej — odpowiedział Mikehill — którą może wywołać na Ziemi lub w atmosferze taką koncentracją bomb jądrowych. Mogą nastąpić i inne niebezpieczne zjawiska.

— To może mam ją zaatakować bagnetami? — pogardliwie powiedział O'Donnell.

Mikehill westchnął w milczeniu i usiadł w fotelu. Był przekonany, że każde przedsięwzięcie już w założeniu jest bezsensowne.

Eksperci poprzestali na jednym kierunku działania. Sytuacja stała się tak groźna, że nie usiłowano szukać innych dróg wyjścia prócz próby siły. A pijawce właśnie tego było potrzeba.

Do namiotu generała wszedł Alenson, a za nim jeszcze sześciu uczonych.

— Tak więc mamy znakomitą okazję rozłupać naszą planetę na dwie części — powiedział.

— Wojna to wojna — krótko przeciął O'Donnell. — Więc zaczynamy?

I nagle Mikehill zrozumiał, że O'Donnella wcale nie interesuje, co stanie się z Ziemią. Interesowało go tylko to, że dokona tak niebywałego wybuchu, jakiego jeszcze nie dokonał żaden człowiek.

— Chwileczkę — powiedział Alenson. — Niech każdy wypowie swoje własne zdanie.

— Proszę pamiętać — syknął generał — że według waszych obliczeń, pijawce co godzinę przybywa dwadzieścia stóp.

— I szybkość ta wzrasta z każdą godziną — dodał Alenson — ale decyzja, jaką musimy podjąć, jest zbyt poważna.

W tym momencie Mikehill pomyślał o gromach i błyskawicach Zeusa. Przydałoby się coś takiego. Albo... siła Herkulesa. Albo... Nieoczekiwana myśl przyszła mu do głowy.

— Panowie, wydaje mi się, że znalazłem inne wyjście. Słyszeliście kiedykolwiek o Anteuszu?

Im więcej jadła, tym szybciej rosła i była coraz bardziej głodna. Wiele rzeczy ożyło w jej pamięci. Kiedyś zjadła planetę. Potem skierowała się ku najbliższej gwiazdzie i pożarła ją, nasyciwszy komórki energią potrzebną do dalszej drogi. Ale w pobliżu nie było więcej pożywienia, a następna gwiazda błyszczała nieskończenie daleko.

Masa przekształciła się w energię lotu i została rozproszona na dalekiej drodze.

Stała się martwym niewielkim pyłkiem lecącym bez celu wśród gwiazd.

Tak było. Teraz wydawało się jej, że przypomina też sobie o wiele wcześniejsze własne dzieje. Czasy, kiedy zjadała całe gwiazdne korytarze, rozrastała się, pęczniała. A gwiazdy umykały w popłochu i zbijały się w galaktyki i konstelacje.

Czyżby to jej się przyśniło?

Stopniowo pożerała Ziemię, zdumiewając się znikaniem tej wspaniałej strawy. I oto znowu pojawiło się pożywienie tuż obok, ale tym razem nad nią.

Czekała, ale było nieosiągalne. Wyraźnie czuła, jakie jest czyste i sycące.

Dlaczego nie spada?

Wreszcie pijawka uniosła się całą swą masą i sama pomknęła w jego kierunku.

Pożywienie oddalało się od powierzchni Ziemi. Koszmarnie drażniący, słodki kąsek ulatywał w kosmos, a ona w ślad za nim...

O'Donnell roznosił uczonym szampana. Oficjalny obiad miał odbyć się później, ale już należało jakoś uczcić zwycięstwo.

— Proponuję wypić — uroczyście powiedział generał. Wszyscy podnieśli kieliszki. Nie uczynił tego tylko porucznik obsługujący pulpit kierujący lotem rakiety. — Za profesora Mikehilla, za jego pomysł... jak go on nazwał?

— Anteusz. — Mikehill z wolna popijał szampana i mimo wszystko nie był zachwycony. — Anteusz, zrodzony z Gei, bogini Ziemi, i Posejdona, boga morza. Niepokonany bohater. Za każdym razem, kiedy Herkules rzucał go o Ziemię, on znów podnosił się, pełen nowych sił, których nabierał przez kontakt z nią. Dopóki Herkules nie oderwał go od matki i nie uniósł w powietrze.

Moriarty zamruczał coś pod nosem.

Szybko przesuwiał suwak logarytmiczny i coś zapisywał. Alenson pił w milczeniu i też wyglądał niewesoło.

— Dlaczego jesteście tacy naburmuszeni? — O'Donnell ciągle nalewał. — Potem porachujecie. Teraz wypijmy — zwrócił się do operatora. — Jak tam wyglądają sprawy?

Myśli Mikehilla krążyły wokół rakiety. Pojazd zdalnie kierowany był cały wyładowany materiałem radioaktywnym. Wisiał nad pijawką, dopóki nie poleciała w ślad za nim, łapiąc się na przynętę. Anteusz oderwał się od matki Ziemi i zaczął tracić swą siłę. Operator tak prowadził kosmiczny pojazd, aby przez cały czas znajdował się w pobliżu pijawki, ale by ona nie mogła go dosięgnąć.

Pojazd i pijawka leciały ku Słońcu.

— Świetnie, sir — zaraportował porucznik — znajdują się teraz wewnątrz orbity Merkurego.

— Panowie — powiedział generał — przysięgam sobie zniszczyć tę sztukę. Innym, prostszym sposobem, ale to nieważne. Najważniejsze zniszczyć. Zagłada to niekiedy święta rzecz. Tak jak w tym wypadku, panowie. I jestem szczęśliwy.

— Zawróćcie statek! — krzyknął nagle Moriarty. Był blady jak śnieg. — Zawróćcie tę przeklętą raketę! — Potrząsnął im przed oczami plikiem pokrytych cyframi kartek. Łatwo było zrozumieć te cyfry. Oznaczały szybkość wzrostu pijawki, szybkość zużywania przez nią energii idącej od Słońca w miarę zbliżania się do niego.

— Ona zeżre Słońce — cicho powiedział Moriarty. Pokój zamienił się w piekło. Wszyscy starali się wytłumaczyć O'Donnellowi, w czym rzecz. Potem sam Moriarty. W końcu Alenson.

— Ona rozrasta się tak szybko, a leci z taką małą prędkością i pochłania tyle energii, że kiedy dotrze do Słońca, jej rozmiary będą na tyle wielkie, że rozprawi się z nim. O'Donnell zwrócił się do operatora i rozkazał:

— Zawróćcie ich!

Wszyscy w największej ciszy zastygli przed ekranem radaru.



Pożywienie nagle zoczyło z jej drogi i umknęło w bok. Przed nią znajdowało się ogromne źródło strawy, ale jeszcze było nieosiągalne. Inne pożywienie natomiast było tuż przy niej, niesamowicie blisko. A więc bliższe czy dalsze?

Całe ciało domagało się jedzenia: teraz, natychmiast... Ruszyła ku bliższej porcji, oddalając się wraz z nią od Słońca. Na tamto jeszcze przyjdzie czas.

Odetchnęli z ulgą. Niebezpieczeństwo było tak blisko! — W jakiej części nieba znajdują się teraz? — spytał generał.

— Myślę, że mogę pokazać — rzekł astronom. — Gdzieś w tym miejscu — wskazał ręką, podchodząc do otwartych drzwi.

— Wspaniale, poruczniku! — O'Donnell zwrócił się do operatora. — Do dzieła!

Uczeni osłupieli. Operator pomanewrował nad pulpitem i kropka zaczęła doganiać punkcik.

— Stój pan! — ryknął generał. Jego rozkazujący głos zatrzymał Mikehilla, który ruszył w stronę pulpitu. — Wiem, co robię, został zbudowany specjalnie w tym celu. Kropka na ekranie dogoniła punkcik.

— Przysięgam sobie zniszczyć tę pijawkę — powiedział O'Donnell. — Nigdy nie będziemy bezpieczni, dopóki ona żyje — uśmiechnął się chytrze. — Może popatrzymy w niebo?

Generał skierował się do drzwi. W milczeniu poszli za nim.

— Nacisnąć guzik, poruczniku!

Operator wypełnił rozkaz. Wszyscy czekali w milczeniu. Na niebie zawisła świecąca gwiazda. Jej nagły blask rozświetlił mrok, potem zaczęła powoli gasnąć.

— Co pan zrobił? — wykrztusił Mikehill.

— W rakiecie były bomby wodorowe — uroczystym głosem wyjaśnił O'Donnell. — No jak, jest tam coś jeszcze na ekranie, poruczniku?

— Ani pyłku, sir.

— Panowie — powiedział generał — spotkałem wroga i zwyciężyłem go. Napijmy się szampana, panowie. Mamy powód!

Mikehill poczuł nagle atak duszności.

Pijawką wstrząsnął straszny strumień energii. Nie mogła tyle wchłonąć. Przez ułamek sekundy jej komórki drgały, potem przesycały się i rozsypały po całym niebie.

Była zniszczona, starta na proch, rozdrobniona na miliony cząstek, które rozpadały się z kolei na miliony innych.

Miliardy zarodników rozleciały się na wszystkie strony. I wszystkie żądały pożywienia...

*przekład: Jolanta Grytner — Łukasiewicz*

*Disposal Service*

# Agencja uwalniania od kłopotów

Żaden interesant — naturalnie z wyjątkiem osób wysoko postawionych — nie mógł ominąć sekretariatu, gdyż M. Ferguson przyjmował jedynie po uprzednim umówieniu wizyty. Jego czas liczył się na wagę złota i musiał go chronić.

Jednakże miss Dale, jego sekretarka, była osobą młodą i łatwo było jej zaimponować. A interesant był mężczyzną w wieku budzącym uszanowanie. Ubrany w garnitur z angielskiego tweedu o kroju bardzo konserwatywnym, używał laski o złotej gałce i wytwornych wizytówek. Miss Dale, sądząc, że musi to być ktoś ważny, skierowała go do biura M. Fergusona.

— Dzień dobry, drogi panie — powiedział interesant, skoro tylko miss Dale zamknęła za nim drzwi. — Pozwoli pan, że się przedstawię: Esmond z Agencji Uwalniania od Kłopotów.

Wręczył Fergusonowi swą kartę.

— Hm, hm! — mruknął Ferguson, niezadowolony z niedopatrzenia swej sekretarki. — Z Agencji Uwalniania od Kłopotów. Esmond, powiada pan? Przykro mi, ale nie mam w tej chwili żadnych kłopotów, od których pragnąłbym się uwolnić.

Wstał, żeby uciąć rozmowę.

— Absolutnie żadnych, jest pan tego pewien? — nastawał pan Esmond.

— Absolutnie. Dziękuję, że mnie pan odwiedził...

— Czy mam przez to rozumieć, że pod żadnym względem nie uskarża się pan na ludzi, którzy pana otaczają?

— He? A cóż to pana obchodzi?

— Ależ panie Ferguson, to bezpośrednio obchodzi Agencję Uwalniania od Kłopotów.

— Kpi pan sobie ze mnie?

— Bynajmniej — odparł Esmond z lekkim zdziwieniem. — Chce pan może powiedzieć — rzekł Ferguson ze śmiechem — że wy „załatwiacie” ludzi?

— Naturalnie. Niestety, nie mogę panu okazać żadnych referencji, gdyż staramy się unikać wszelkiej reklamy. Ale mogę pana zapewnić, że nasza firma jest stara i szanowana.

Ferguson obserwował niskiego, schludnego i wypielęgowanego mężczyznę. Jakże ma wobec niego zająć stanowisko? To był z pewnością jakiś żart. Jasne jak słońce. To musiał być żart.

— A co robicie z ludźmi, których... zabieracie? — spytał jowialnym tonem.

— To już nasza sprawa — odparł Esmond. — Dla klienta oni znikają.

Ferguson wstał.

— Świetnie, panie Esmond. Zechce mi pan teraz powiedzieć, po co pan tu przyszedł?

— Właśnie panu to mówię.

— Ależ, panie. Nie biorę tego poważnie. Gdybym panu wierzył choć przez chwilę, powinienem był wezwać policję... Esmond wstał i westchnął.

— A zatem dochodzę do wniosku, że nie pragnie pan skorzystać z naszych usług. Nie uskarża się pan ani na przyjaciół, ani na rodziców, ani na żonę.

— Na żonę? A cóż pan wie o mojej żonie?

— Nic a nic, panie Ferguson.

— Rozmawiał pan z naszymi sąsiadami? Z takich rozmów nic nie wynika, absolutnie nic.

— Panie Ferguson, nie mam pojęcia o pańskim pożyciu małżeńskim — zapewnił Esmond i usiadł z powrotem.

— Więc dlaczego mówił pan o mojej żonie?

— Wiemy z doświadczenia, że instytucja małżeńska jest głównym źródłem naszych dochodów.

— A więc nasze małżeństwo jest zupełnie zgodne. Rozumiemy się z moją żoną doskonale.

— Czyli że nie potrzebuje pan usług Agencji Uwalniania od Kłopotów — zakończył Esmond biorąc laskę.

— Proszę chwilę zaczekać. — Ferguson przechadzał się po biurze, z rękami założonymi do tyłu. — Pan wie, że nie wierzę ani jednemu pańskiemu słowu. Ani jednemu. Ale przypuśćmy na chwilę, że mówi pan poważnie... Tak, przypuśćmy... Jaka byłaby... procedura... gdybym... gdybym zażądał...

— Żadna, poza pańskim ustnym zezwoleniem.

— A rachunek?

— Płatny na końcu. Nie żądamy żadnej zaliczki.

— Pytam o to tak... tak z ciekawości — żywo dodał Ferguson. Zawahał się. — Czy to bolesne?

— Ani odrobinę.

Ferguson znów zaczął spacerować po pokoju.

— Moja żona i ja rozumiemy się bardzo dobrze — powiedział. — Jesteśmy małżeństwem już od siedemnastu lat. Naturalnie nie można się dziwić pewnym tarciom w ciągu tak długiego pożycia. Dziwne byłoby, gdyby było inaczej.

Twarz Esmonda pozostała zupełnie obojętna.

— Człowiek uczy się z czasem iść na ustępstwa — ciągnął Ferguson. — Ale ja doszedłem do wieku, w którym kaprysy mnie... mnie...

— Rozumiem doskonale — rzekł Esmond.

— Chcę powiedzieć — podjął Ferguson — że moja żona bywa czasami trudna we współżyciu. Z pewnością. Jest agresywna... Uparta... Przypuszczam, że musiano panu o tym opowiadać?

— Absolutnie nie.

— Na pewno panu o tym mówiono! Musiał być przecież jakiś szczególny powód, że pan do mnie przyszedł!

Esmond uniósł ramiona.

— Jakkolwiek by było — rzekł Ferguson — doszedłem do wieku, w którym można marzyć o innym ułożeniu sobie życia. Przypuśćmy, że nie byłbym żonaty. Przypuśćmy, że chciałbym się związać — powiedzmy — z moją sekretarką. To mogłoby być miłe.

— Co najmniej miłe — poprawił Esmond.

— Właśnie. Nie byłoby zresztą trwałe. Brakowałoby temu solidnej podstawy moralnej, na której musi się budować każde przedsięwzięcie, jeżeli ma być przedsięwzięciem udanym.

— Byłoby to tylko czymś bardzo miłym — powtórzył Esmond.

— Właśnie. Miss Dale jest uroczą młodą kobietą. Nikt nie może temu zaprzeczyć. Ma równe usposobienie, przyjemną naturę, jest wesoła. Przyznaję to...

Esmond uśmiechnął się uprzejmie, wstał i skierował się ku drzwiom.

— Jak mógłbym pana odnaleźć? — spytał nagle Ferguson. — Ma pan moją kartę. Do piątej zastanie mnie pan pod tym numerem. Może do tego czasu postara się pan zdecydować. Nasz czas jest cenny i musimy przestrzegać jego rozkładu.

— To zrozumiałe. — Ferguson uśmiechnął się z lekka. — Nie wierzę w ani jedno słowo z całej tej historii. Nie powiedział mi pan nawet, jakie są wasze warunki.

— Przystępne, zapewniam pana. Zwłaszcza dla człowieka na pańskim stanowisku.

— I mógłbym twierdzić, że nigdy pana nie znałem, nigdy z panem nie rozmawiałem i tak dalej?

— Naturalnie.

— I zastanę pana pod tym numerem?

— Do piątej. Do widzenia, panie Ferguson.

Ferguson zauważył, że drżą mu ręce. Rozmowa z Esmondem była męcząca. Musiał natychmiast zebrać myśli.

Ale to nie było łatwe. Nachylał się nad papierami, zmuszał się do pisania, lecz słowo po słowie przypominał sobie to, o czym mówił Esmond.

Agencja Uwalniania od Kłopotów musiała słyszeć o drobnych wadach jego żony. Esmond mówił przecież, że była agresywna, kłótniwa, uparta. Ferguson mógł tylko uznać dokładność tych twierdzeń, jakkolwiek byłyby niemiłe. Nawet bezstronny obserwator by to zauważył.

Powrócił do pracy. Ale zaraz weszła miss Dale z pocztą do podpisu i Ferguson raz jeszcze zauważył, że była naprawdę czarująca.

— To wszystko, panie Ferguson?

— Uhm! Tak, tak, na razie nie jest mi pani już potrzebna. Jeszcze długo po jej wyjściu wpatrywał się w drzwi.

Nie mógł dłużej pracować w tych warunkach. Postanowił natychmiast wrócić do domu.

— Miss Dale — powiedział, wkładając płaszcz. — Muszę teraz wyjść. Ale jest dużo zaległej pracy. Czy mogłaby pani w tym tygodniu zostać tutaj ze mną przez jeden lub dwa wieczory?

— Naturalnie, panie Ferguson.

— Mam nadzieję, że nie zakłóci to pani prywatnego życia.

— Ależ bynajmniej, proszę pana.

— Spróbujemy... Spróbujemy jakoś to pani wynagrodzić... Do jutra!

Wybiegł z biura z wypiekami na twarzy. Gdy wrócił do domu, żona nakrywała do stołu. Pani Ferguson była małą, niepozorną kobietką o oczach otoczonych tysiącem zmarszczek. Zdziwiła się na jego widok.

— Już wróciłeś! — powiedziała.

— Czy to ci nie odpowiada? — spytał opryskliwie, co dla niego samego było zdumiewające.

— Skądże...

— Wolalabyś może, żebym umarł przy pracy...?

— Ależ ja przecież nic nie powiedziałam...

— Zrób mi tę przyjemność i nie kłóć się ze mną. Choć ten jeden raz nie bądź uparta.

— Nie jestem uparta! — krzyknęła.

— Pójdę się trochę położyć. Wszedł do swego pokoju i znalazł się twarzą w twarz z telefonem. Nie było wątpliwości. Wszystko, o czym mówił Esmond, to prawda.

Spojrzał na zegarek i zdziwił się: już za kwadrans piąta. Zaczął spacerować wokół telefonu. Oglądał wizytówkę Esmonda i nie opuszczała go wizja ślicznej i uroczej miss Dale.

Ujął słuchawkę.

— Agencja Uwalniania od Kłopotów. Esmond przy aparacie.

— Tu mówi Ferguson.

— Tak, proszę pana, co pan postanowił?

— Ja właśnie...

Ferguson kurczowo ścisnął słuchawkę. Z pewnością miał prawo tak postąpić. Ale przecież już od siedemnastu lat byli małżeństwem. Siedemnaście lat! Spędzili przecież razem także wiele pięknych chwil. Czy mógł?

— Cóż pan postanowił, panie Ferguson? — powtórzył Esmond.

— Ja... ja... nie! Nie potrzebuję waszych usług! — krzyknął Ferguson.

— Czy jest pan tego pewien?

— Kategorycznie! Takich jak wy powinno się wtrącać do więzienia. Żegnam! — Powiesił słuchawkę i natychmiast poczuł się wolny od wielkiego ciężaru. Zszedł na dół.

Żona stawiała na stół baranie kotlety, potrawę, której nie znosił. Ale cóż to miało za znaczenie. Łatwo było mu nie zwracać uwagi na te drobne przykrości.

Zadzwonił dzwonek.

— To pewnie ktoś z pralni — powiedziała pani Ferguson, równocześnie przyprawiając sałatę. — Może otworzysz?

— Oczywiście, natychmiast.

Ferguson promieniejąc odzyskaną szlachetnością, pobiegł do drzwi.

Stało tam dwóch ludzi w mundurach, dźwigających wielki płócienny worek.

— Z pralni? — spytał Ferguson.

— Agencja Uwalniania od Kłopotów, proszę pana — odparł jeden z nich.

— Ależ ja właśnie powiedziałem, że...

Dwaj mężczyźni rzucili się na niego i ze zręcznością, na jaką pozwala długi trening, wcisnęli go do worka.

— Nie macie prawa!!! Wy... — wrzeszczał Ferguson. Uczuł, że worek zawiązano i wyniesiono go na ulicę. Drzwi samochodu były otwarte. Położono go na tylnym siedzeniu.

Rozpoznał głos swojej żony:

— Wszystko poszło dobrze?

— Tak jest, proszę pani. Zmienił się nam trochę rozkład zajęć i mogliśmy to dla pani załatwić jeszcze dziś.

— Dziękuję panom — odparła. — Było mi bardzo miło rozmawiać dziś po południu z panem Frenchem z waszej Agencji. Ale teraz muszę panów przeprosić. Obiad już prawie gotowy, a muszę jeszcze zatelefonować.

*przekład: TOP*

*The Academy*



# Ponad dziesięć, czyli Akademia

Sanimetr Cahil–Thomasa, seria IM—14 (model ręczny)

Spółka C–T ma zaszczyt przedstawić swój ostatni wzór sanimetru. Aparat ten, całkowicie obudowany, nadaje się do każdego pomieszczenia: sypialni, kuchni, przedpokoju. Jest to, we wszystkich szczegółach, odpowiednik naszego sanimetru wielkiego formatu, stosowanego w miejscach publicznych, autobusach, supermarketach itd. Jest to najtańszy i najdoskonalszy sanimetr, jaki dotąd wyprodukowaliśmy.

## 1. Działanie.

Po prawej stronie sanimetru znajduje się gałka. Należy nastawić ją na pozycję A i czekać kilka sekund, by aparat się nagrzał; następnie przesunąć na pozycję B — aparat zaczyna działać. Zaczekać, odczytać wyniki.

## 2. Odczytanie.

Na przodzie sanimetru, pod przezroczystym ekranem znajduje się linia prosta, oznaczona skalą od 0 do 10. Liczba, na której zatrzyma się czarna wskazówka, oznacza zgodnie z obowiązującymi normami stopień twego nastawienia psychicznego.

## 3. Objaśnienie wyniku od 0 do 3.

Jak na każdym sanimetrze, także i tu 0 oznacza punkt idealny. Znaczenie zera jest jednak raczej teoretyczne niż praktyczne. Dlatego w naszej cywilizacji normalność rozciąga się od 0 do 3. Wahania na tym odcinku uważane są za normalne.

## 4. Objaśnienie wyniku od 4 do 7.

Cyfry te określają strefę tolerancji. Osoby, które osiągnęły wynik w tym przedziale, winny natychmiast zwrócić się do psychoterapeuty.

## 5. Objaśnienie wyniku od 8 do 10.

Każdy osobnik osiągający ten wynik przedstawia poważne niebezpieczeństwo dla otoczenia. Osobnik taki bezwzględnie podlega ustawie nakazującej zgłoszenie swego wskaźnika i (podczas okresu zapobiegawczego) doprowadzenie go do poziomu 7. W razie niepowodzenia jednostka taka winna zwrócić się do Przeistoczenia Chirurgicznego lub dobrowolnie poddać się terapeutom Akademii.

## 6. Objaśnienie wyniku 10.

Na wysokości liczby 10 znajduje się czerwona kreska. Gdy jest przekroczona, należy natychmiast poddać się Przeistoczeniu Chirurgicznemu lub terapeutom z Akademii.

Uwaga!

Aparat nie stawia diagnozy, nie należy samemu wybierać terapii. Skala intensywności dotyczy tylko potencjału niebezpieczeństwa, jaką stanowi dany osobnik dla otoczenia. W sprawie dodatkowych informacji należy zwrócić się do swego psychoterapeuty.

Właściwe nastawienie psychiczne jest sprawą społeczną. Nasza cywilizacja opiera się na zdrowiu społeczeństwa, jednostkowej

odpowiedzialności oraz zabezpieczeniu status quo.

Zatem jeśli twój wynik przekracza cyfrę 3 — poddaj się leczeniu. Jeśli twój wynik przekracza 7 — musisz się leczyć. Jeśli twój wynik wynosi ponad 10 — nie czekaj, aż cię zaaresztują, poddaj się dobrowolnie w imię naszej cywilizacji.

Powodzenia SPÓŁKA C-T

Skończywszy śniadanie pan Feerman stwierdził, że powinien natychmiast udać się do pracy. Biorąc pod uwagę okoliczności, niepunktualność z jego strony mogła być interpretowana niekorzystnie.

Włożył więc elegancki szary kapelusz, poprawił krawat i skierował się w stronę drzwi. Ale już trzymając rękę na klamce rozmyślił się i postanowił zaczekać na pocztę.

Niezadowolony z siebie odwrócił się od drzwi i zaczął krążyć po pokoju. Doskonale wiedział, że nie powinien czekać na pocztę. Po co ten fałszywy pretekst? Czy nie mógł być szczery z samym sobą, szczególnie teraz, gdy ta szczerłość była tak potrzebna?

Speed, jego czarny spaniel, popatrzył na niego z zaciekawieniem.

Feerman pogłaskał psa po głowie. Chciał zapalić papierosa., ale zmienił zamiar. Znowu pogłaskał psa, który przeciągnął się leniwie. Potem naprawił lampę, którą należało naprawić. Wstrząsany dreszczami, zaczął się przechadzać.

Musiał z niechęcią przyznać, że nie chce opuścić mieszkania, że jest przerażony na samą myśl o tym, choć nie może znaleźć żadnego pretekstu. Usiłował przekonać siebie, że dziś jest zwykły dzień, jak wczoraj i przedwczoraj. Wystarczyło w to uwierzyć, naprawdę uwierzyć, by nic mu się nie przydarzyło.

Zresztą dlaczego miało mu się coś przydarzyć? Dzisiaj? Jego okres prewencyjny jeszcze się nie skończył. Wydawało mu się, że słyszy hałas, podbiegł i otworzył drzwi; mylił się, to jeszcze nie była poczta. Z drugiej strony hallu właścicielka także wyjrzała ze swego pokoju i rzuciła nieprzyjemne spojrzenie.

Zamykając drzwi spostrzegł, jak mu drżą ręce. Zdecydował się spojrzeć na sanimetr. Wszedł do sypialni, ale był tam domowy robot, zajęty zamiataniem śmieci na środku pokoju. Łóżko Feermana było już zasłane, łóżka jego żony nie trzeba było ścielić, gdyż od przeszło tygodnia nie było zajęte.

— Czy mam wyjść, proszę pana?

Feerman zawahał się chwilę. Wolał być sam uruchamiając sanimetr. No cóż, domowy robot nie był osobą w pełnym tego słowa znaczeniu. Nie miał osobowości, lecz tylko coś, co było do niej podobne. Zresztą jego obecność nie miała znaczenia, skoro wszystkie roboty zaopatrzone w sanimetry. Tego wymagały przepisy.

— Jak chcesz — odparł wreszcie Feerman.

Robot domowy wchłonął kupkę śmieci i bezgłośnie opuścił pokój. Feerman zbliżył się do sanimetru i włączył go. Ponury obserwował igłę, która mijała dwójkę, trójkę, szóstkę i siódmkę, by ostatecznie zatrzymać się na drugiej kresce za ósemką.

O dziesiątą część więcej niż wczoraj — o jedną dziesiątą bliżej do czerwonej linii. Wyłączył aparat i zapalił papierosa. Bez pośpiechu opuścił sypialnię, przygarbiony zmęczeniem, jakby dzień właśnie się skończył.

— Poczta, proszę pana — powiedział robot domowy sunąc w jego stronę.

Feerman łapczywie chwycił paczkę listów i szybko je przejrzał.

— Nie napisała — wyrwało mu się.

— Bardzo mi przykro — powiedział robot.

— Bardzo ci przykro? — Feerman spojrzał z ciekawością na maszynę. — Dlaczego?

— Interesuję się pańskim samopoczuciem — wyjaśnił robot. — Zupełnie jak Speed, oczywiście zachowując proporcje. List od pani Feerman poprawiłby pański nastrój. Żałujemy, że nie napisała.

Speed szczerknął cicho i przekrzywił łeb.

Sympatia maszyny i litość zwierzęcia — pomyślał Feerman. Był im jednak wdzięczny.

— Nie mogę mieć do niej żalu — powiedział. — Nie mogłem żądać, by ze mną została.

Czekał w nadziei, że robot powie, iż ona wróci, że wszystko się ułoży. Ale robot milczał, Speed też.

Feerman znowu przejrzał pocztę: było tam kilka rachunków, prospekt i mały sztywny list. Adres na odwrocie był adresem Akademii. Feerman otworzył go szybko. Była to kartka ze słowami:

Drogi panie Feerman, pańskie podanie o przyjęcie zostało rozpatrzone pozytywnie. Będziemy szczęśliwi przyjmując pana w obojętnym terminie. Łączymy wyrazy szacunku. Dyrekcja.

Feerman zerknął na kartkę. Nigdy nie pisał podania o przyjęcie do Akademii. Była to ostatnia rzecz na świecie, którą chciałby zrobić.

Feerman obracał kartkę w ręce. Wiedział o istnieniu Akademii. Trudno było o niej nie słyszeć, skoro tę obecność odczuwało się w każdej chwili. Ale w gruncie rzeczy niewiele wiedział o tej ważnej instytucji. Zastanawiająco mało...

— Co to jest Akademia? — zapytał.

— Wielki szary gmach na południowym zachodzie miasta łatwo dostępny środkami miejskiej komunikacji — odrzekł robot.

— Ale co to jest?

— Publiczny ośrodek terapii dostępny każdemu na zwykłą prośbę pisemną lub ustną — powiedział robot. — Jednocześnie Akademia jest rozwiązaniem dostępnym dla tych, których stan dochodzi do czerwonej kreski i którzy pragną uniknąć interwencji chirurgicznych.

Feermanowi wyrwało się pełne zniecierpliwienia westchnienie.

— To wszystko wiem. Ale jakie są ich metody? Jakiego rodzaju terapii używają?

— Nie wiem, proszę pana.

— Jaki jest procent wyzdrowień?

— Sto procent, proszę pana — rzekł żywo robot.

Feerman przypomniał sobie nagle coś, co wydało mu się dziwne.

— Nikt nigdy nie wychodzi z Akademii, prawda? — Nigdy nie sygnalizowano, że ktoś z niej wyszedł. — Dlaczego?

— Nie wiem, proszę pana.

Feerman zgniótł kartkę i rzucił ją do popielniczki. Wszystko to było dziwne. Akademia była tak znana, że nikt o niej nie myślał. Dla niego to zawsze było miejsce tajemnicze, dalekie, nierealne. Należało się tam udać przekroczywszy czerwoną linię, jeśli nie chciało się przejść lobotomii, topektotomii i tego wszystkiego, co oznaczało zniszczenie osobowości.

Ale oczywiście nikt nie brał pod uwagę możliwości przekroczenia dziesiątki. Już sam fakt myślenia o tym stanowiłby dowód zachwiania równowagi. A w tym przypadku jednostka nie była już zdolna rozpatrzyć alternatywy, która stawała przed nią.

Po raz pierwszy w życiu Feerman musiał przyznać, że niezbyt mu się to wszystko podoba. Należy przedsięwziąć pewne poszukiwania. Dlaczego nikt nigdy nie wychodzi z Akademii? Dlaczego nic nie wiadomo o jej metodach, jeśli leczenie zapewnia sto procent wyzdrowień?

— Może powinienem pójść do pracy — powiedział.

— Tak, proszę pana. Życzę powodzenia.

Speed zeskoczył z kanapy i odprowadził go do drzwi. Feerman schylił się, pogłaskał jego łeb.

Potem przeszedł szybko przez lożę dozorczyń i znalazł się na Sto Trzydziestej Ósmej Ulicy.

Miał prawie dwadzieścia minut spóźnienia. Wchodząc do gmachu, zapomniał pokazać świadectwo zdrowia kontrolującej maszynie.

Olbrzymi sanimetr zarejestrował jego stan. Igła przekroczyła cyfrę siedem i zapaliły się czerwone światła.

— Proszę pana, proszę pana! — ryknął głośnik. Przekroczył pan linię alarmową. Proszony jest pan o natychmiastowe skontaktowanie się z psychoterapią.

Feerman szybko wyciągnął zaświadczenie z portfela, ale niezycziwa maszyna ryczała dalej. W hallu ludzie przyglądali mu się niby dziwnemu zwierzęciu. Gońcy przystanęli zadowoleni z rozrywki, sekretarki zaczęły szeptać, a dwaj agenci policji sanitarnej wymienili znaczące spojrzenia.

Zmoczona potem koszula Feermana lepiła się do pleców. Oparł się chęci wybiegnięcia na ulicę i udało mu się skierować do windy. Była pełna i nie mógł wejść.

Doszedł piechotą na drugie piętro i dopiero tam wsiadł do windy. Znalazłszy się przed agencją Morgana, odzyskał spokój. Podał swój dowód sanimetrowi, który stał u drzwi, wytarł chustką czoło i wszedł.

Wszyscy w agencji wiedzieli już, co się zdarzyło. Feerman spostrzegł to po ich milczeniu, spuszczonej głowach. Szybko wszedł do swego gabinetu, zamknął drzwi i powiesił kapelusz.

Usiadł za biurkiem, trochę zadyszany i pełen nienawiści do sanimetrów. Chciałby roztrzaskać w kawałki wszystkie te piekielne maszyny! Wciąż czyhające, raniące uszy rykami dzwonek, by jeszcze bardziej zdenerwować...

Zapalił papierosa, po czym nakręcił numer Informacji Terapeutycznych.

— Czym mogę panu służyć? — zapytał miły głos kobiety.

— Chciałbym się dowiedzieć czegoś o Akademii.

— Akademia znajduje się...

— Wiem, gdzie się znajduje Akademia. Chcę wiedzieć, jakie metody stosuje.

— Nie podajemy tego rodzaju wiadomości — po krótkiej pauzie rzekła młoda kobieta.

— Ach...! Myślałem, że wszystkie terapie odpłatne są jawne dla potencjalnych pacjentów.

— Teoretycznie tak — odrzekła młoda kobieta. — Ale Akademia nie oferuje terapii odpłatnej w ścisłym sensie tego słowa. Leczenie wprawdzie kosztuje, ale biednych przyjmuje się darmo. Jest to instytucja częściowo subwencionowana. Znajduje się w pewnej mierze poza prawem. Ten szczególnie nieco status zdobyła dzięki stuprocentowym sukcesom, jakie uzyskuje.

— Gdzie mogę obejrzyć jakieś przypadki? Jeśli dobrze zrozumiałem, nikt nie wraca z Akademii.

Nareszcie ją mam — pomyślał. Przecież będzie musiała odpowiedzieć. Usłyszał szept z drugiej strony drutu. Nagle dosłyszał męski głos, wyraźny i silny:

— Przy aparacie naczelnik wydziału. Są jakieś trudności? — Słyszając ten ostry głos mężczyzny Feerman omal nie wypuścił słuchawki. Uczucie triumfu ulotniło się nagle. Wolałby nigdy nie dzwonić. Ale zmusił się do dalszej rozmowy.

— Chciałbym dowiedzieć się czegoś o Akademii.

— Akademia znajduje się...

— Nie, proszę o konkretne informacje — nalegał Feerman zrozpaczonym tonem.

— Na co są panu potrzebne? — zapytał naczelnik wydziału, a jego głos stał się nagle słodki i hipnotyzujący, jak głos psychoterapeuty.

— Pytam z ciekawości — odrzekł żywo Feerman. Ponieważ Akademia ofiaruje terapię dostępną mi, jeśli sobie tego życzę, chciałbym wiedzieć o niej nieco więcej, abym mógł ocenić...

— To bardzo możliwe — odrzekł naczelnik wydziału — ale niech się pan chwilę zastanowi. Pyta pan o to w pożytecznym i praktycznym zamiarze wzbogacenia swej wiedzy? By jeszcze lepiej włączyć się w społeczeństwo? Czy też pcha pana do tego chorobliwa ciekawość, wynikająca z jakiejś niepewności czy nawet poważniejszych zaburzeń?

— Pytam pana o to, bo...

— Jak brzmi pańskie nazwisko? — zapytał nagle naczelnik wydziału.

Feerman nie odpowiedział.

— Jaki jest pański wskaźnik sanimetryczny? — Feerman dalej nie odpowiadał.

Zastanawiał się, czy mieli już czas zorientować się, skąd telefonuje.

— Czy wątpi pan w życzliwość Akademii?

— Nie.

— Nie jest pan przekonany, że Akademia pracuje nad utrzymaniem istniejącego stanu, nad utrzymaniem status quo?

— Ależ jestem.

— W takim razie, czego pan sobie życzy? Dlaczego nie chce pan podać swego nazwiska i wskaźnika sanimetrycznego?

— Dziękuję — szepnął Feerman i odłożył słuchawkę. Zdawał sobie sprawę, że telefonowanie było

poważną omyłką. Gest, którego nigdy by nie zrobił normalny osobnik. Naczelnik wydziału dzięki swej praktyce zaraz to spostrzegł. I oczywiście naczelnik wydziału nie podałyby wiadomości człowiekowi o wyniku 8 lub nawet więcej. Feerman na przyszłość powinien pilnować najmniejszych gestów, analizować je, jeśli chce powrócić do normalności.

Zapukano do drzwi; nie czekając odpowiedzi wszedł pan Morgan. Jego szef Morgan był tęgim, silnie zbudowanym mężczyzną, o okrągłej mięsistej twarzy. Zbliżył się do Feermana, zastukał nerwowo palcem w biurko.

— Mówiono mi o pańskiej historii na dole — rzekł nie patrząc na Feermana. I znowu zastukał w biurko.

— Chwilowy wzrost — tłumaczył się odruchowo Feerman. — Zresztą mój wskaźnik zaczyna się obniżać. — Mówiąc te słowa starał się nie patrzeć na Morgana.

Obaj mężczyźni oglądali z zainteresowaniem sufit. Wreszcie ich spojrzenia się spotkały.

— Słuchaj, Feerman, nie chcę się mieszać w cudze sprawy — rzekł Morgan, siadając na brzegu biurka — ale do diabła, zdrowie jest sprawą wszystkich. Wszyscy siedzimy w tej samej galerze. Jak się to zaczęło?

Feerman wzruszył ramionami.

— Nie wiem, panie Morgan, wszystko szło jak najlepiej i nagle mój wskaźnik zaczął wzrastać.

— Czy odkryto jakieś zmiany mózgowe?

— Nie, zapewniono mnie, że nie mam żadnych zaburzeń organicznych.

— Próbował pan psychoterapii?

— Próbowałem wszystkiego: psychoanalizy, elektroterapii, metody Smitha, Ramesa, myśli odchyleniowej, dyferencjacji...

— I co powiedzieli? — zapytał Morgan. — Przecież musieli coś znaleźć.

— Prawie nic. Pewną wrodzoną niestałość, ukryte motywacje, niezdolność do przyjęcia status quo...

Morgan zaczął się przechadzać po biurze wzdłuż i wszerz z rękami założonymi z tyłu. Milczał długą chwilę, zagubiony w swych myślach. Wreszcie rzekł:

— Feerman, myślę, że potrzebuje pan wypoczynku.

— Wypoczynku?! — zawołał Feerman, natychmiast jeżąc się wewnątrz. — Chce pan powiedzieć, że mnie pan wyrzuca z pracy?

— Ależ nie, absolutnie nie, Feerman. Chcę być w porządku w tej grze. Ale nie jestem sam, mam cały zespół. — Szerokim gestem wskazał biuro, dom, miasto. — Nienormalność jest zaraźliwa. W biurze podczas ostatniego tygodnia wskaźniki wzrosły.

— I to niby z mojej winy.

— Musimy przestrzegać przepisów — rzekł Morgan. Będziemy panu nadal wypłacać pensję aż do... aż do chwili, gdy znajdzie pan jakieś rozwiązanie.

— Dziękuję — rzekł sucho Feerman. Wstał i włożył kapelusz.

Morgan położył mu rękę na ramieniu.

— Czy myślał pan już o Akademii? — zapytał ścisząc głos.

— Absolutnie nie ma o tym mowy — odparł Feerman, patrząc Morganowi prosto w oczy.

To dziwne uczucie zostać nagle bez pracy. Nie miał gdzie iść. Często nienawidził swej pracy; zdarzało mu się rano drzeć na myśl o nowym dniu w biurze, jaki go czekał. Teraz, gdy tego zabrakło, doceniał, jak ważna była dla niego praca, jakie stanowiła zabezpieczenie. Człowiek, który stracił pracę, jest niczym — pomyślał.

Szedł ulicą bez celu, próbując zebrać myśli. Nie mógł się skupić. Myśli wymykały się, a ich miejsce zajmowały mętne obrazy — obraz żony. Nie mógł ich nawet zatrzymać, gdyż miasto nagliło, nacierało nań twarzami, hałasem, zapachem, natrętnymi reklamami.

Jedyny plan działania, jaki mu przyszedł na myśl, był nie do przeprowadzenia. Uczucia podpowiadały mu:

Idź tam, gdzie cię nigdy nie znajdą. Ukryj się!

Lecz Feerman dobrze wiedział, że to nie jest rozwiązanie. Ucieczka była tylko podstępny wykrętem, jawnym dowodem jego nienormalności. Istotnie, przed kim miałby uciekać?

Przed najzdrowszym, najdoskonalszym społeczeństwem? Tylko wariat mógł wpaść na taki pomysł.

Feerman zaczął obserwować mijanych ludzi. Wydawali się szczęśliwi, przeniknięci uczuciem odpowiedzialności, gotowi poświęcić swoje namiętności na rzecz istniejącej trwałej prosperity. Był to idealny świat. Czemu więc nie umiał w nim żyć? Ale przecież z pewnością mógł! Tak czy inaczej postanowił się przystosować. Przynajmniej jeśli uda mu się znaleźć sposób.

Po kilku godzinach włóczęgi Feerman stwierdził, że jest głodny. Wszedł do pierwszej napotkanej restauracji. Usiadł przy stole. Przeglądając kartę mówił sobie, że musi się skupić. Musi wybrać kierunek działania, zdecydować.



— Hej, ty tam!

Podniósł głowę. Łysy kelner przyglądał mu się uporczywie.

— Kto?

— Wynoś się stąd!

— Dlaczego? — zapytał Feerman, próbując opanować panikę, jaka go ogarnęła.

— Tutaj nie podaje się wariatom — rzucił kelner. Pokazał palcem ścienny sanimetr, którego igła przekroczyła dziewiątkę. — Wynoś się!

— Mam zaświadczenie o...

— Wynoś się! — powtarzał kelner. — Prawo mówi, że nie muszę obsługiwać dziesiątki. To przeszkadza moim klientom. No, zabieraj się stąd!

Feerman poczuł rosnący gniew. Miał ochotę rozwalić błyszczącą czaszkę kelnera. Ale oczywiście w ten sposób zachowałby się tylko wariat. To niczego nie ułatwiało. Opanował się i wstał.

Znowu podjął swój spacer. Powstrzymał chęć biegnięcia, próbując myśleć logicznie. Ale zamęt w jego umyśle wzrastał. Zapadał już wieczór, umierał ze zmęczenia.

Znalazł się w jakiejś dalekiej wąskiej uliczce. W oknie drugiego piętra zobaczył wypisany ręcznie szyld: J. J. FLYNN, PSYCHOTERAPEUTA — MOŻE MOGĘ CI POMÓC.

Feerman próbował się uśmiechnąć, wspominając wszystkich sławnych specjalistów, których się radził. Poszedł dalej, ale potem wrócił i wszedł na schody prowadzące do gabinetu Flynna. Jeszcze raz był z siebie niezadowolony. Już w chwili, gdy ujrzał napis, wiedział, że tam pójdzie.

Gabinet Flynna był mały i ciasny. Na ścianach wisiały oderwane tapety, pokój był od dawna nie wietrzony. Flynn siedział za prostym biurkiem zatopiony w lekturze magazynu komiksów. Mały łysiejący mężczyzna w średnim wieku. Palił fajkę.

Feerman miał zamiar zacząć od początku. Zamiast tego wymknęło mu się:

— Proszę pana, mam kłopoty. Straciłem pracę, porzuciła mnie żona, byłem u wszystkich specjalistów w mieście. Czy może mi pan pomóc?

Flynn wyjął z ust fajkę i przyjrzał się Feermanowi. Obejrzał jego buty, kapelusz, ubranie, taksując go. Po czym rzekł:

— Co panu powiedzieli?

— Że właściwie nie mam żadnej szansy.

— Tak, oczywiście — rzekł szybko i ostro Flynn. — Ci faceci łatwo się zniechęcają. Ale zawsze jest nadzieja. Umysł jest złożonym i dziwnym mechanizmem i czasem...

Flynn zamilkł nagle, uśmiechając się ze smutkiem i ironią, wreszcie powiedział:

— Ach, po co to? Wygląda pan na skazanego, żadnych wątpliwości — wytrząsnął popiół z fajki i spojrzał w sufit — proszę pana, nic nie mogę zrobić dla pana. Pan o tym doskonale wie i ja także o tym wiem.

— Dziękuję za szczerość — rzekł Feerman nie ruszając się z miejsca.

— Mój zawodowy obowiązek — powiedział wolno Flynn — każe mi przypomnieć, że zawsze jest panu dostępna Akademia.

— Jak mogę tam pójść? Nic nie wiem o ich metodach.

— Nikt nic nie wie. A przecież podobno zawsze im się udaje.

— Więc dlaczego nikt stamtąd nie wychodzi?

— Wiem tyle samo co pan. Może nie mają ochoty. — Flynn zaciągnął się dymem. — Chce pan rady, niech pan mnie posłucha. Ma pan pieniądze?

— Trochę — odparł przezornie Feerman.

— Doskonale. Nie powinienem tego panu mówić, ale... Niech pan nie szuka ratunku u fachowców. Proszę wrócić do domu. Pośle pan robota po żywność na dziesięć czy piętnaście dni. Niech się pan ukrywa jakiś czas.

— Ukrywa? Czemu?

Flynn przesłał mu rozdrażnione spojrzenie.

— Bo niszczy się pan, próbując powrócić do normalności. Wszystko, co pan robi, tylko pogarsza sprawę. Widziałem setki takich przypadków. Niech pan nie myśli o normalnym i nienormalnym. Niech pan przeczeka spokojnie jakiś czas, odpoczywa, czyta, tyje. Potem zobaczy pan, jak sprawa wygląda.

— Proszę pana — rzekł Feerman. — Zdaje się, że ma pan rację. Jestem tego pewny! Ale nie wiem, czy nie byłoby lepiej, gdybym nie powracał do domu. Telefonowałem dzisiaj niepotrzebnie... Mam pieniądze. Czy nie mógłby mnie pan tutaj ukryć?

Flynn wstał i spojrzał z niepokojem przez okno.

— I tak za dużo powiedziałem. Może, gdybym był młodszy... Ale nie mogę! Dałem panu nedorzeczne rady! Nie chcę na dodatek popełnić nedorzecznego czynu.

— Przepraszam — rzekł Feerman. — Nie powinienem był pana prosić o to. Dziękuję panu. Szczerze dziękuję. — Wstał. — Ile jestem winien?

— Nic. I życzę powodzenia.

— Dziękuję.

Zbiegł szybko po schodach i przywołał taksówkę. Dziesięć minut później był w domu.

Na klatce schodowej było dziwnie cicho.

Drzwi dozorczyń były zamknięte.

Ale Feerman miał wrażenie, że zostały zamknięte tuż przed jego przyjściem i że dozorczyń stoi za nimi nad słuchując. Przyśpieszył kroku i wszedł do swego mieszkania. Tu także było nienormalnie cicho. Feerman poszedł do kuchni. Przed kuchenką stał robot domowy, w kącie spał Speed.

— Dobry wieczór panu — powiedział robot. — Jeśli chce pan usiąść, zaraz podam obiad.

Feerman zasiadł za stołem i przemyślał plan. Zostawało wiele szczegółów do załatwienia, ale doktor Flynn miał rację. Najlepsze, co mógł zrobić, to ukryć się, zniknąć z obiegu.

— Jutro wczesnym rankiem pójdziesz na zakupy — rzekł do robota.

— Tak, proszę pana — odrzekł robot, stawiając przed nim talerz z zupą.

— Będą nam potrzebne zapasy: chleb, mięso... Nie, kup raczej konserwy.

— Jakie konserwy? — zapytał robot.

— Obojętnie. I papierosy. Przede wszystkim pamiętaj o papierosach! Podaj mi sól!

Robot stał nieruchomy przed kuchenką, podczas gdy Speed cicho skomlił.

— Prosiłem o sól.

— Żałuję, proszę pana.

— Czego żałujesz? Podaj mi sól.

— Nie mogę pana słuchać.

— Co takiego?

— Przekroczył pan właśnie czerwoną linię.

Feerman patrzył na niego chwilę. Potem skierował się do sypialni i włączył sanimetr. Czarna igła wolno zbliżała się do czerwonej kreski, wahała się chwilę i przekroczyła ją.

Miał ponad dziesięć.

Ale jakie to miało znaczenie?

W końcu to tylko wynik na skali. To nie znaczy, że nagle stał się potworem. Przekona robota, wytłumaczy mu. Wyszedł pośpiesznie z pokoju.

— Słuchaj, robot...

Usłyszał odgłos zamykających się drzwi. Robot odszedł. Wrócił do jadalni i upadł na tapczan. Oczywiście robot odszedł. Miał wmontowany sanimetr. Jeśli pan przekraczał czerwoną linię, automatycznie musiał wrócić do fabryki. Dziesiątka nie ma prawa używać automatu.

A jednak nie wszystko było stracone. Posiadał jeszcze w domu jakieś zapasy. Usiłował się opanować. Może wystarczy na kilka dni.

— Speed!

Żadnego odgłosu.

— Speed, do nogi!

Wciąż nic.

Feerman przeszukał metodycznie mieszkanie, psa nie było, widocznie musiał odejść z robotem.

Zapukano do drzwi.

— Panie Feerman.

— Nie! — krzyknął.

— Panie Feerman, musi pan zaraz odejść.

Była to dozorczyń. Otworzył drzwi.

— Zaraz? A gdzie mam pójść?

— Wszystko mi jedno. Nie może pan tu zostać ani minuty, panie Feerman. Pan musi odejść.

Feerman poszedł po kapelusz, włożył go, rozejrzał się po mieszkaniu i wyszedł. Zostawił otwarte drzwi.

Na dworze czekało nań dwóch ludzi. W ciemności nie mógł rozróżnić ich twarzy.

— Gdzie chce pan pójść? — zapytał jeden z nich.

— Jakie są możliwości?

— Chirurgia lub Akademia.

— To Akademia.

Wepchnęli go do wozu, który natychmiast ruszył. Opadł na siedzenie zbyt zmęczony, aby myśleć. Lekki przeciąg głaskał go po twarzy, usypiał warkot wozu. Ale droga zdawała się nie kończyć.

— Jesteśmy — rzekł wreszcie jeden z konwojentów. Wóz zatrzymał się i wprowadzono go do wielkiego szarego gmachu. Na środku małego pustego pomieszczenia stało biurko z tabliczką RECEPCJA. Pilnujący mężczyzna cicho chrapał z głową na biurku.

— Jeden z konwojentów Feermana zakaszłał głośno. Recepcjonista poderwał się i przetarł oczy. Włożył okulary i przyjrzał mu się zaspany.

— Który? — zapytał.

Konwojenci wskazali Feermana.

— W porządku.

Recepcjonista wyciągnął wąż ramiona i sięgnął po gruby czarny rejestr. Coś w nim zanotował, wyrwał kartkę papieru i podał strażnikowi. Natychmiast odeszli.

Recepcjonista nacisnął guzik, potem żywo poskrobał się w głowę.

— Wieczorem jest pełnia — rzekł do Feermana z widocznym zadowoleniem.

— Co?

— Pełnia. Kiedy jest pełnia, przychodzi dużo więcej takich typów jak pan, tak mi się przynajmniej wydaje. Zawsze miałem ochotę to zbadać.

— Dużo więcej kogo? — zapytał Feerman. Trudno mu było uświadomić sobie, że jest w Akademii.

— Niech pan nie udaje głupka — rzekł surowo recepcjonista. — Oczywiście, dziesiątek. Może nie ma żadnego związku, ale... No, jest strażnik.

Do biurka zbliżył się strażnik w mundurze, zajęty wiązaniem krawata.

— Zaprowadzić go do 312 AA — rzekł recepcjonista. Zaczekał, aż Feerman ze strażnikiem wyszli, a potem znowu ułożył się na biurku.

Strażnik prowadził Feermana przez labirynt korytarzy pełnych drzwi.

Wydawało się, że korytarze zbudowano bez sensu: rozwidlały się we wszystkie strony i wiły jak uliczki starego miasta. Feerman zauważył, że numery nie były kolejne. Przeszli obok 3112, potem 259, wreszcie 14. Przysięgłby, że trzykrotnie minęli 888.

— Co pan robi, żeby się tu nie zgubić? — zapytał.

— To moje zajęcie — rzekł niezbyt przyjaźnie strażnik.

— Niezbyt logiczne jest to oznakowanie — zauważył po chwili Feerman.

— Nie można było zrobić inaczej — wyjaśnił konfidencjonalnie strażnik. — Początkowo przewidziano dużo mniej pokoi, a potem był run. Pacjenci i jeszcze raz pacjenci, co dzień więcej. Więc trzeba było dzielić pokoje i wybijać nowe korytarze.

— Ale jak doktorzy odnajdują swoich pacjentów? — Doszli do 312 AA. Nie odpowiedziawszy strażnik otworzył drzwi, skinął na Feermana, by wszedł, potem zamknął za nim zasuwę.

Pokój był malutki. Znajdował się tam tapczan, krzesło i mała szafa. Meble zajmowały prawie całą przestrzeń.

Po kilku chwilach Feerman usłyszał głosy za drzwiami. Ktoś powiedział:

— Spotkamy się o dziesiątej w kawiarni.

Klucz zgrzytnął w zamku, zagłuszając odpowiedź. Ale doszedł go wybuch śmiechu i głos, który rzekł:

— Jeszcze stu, i znów trzeba będzie drażyć nowe korytarze. Drzwi się otwarły i do pokoju wszedł brodaty mężczyzna w białym kitlu. Uśmiechał się blado.

— Proszę, niech się pan położy na tapczanie — rzekł uprzejmie, lecz rozkazująco.

Feerman wciąż stał.

— Teraz, kiedy już tu jestem, może mi pan wytłumaczy, co to wszystko znaczy?

Brodacz zajęty był otwieraniem szafy. Rzucił Feermanowi pełne ironii spojrzenie i uniósł brwi.

— Jestem lekarzem, a nie wykładowcą.

— Możliwe, wydaje mi się jednak...

— Tak, tak — rzekł doktor wzruszając ramionami. — Wiem, ma pan prawo wiedzieć i tak dalej, i tak dalej... Należało to zrobić przed odesłaniem pana tutaj. To do mnie nie należy. Feerman stał nadal.

— Proszę się tu położyć jak grzeczny chłopiec, wszystko panu powiem.

Feermanowi przyszło na myśl, by rzucić się na niego i zatłuc. Ale pomyślał, że tysiące dziesiątek myślało tak przed nim. Na pewno to przewidzieli.

Położył się na tapczanie.

— Akademia — zaczął doktor grzebiąc dalej w szafce — jest produktem naszej cywilizacji. Aby ją lepiej zrozumieć, trzeba najpierw zrozumieć epokę, w jakiej żyjemy.

Zrobił teatralną pauzę, po czym podjął z wyraźną przyjemnością.

— Nastawienie psychiczne! Normalność! Trzeba pamiętać, że to wymaga poważnego wysiłku. Umysł rozkojarzy się tak łatwo. Gdy to następuje, zmieniają się wartości, w człowieku rodzą się nadzieje, pomysły, odczuwa gwałtowną potrzebę działania, postępu. Same w sobie te fakty nie są może anormalne, ale niebezpieczne. Naszym ideałem jest pragnienie stagnacji. Wymaga ono jednak wielkiej siły woli, jeśli ktoś nie jest do tego zdolny... W tym tragedia.

— Nie rozumiem — rzekł Feerman, ale doktor przerwał mu.

— Powinien pan teraz pojąć konieczność istnienia Akademii. Dzisiaj chirurgia mózgu jest jedynym prawdziwym i skutecznym leczeniem umysłu... Ale jednostce nie podoba się myśl, że oryginalna osobowość zginie, co jest zresztą śmiercią w najlepszym znaczeniu. Akademia pragnie przynieść inne rozwiązanie.

— Ale jakie jest to rozwiązanie? Dlaczego go nie ogłaszacie?

— W gruncie rzeczy większość ludzi woli o tym nie wiedzieć.

Doktor zamknął szafkę na klucz, tak że Feerman nie mógł dostrzec, co stamtąd wyjął.

— Pańska reakcja jest bardzo nietypowa, to właśnie z powodu pańskiego nienormalnego stanu. Normalni ludzie uważają za jedyne lekarstwo to przyjemne uwolnienie się od twardej rzeczywistości. Wierzą nam na słowo... Dla większości ludzi jesteśmy aniołami.

— Chcecie mnie zabić! — wykrzyknął Feerman usiłując wstać.

— Z pewnością nie — odrzekł doktor przytrzymując go na tapczanie.

— Więc co chce pan zrobić?

— Zobacz pan.

— A czemu nikt stąd nie wychodzi?

— Bo nie chce.

Zanim Feerman zrobił najmniejszy ruch, doktor wbił mu w rękę igłę i wstrzyknął letnią ciecz.

Kontury pokoju się zacierały. Doktor odpowiedział, ale Feerman już go nie usłyszał.

Miał jedynie uczucie, że jego słowa były słuszne, mądre i prawdziwe.

Kiedy odzyskał przytomność, znajdował się na wielkiej równinie. Słońce wschodziło.

W bladym świetle dostrzegł, że owiany jest mgłą i stopy jego toną w wilgotnej i sprężystej ziemi.

Był zdziwiony, widząc tulącą się do niego żonę, a z drugiej strony psa Speeda, który drżał lekko. Jego zdziwienie nie trwało długo. Cóż normalniejszego, że żona i pies są z nim?

Przed nim były fale, które w miarę zbliżania się wyrażały. Feerman poznał natychmiast.

To był wróg! Na czele procesji kroczył jego domowy robot, w niezwykłym blasku. Za nim Morgan, krzyczący do naczelnika wydziału, że Feerman musi umrzeć. Potem dozorczyńni rycząca „Wynoś się!”, dalej lekarze, recepcjoniści, strażnicy.

Feerman gotował się do ostatniej walki, w której pozbyć się miał na zawsze tych wszystkich, co go zdradzili. Nagle poczuł wątpliwości.

Czy to wszystko jest realne? Ujrzał swoje znarkotyzowane ciało w numerowanym pokoju Akademii, podczas gdy umysł krążył po urojonym świecie i walczył z cieniami. Nic mi nie jest! Feerman w błysku jasnowidzenia zrozumiał, że musi się stąd wymknąć. Jego losem nie była walka z cieniami. Musi wrócić do rzeczywistego świata. Status quo nie będzie trwać wiecznie. Co pocnie ludzkość pozbawiona bojowości, wynalazczości, indywidualizmu, postępu?

Nikt nigdy nie opuścił Akademii? Będzie pierwszym, próbował odsunąć złudzenia, które go zalewały, czuł swoje ciało poruszające się na tapczanie.

Ale żona ujęła go za rękę, pies szczeknął. Feerman zapomniał o swojej decyzji.

*przekład: Franciszek Welczar*